

FERENC MOLNÁR

CHŁOPCY Z PLACU BRONI

Tytuł oryginału węgierskiego „A Pal utcai fiuk”

OD TŁUMACZA

Podjąłem się nowego przekładu „Chłopców z Placu Broni”, gdyż ku swemu zdziwieniu stwierdziłem, że w stosunku do węgierskiego oryginału, w polskim tłumaczeniu Janiny Mortkowiczowej z 1913 roku, istnieją po pierwsze: poważne opustki, po drugie: istotne zmieniające sens powieści przeinaczenia. Nie wzbudziło natomiast mojego sprzeciwu jedno, choć zasadniczej wagi odstępstwo od oryginału. Janina Mortkowiczowa mianowicie zmieniła tytuł powieści Ferencza Molnara. Węgierski tytuł „A Pal utcai fiuk” znaczy bowiem „Chłopcy z ulicy Pawła”. I tak też został przetłumaczony na całym świecie. Pierwszy przekład na język niemiecki w 1910 roku nosi tytuł „Die Jungens der Paulstrasse”, kolejne przekłady, francuski - „Les gars de la rue Paul”, włoski - „I ragazzi della via Pal”, czeski - „Chlápci z Pavlovskiej ulice”, turecki - „Pal sokaginiu cocuklari” i tak dalej w blisko czterdziestu językach. A w polskim tytule nie ma ulicy Pawła. Chłopcy są bowiem z Placu Broni! Świadomie nie zmieniłem tytułu, jakim opatrzyła Janina Mortkowiczowa tę powieść, gdyż przez 75 lat i przez blisko 20 wydań, przez setki tysięcy egzemplarzy zaczytywanej na strzępy lektury szkolnej, tytuł ten zdobył nie tylko prawo obywatelstwa, lecz również trwałe miejsce w świadomości wielu pokoleń. Jest to zresztą piękny i przylegający do treści książki tytuł. O Plac bowiem toczy się wojna między chłopcami i jest on ważniejszy niż ulica Pawła czy Marii, przy których się znajduje. Jest też ten Plac czymś więcej niż miejscem zabaw. Jest dla Nemečka, Boki i jego chłopców symbolem Ojczyzny. I to właśnie Autorka pierwszego polskiego przekładu doskonale, wyczuła. Tym większe więc zaskoczenie w trakcie porównywania tekstu węgierskiego oryginału z polskim przekładem musiało wzbudzić nazwanie chłopców z Ogrodu Botanicznego czerwonoskórymi. W węgierskim oryginale ani śladu tego określenia. Feri Acz oraz jego chłopcy, którzy we wszystkim naśladowali swego wodza, nosili bowiem czerwone koszule, takie, jak Giuseppe Garibaldi, co *expressis verbis* akcentuje Molnar. To prawda, że chłopcy z Ogrodu Botanicznego byli uzbrojeni w tomahawki i dzidy, ale nie naśladowali Indian, lecz Garibaldczyków. Molnar nie użył wobec nich w swej powieści ani razu nazwy „czerwonoskórzy”, jak to ma miejsce w przekładzie Janiny Mortkowiczowej, od pierwszego do ostatniego wydania, lecz konsekwentnie określa ich „piros - ingesek” czyli „czerwonokoszulowymi”. I tak to było też tłumaczone na inne języki. W niemieckim przekładzie Eugene'a Heinricha Schmitta z 1910 roku (wyd. Walter - Berlin) mamy więc „Rothemden”, a w angielskim Louisa Rittenberga z 1927 roku (wyd. Macy Massius - Nowy Jork) - „redshirts”. Chłopcy z Ogrodu Botanicznego i z Placu Broni

nie bawili się bowiem w, Indian i kowboi czy też w policjantów i złodziei, lecz w wojsko, w Garibaldczyków oraz żołnierzy wodza węgierskiej Wiosny Ludów Ludwika Kossutha. To nie przypadek, że mała flaga, o którą toczyły się takie zacięte boje, była czerwono - zielona, że także były barwy chłopców z Placu Broni. Bo były to narodowe kolory wojsk Wolnych Węgier w 1848 roku, kolory honvedów, czyli obrońców Ojczyzny. Nie przypadkiem też grupa zbierających kit chłopców na swojej chorągiewce wypisała zupełnie inne słowa niż te, które znalazły się w tłumaczeniu J. Mortkowiczowej. W oryginale na proporczyku znajduje się zwrot ze słynnej „Pieśni Narodowej” Sandora Petőfi go, recytowanej przez poetę w dniu wybuchu rewolucji 15 marca 1848 roku. Mortkowiczowa tłumaczy ten zwrot: „Przysięgamy walczyć zawsze o wolność i o honor”. A cytowany przez Molnara zwrot z „Pieśni Narodowej” brzmi: „Przysięgamy! Nigdy już niewolnikami nie być nam!” (W przekładzie J. Wołoszynowskiego). We wszystkich przekładach tłumacze bardzo pieczołowicie przytoczyli słowa Petőfi go. Zgodnie z duchem epoki, w której dzieje się akcja powieści Molnara. Wydarzenia toczą się przecież w Budapeszcie pod koniec XIX wieku, wprowadzie coraz większa jest integracja Węgrów z Austrią w ramach wspólnej monarchii, ale żywe są ciągle echa walki o wolność właśnie przeciwko Habsburgom, zwłaszcza w kręgach młodzieży. Można już deklamować wiersze Petőfi go, ale ciągle zakazane jest zakładanie w szkołach i na uczelniach jakichkolwiek organizacji i stowarzyszeń.

Przekład Janiny Mortkowiczowej był oczywiście w trakcie wielu dziesięcioleci szlifowany redakcyjnie i uzupełniany. Do 1949 roku, a więc do momentu, kiedy istniało Wydawnictwo J. Mortkowicza, w przekładzie brakowało IX rozdziału - protokołu zebrania Związku Kilowców, na którym przywrócono cześć Nemeckowi. Rozdział ten został dotłumaczony dopiero później, w latach pięćdziesiątych, i pojawił się w kolejnych wydaniach nakładem „Naszej Księgarni”.

Obecny przekład, którego podjąłem się z chęcią udostępnienia czytelnikowi polskiemu powieści Molnara w takim kształcie, w jakim wyszła ona spod pióra autora, jest więc pierwszym pełnym tłumaczeniem „Chłopców z Placu Broni”.

Tadeusz Olszański

I

Za kwadrans pierwsza, w pełnej napięcia chwili, kiedy długie oczekiwanie uwieńczone zostało wreszcie sukcesem i w bezbarwnym dotąd płomieniu palnika Bunsena rozbłysła nagle przepiękna, szmaragdowa smuga - na podwórku sąsiedniej kamienicy rozległy się dźwięki katarynki. W tym samym momencie, za piętnaście pierwsza, runęła w proch cała powaga triumfu naukowego eksperymentu, który miał udowodnić, i rzeczywiście udowodnił, iż odczyn chemiczny jest w stanie zabarwić ogień. Był ciepły, marcowy dzień i przez szeroko otwarte okno, wraz z powiewem wiatru, napłynęły do klasy radosne tony. Jakiś kataryniarz zagrał bowiem skoczną, węgierską melodię w tak marszowym rytmie, że uczniowie z trudem powstrzymali śmiech. Kilku chłopców nie opanowało zresztą wesołości. W palniku Bunsena nadal figlarnie migotał zielony wężyk, ale teraz wpatrywało się w niego zaledwie kilku chłopców z pierwszych ławek. Pozostali skupili uwagę na dachach sąsiednich domów i na błyszczącej w oddali, oświetlonej słońcem wieży kościelnej. Duża wskazówka kościelnego zegara radośnie zbliżała się do cyfry dwanaście. Prysło zatem skupienie i wraz z melodią katarynki zaczęły docierać do klasy również inne dźwięki. Trąbiły i turkotały tramwaje konne, a na jednym z podwórek jakaś dziewczyna, zapewne służąca, nuciła zupełnie inną melodię niż ta, którą wygrywał kataryniarz. Cała klasa zaczęła się wiercić i kręcić. Część uczniów porządkowała w ławkach książki, inni starannie wycierali stałówki. Boka zakręcił malutki, obciążony pokrowcem z czerwonej skórki kałamarz kieszonkowy, tak sprytnie skonstruowany, że atrament wylewał się natychmiast po schowaniu kałamarza do kieszeni. Czele zbierał porozrzucane kartki, które zastępowały mu książki, bo przecież elegantowi - za jakiego się uważał - nie wypadało nosić ze sobą całej biblioteki. Zabierał więc do szkoły tylko luźne, powyrywane z książek kartki potrzebne na daną lekcję. Rozkładał starannie te kartki po różnych kieszeniach, aby żadnej nie wypychać ponad miarę. Członakosz w ostatniej ławce ziewał potężnie, niczym zaspany hipopotam, a Weiss wysypywał z kieszeni okruchy po rogalu, który po kawałeczku łamał i zajadał od dziesiątej aż do dwunastej. Gereb zaczął szurać nogami, jakby lada chwila miał wstać, Barabasz zaś, bez żenady rozłożył na kolanach ceratową płachtę i układał w niej książki podług wielkości, po czym z taką siłą ściągnął je paskiem, że aż ławka skrzypnęła, a on sam poczerwieniał. Jednym słowem wszyscy gorączkowo przygotowywali się do opuszczenia szkoły i tylko nauczyciel nie zdawał sobie sprawy, że już za pięć minut kończy się lekcja. Uniósł głowę, łagodnym spojrzeniem zlustrował klasę i zapytał:

- Co się stało?

Zapadła martwa cisza. Barabasz zmuszony był poluzować pasek, Gereb przestał szurać nogami, Weiss wepchnął wywrócone na lewą stronę kieszenie, Czonakosz zakrył dłonią rozdziawione usta, Czele przestał układać karteluski, Boka zaś schował do kieszeni kałamarz, z którego natychmiast zaczął się sączyć i plamić spodnie piękny, niebieski atrament.

- Co się stało? - powtórzył nauczyciel, ale wszyscy już tkwili nieruchomo na swoich miejscach. Profesor spojrział w okno, przez które figlarnie wdzierały się do klasy dźwięki katarynki, i powiedział surowym tonem:

- Czengey, zamknij okno!

Mały Czengey, który był pierwszym z najpierwszych prymusów i siedział w pierwszej ławce, podniósł się i z poważną, jak zawsze, miną ruszył w stronę okna, żeby je zamknąć.

W tej samej chwili siedzący na skraju Czonakosz wychylił się z ławki i szepnął do małego jasnowłosego chłopca:

- Uwaga, Nemecek!

Nemecek spojrział ukradkiem do tyłu, po czym natychmiast przeniósł wzrok na podłogę. Po podłodze toczyła się właśnie zwinięta kulka papieru. Nemecek podniósł ją, rozprostował. Po jednej stronie karteczki było napisane: „Podaj dalej do Boki”.

Nemecek wiedział, że właściwa wiadomość znajduje się na drugiej stronie kartki, ale jako człowiek honoru nie zamierzał czytać cudzego listu. Dlatego ponownie zwinął kartkę w kulkę, poczekał na właściwy moment i wychyliwszy się z rzędu szepnął:

- Uwaga, Boka!

Teraz Boka spojrział na podłogę, która jak zawsze pełniła rolę szlaku komunikacyjnego podczas lekcji. Papierowa kulka potoczyła się dalej. Na drugiej stronie kartki, na tej, której Nemecek jako człowiek honoru nie przeczytał, było napisane: „Dziś o trzeciej zbiórka na Placu. Wybieramy przewodniczącego. Ogłosić”.

Boka schował karteczkę do kieszeni i jeszcze raz ściągnął paskiem spakowane książki. Była pierwsza. Elektryczny zegar zaczął brzęczeć i teraz również nauczyciel zdał sobie sprawę, że oto lekcja dobiegła końca. Zgasił palnik Bunsena, zadał pracę do domu i udał się do pracowni przyrodniczej. Zza uchylonych drzwi gabinetu przyrodniczego wyzierały wypchane zwierzęta, z półek gapiły się swymi nieruchomymi, szklanymi oczyma rzędy wypchanego ptactwa, a w kącie cicho i dostojnie stał poźółkły, wiecznie tajemniczy i groźny kościotrup.

Klasa opustoszała niemal natychmiast. Przestronna, zdobiona kolumnami klatka

schodowa zadudniła od dzikiego galopu, który słabł tylko wówczas, gdy wśród młodzieży pojawiała się nagle wysoka, górująca nad tłumem sylwetka któregoś z nauczycieli. Pędzący na złamanie karku chłopcy hamowali wtedy w biegu, na sekundę zapadała cisza, ale gdy profesor zniknął za zakrętem, szaleńczy wyścig rozpoczynał się od nowa.

Tłum chłopców niczym rwący potok wylewał się przez bramę i tu dopiero rozdzielał się na dwa nurty. Jedni szli w prawo, drudzy w lewo. Uczniowie kłaniali się wychodzącym wraz z nimi nauczycielom, zmęczeni i głodni kroczyli powoli zalanymi słońcem ulicami. Byli jeszcze trochę oszołomieni, ale pod wpływem radośnie ożywionej ulicy stopniowo otrząsali się z otępienia. Pławili się w słońcu jak wypuszczeni na wolność mali więźniowie, zanurzali się w głąb ruchliwego i hałaśliwego miasta, które nie było dla nich niczym innym, jak tylko labiryntem ulic, sklepów, powozów i torowisk tramwajów konnych, wśród których należało wybrać ścieżki wiodące do domów.

W bramie sąsiadującego ze szkołą domu Czele targował się zawzięcie ze sprzedawcą wschodnich łakoci, który ni stąd, ni zowąd w beczelny wprost sposób podniósł nagle ceny. Jak świat światem wiadomo było, że kawałek chałwy kosztował do tej pory jednego grajcara. Był to mały kawałek, akurat taki, jaki jednym uderzeniem tasaka można było odrąbać z dużego, porowatego bloku nadzianej orzechami białej chałwy. I taki właśnie kawałek kosztował jednego grajcara; jeden grajcar stanowił w zasadzie podstawową cenę wszystkiego, co było do kupienia na straganie pod bramą. Za grajcara można było więc dostać trzy zanurzone w syropie śliwki nadziane na drewniany patyczek, trzy figi albo trzy orzechy. Grajcara kosztowała również porcja pańskiej skórki, laseczek lukrecji lub sezamek. Ba, za grajcara kupowało się porcję zapakowanej w małą, papierową torebeczkę przepysznej mieszanki zwanej „uczniowskim obrokiem”. Były tam orzeszki laskowe, rodzyнки, koryntki, migdały, kawałeczki cukru, okruchy chleba świętojańskiego, a także sporo śmieci i muszek. Na „uczniowski obrok” składał się więc pełny zestaw wyrobów cukierniczych, a także elementy świata roślinnego i zwierzęcego. I to wszystko za grajcara! Czele targował się zaciekle ze sprzedawcą bakalii, co niechybnie oznaczało, że kupiec podniósł dziś ceny. Kto zna prawa rządzące handlem, ten dobrze wie, że ceny rosną również i wtedy, gdy transakcje połączone są z ryzykiem. I tak na przykład najdroższa jest herbata, którą sprowadza się z Azji karawanami ciągnącymi przez tereny pełne zbójców. Za to właśnie niebezpieczeństwo muszą później płacić mieszkańcy zachodniej Europy. Sprzedawca bakalii, zgodnie z powyższą regułą, wykazał duży zmysł handlowy i podniósł ceny, ponieważ dowiedział się, że chcą go przepędzić z bramy w pobliżu szkoły. Wiedział też doskonale, że jeśli już postanowiono go przepędzić, to nie pomogą najśłodsze nawet uśmiechy kierowane do przechodzących obok

panów profesorów. Tak czy owak przepędzą go, bo widzą w nim wroga.

„Dzieci tracą wszystkie pieniądze na straganie tego Włocha” - mówili nauczyciele. Wiedział biedak, że dni jego kramu w pobliżu szkoły są policzone. A więc podniósł ceny. Jeśli już musi stąd odejść, to przynajmniej niech sobie odbije straty. Co też szczerze powiedział:

- Do tej pory wszystko kosztowało grajcara. Ale od dziś będzie dwa grajcarry!

A że był Włochem, przeto wystękał te słowa łamaną węgierszczyzną, dziko przy tym wymachując swym toporkiem. Wtedy Gereb podszeptał Czelemu:

- Rąbnij kapeluszem w ten kram!

Czele był zachwycony pomysłem. W to mu graj! Łakocie pofrunęłyby na lewo i prawo! Chłopcy by się cieszyli!

A Gereb kusił jak zły duch:

- Walnij no kapeluszem! A to chytrus! Żeby tak z nas zdzierać!

Czele zdjął kapelusz z głowy.

- Takim ładnym kapeluszem? - zawahał się.

Nie udało się. Gereb skierował swoją propozycję pod zły adres. Czele był przecież elegantem.

- Kapelusza ci żal? Kapelusza? - nacierał Gereb.

- A żebyś wiedział - odpowiedział Czele. - Ale nie myśl, że tchórzę. Wcale się nie boję, kapelusza mi szkoda. I mogę ci to udowodnić. Jak chcesz, to rąbnę twoim!

Dla Gereba była to propozycja nie do przyjęcia. Poczul się urażony i warknął ze złością:

- Sam potrafię rzucić swoim kapeluszem. Toż to zdzierus. A ty, jak się boisz, to uciekaj.

I zdecydowanym, wojowniczym gestem zdjął kapelusz, żeby uderzyć nim w zastawiony słodyczami, oparty na krzyżakach stół.

Ale w tej samej chwili ktoś złapał go z tyłu za rękę i poważnym, niemal męskim głosem zapytał:

- Co ty robisz?

Gereb obejrzał się. Za nim stał Boka.

- Co robisz? - powtórzył Boka, spokojnie i łagodnie patrząc na Gereba.

Gereb mruknął niczym lew, gdy poskromiciel spogląda mu w oczy. Opanował się jednak, wzruszył ramionami i włożył kapelusz na głowę. Boka odezwał się cicho:

- Daj mu spokój. Lubię odważnych, ale to, co chciałeś zrobić, nie miało przecież

najmniejszego sensu. Chodź!

I podał mu rękę. Całą zaplamioną atramentem. Z kałamarza bowiem sączył się obficie ciemnoniebieski atrament, a Boka, niczego nie podejrzewając, trzymał rękę w kieszeni. Nie przejęli się tym jednak zbyt. Boka wytarł rękę o mur, w wyniku czego na ścianie powstała wprawdzie ciemna smuga, ale ręka Boki wcale nie zyskała na czystości. Niemniej cała ta sprawa została zakończona. Boka ujął Gereba pod ramię i ruszyli przed siebie. Zostawili małego Czelego przy straganie i usłyszeli jeszcze, jak zdławionym głosem pokonanego buntownika zwrócił się do Włocha:

- Jak już od tej pory wszystko ma być za dwa grajcarey, to poproszę chałwy za te dwa grajcarey.

I sięgnął po swoją portmonetkę z delikatnej zielonej skórki. Sprzedawca uśmiechnął się i zaczął myśleć o tym, co by się stało, gdyby od jutra wszystko sprzedawać po trzy grajcarey... Ale były to tylko mrzonki. Ot, takie marzenie, że nagle każdy forint wart jest sto forintów! Włoch energicznie ciachnął tasakiem blok chałwy i położył odcięty kawałek na papierze.

Czele spojrział z goryczą:

- Ależ dał mi pan mniejszy kawałek niż przedtem za jednego grajcara!

Handlowy sukces uczynił Włocha bezczelnym. Z uśmiechem odpowiedział:

- Teraz jest drożej, to daję mniej.

I już zwrócił się do następnego klienta, który nauczony doświadczeniem poprzednika trzymał w ręku dwa grajcarey. Włoch ciachnął małym tasakiem słodką masę, a zrobił to w sposób przypominający jakiegoś średniowiecznego kata, który po kawałeczku odcina karzełkowi orzechową głowę. Włoch wyraźnie mścił się na chałwie.

- Tfu! - powiedział ze złością Czele do kolejnego nabywcy. - Nie kupuj u niego, bo to paskarz.

I włożył do ust cały kawał chałwy, razem z przylepionym mocno papierem, którego zupełnie nie dało się oderwać.

- Zaczekajcie! - krzyknął i pędem ruszył za Boką i Gerebem.

Dogonił ich na rogu i już razem skręcali w stronę ulicy Soroksari. Wszyscy trzej wzięli się pod rękę. W środku szedł Boka i coś im tłumaczył, jak zwykle - spokojnie i rozważnie. Boka skończył czternaście lat i miał jeszcze chłopięcą twarz. Dopiero kiedy się go słuchało, wydawał się starszy.

Miał głęboki, spokojny i łagodny głos. A to, co mówił, było równie spokojne i rozważne. Boka ważył bowiem słowa i nigdy nie okazywał chęci do rozmów o byle czym.

Nie wtrącał się w drobne kłótnie, unikał ich nawet wtedy, gdy proszono go o rozsądzenie sporu. Dobrze wiedział, że po rozstrzygnięciu kłótni jedna ze stron i tak będzie czuła żal, i to właśnie do rozjemcy. Ale gdy spór zaostrzał się, zamieniał w awanturę i groził interwencją nauczycieli, wówczas Boka włączał się natychmiast, aby pogodzić zwaśnione strony ku ogólnemu, zresztą, zadowoleniu. Jednym słowem Boka był mądrym chłopcem i zapowiadał się na wartościowego i prawego człowieka, który jeśli nawet daleko nie zajdzie, to przecież nigdy nie zawiedzie zaufania.

Z ulicy Soroksari chłopcy skręcili w spokojną uliczkę Köztelek. Przyjemnie grzało wiosenne słońce i tylko ciche posapywanie maszyn fabryki tytoniu, ciągnącej się wzdłuż chodnika, mąciło panującą tu ciszę. W dali ujrzeli sylwetki dwóch chłopców. Stali na środku jezdni i wyraźnie na nich czekali. Jednym z nich był wysoki i silny Czonakosz, drugim - mały, jasnowłosy Nemecek.

Kiedy Czonakosz spostrzegł zbliżającą się trójkę chłopców, gwizdnął z radości na palcach przenikliwie niczym lokomotywa. Było to zresztą jego specjalnością. Nikt w czwartej klasie nie potrafił tak gwizdać, ba, w całej szkole znalazłoby się zaledwie kilku chłopców, którzy choć trochę umieli naśladować takie furmańskie gwizdanie. Jedyne przewodniczący kółka samokształceniowego, Cynder, potrafił tak wspaniale gwizdnąć, ale kiedy wybrano go na przewodniczącego, zaniechał tej sztuki. Od chwili wyboru Cynder nie wkładał już dwóch palców do ust. Przewodniczącemu kółka, który co środę po południu zajmował na katedrze miejsce obok profesora języka węgierskiego, nie wypadało przecież tak się zachowywać.

Czonakosz gwizdnął więc, a kiedy koledzy podeszli bliżej i zatrzymali się na środku ulicy, zwrócił się do jasnowłosego Nemecka:

- Już im mówiłeś?

- Nie - odparł Nemecek.

- A co się stało? - zapytała chórem cała trójka.

Zamiast małego blondynka odpowiedział Czonakosz:

- Wczoraj w ogrodeum znów zrobili *einstand!*

- Kto?

- A któż by, jak nie bracia Pastorowie!

Zapadło głucho milczenie.

Żeby to zrozumieć, trzeba wiedzieć, co znaczyło owo słówko *einstand* w mowie budapeszteńskich dzieci. Otóż, kiedy w czasie gry w szklane kulki, stalówki lub pestki jakiś silniejszy chłopiec dostrzegł słabszego od siebie i chciał mu zabrać zabawki, to po prostu mówił: *einstand!* To obrzydliwe niemieckie słowo oznaczało, że silniejszy chłopiec uznaje

kulkę czy stalówkę za łup wojenny, a w wypadku sprzeciwu zastosuje przemoc fizyczną. Było więc także wypowiedzeniem wojny. Słowo *einstand* krótko i zwięźle wyrażało przemoc, prawo pięści, rozbój, stan wojenny.

Pierwszy odezwał się Czele. Głos drżał mu z przejęcia:

- Zrobili *einstand*?

- Tak - odpowiedział już znacznie śmielej mały Nemecek, widząc, jak wielkie wrażenie wywarła ta wiadomość.

- Tak dłużej być nie może! - wybuchnął Gereb. - Od dawna już mówię, że musimy działać, ale Boka krzywi się tylko i nic nie robi. Jeżeli tak dalej pójdzie, to wreszcie i nas pobiją!

Czonakosz już wkładał dwa palce do ust, żeby gwizdnąć z radości, bo zawsze był gotów do wszczęcia bijatyki, ale Boka powstrzymał go.

- Nie ogłuszaj nas - powiedział. I z powagą zwrócił się do małego blondynka.

- Jak to było?

- Ten *einstand*?

- Tak. Kiedy to się stało?

- Wczoraj po południu.

- Gdzie?

- W ogrodeum.

Tak nazywano przylegający do muzeum ogród.

- Opowiedz, jak to było, dokładnie, po kolei, bo żeby przeciw nim wystąpić, musimy znać fakty...

Mały Nemecek uświadomił sobie, że oto skupia się na nim cała uwaga kolegów. Była to dla niego rzadka okazja i dlatego zdenerwował się. Chłopcy traktowali go zwykle jak powietrze. Był za hetkę - pętelkę, nie liczył się, jak jedynka w matematyce, która ani mnoży, ani dzieli. Nikt się nie przejmował tym szczupłym, wątym chłopcem, jakby stworzonym na kozła ofiarnego. Nemecek zaczął mówić i koledzy otoczyli go ciasnym kołem.

- To było tak... Po obiedzie poszliśmy do ogrodeum, Weiss i ja, byli z nami jeszcze Rychter, Kolnay i Barabasz. Najpierw chcieliśmy grać w palanta na ulicy Eszterhazy, ale piłkę mieli chłopcy ze szkoły realnej, a oni nie chcieli z nami grać. Wtedy Barabasz powiedział, żebyśmy poszli do ogrodeum i zagrali pod murem w kulki. I tak zrobiliśmy. Każdy z nas rzucał kulką, a ten któremu udało się trafić w drugą kulkę, zabierał wszystkie. Rzucaliśmy kolejno i pod murem leżało już z piętnaście kulek, wśród nich dwie szklane, kiedy nagle Rychter krzyknął: „No, to koniec, idą Pastorowie!” Rzeczywiście z za rogu

wyłonili się Pastorowie z rękami w kieszeniach. Szli z pochylonymi głowami, tak wolno, że wszyscy bardzo się przestraszyliśmy. Było nas wprawdzie pięciu, ale oni są tacy silni, że w dwójkę załatwiliby nawet dziesięciu. Zresztą nie można było zakładać, że jest nas pięciu, bo jak się coś dzieje, to Kolnay zaraz ucieka, Barabasz także, no więc zostałoby nas tylko trzech. Pewnie ja też bym uciekł, więc trzeba liczyć, że zostałoby tylko dwóch. Gdyby cała piątka próbowała uciec, to też nic z tego, bo Pastorowie są najlepszymi biegaczami w całym ogrodeum i dogoniliby nas. Pastorowie podchodzili coraz bliżej i przypatrywali się naszym kulkom. Szepnąłem wtedy do Kolnaya: „Słuchaj, im się podobają nasze kulki”. Najmądrzejszy był Weiss, który od razu powiedział: „Idą sobie jakby nigdy nic, ale mówię wam, że z tego będzie tylko jeden wielki *einstand!*” Ale ja myślałem, że nie zrobią nam żadnej krzywdy, bo przecież my im nigdy nic złego nie zrobiliśmy. Najpierw stanęli tylko obok, wcale nas nie zaczepiali i patrzyli, jak gramy. Kolnay szepnął: „Nemeczek, dajmy spokój, przerwijmy grę”. A ja mu na to: „Co? Akurat teraz, kiedy ty nie trafiłeś! Zaraz mój rzut. Jak wygram, to możemy przerwać”. W tym momencie rzucał Rychter, ale jednym okiem łypał na Pastorów, i trzęsła mu się ręka ze strachu, więc nic dziwnego, że nie trafił. Pastorowie ani drgnęli, wciąż stali z rękami w kieszeniach. Wtedy przyszła na mnie kolej, rzuciłem i trafiłem. Wygrałem wszystkie kulki! Chciałem podejść, żeby je zebrać, a było już ze trzydzieści kulek, ale wtedy jeden z Pastorów, ten młodszy, zagroził mi drogę i krzyknął: *einstand!* Obejrzałem się do tyłu i zobaczyłem, że Kolnay i Barabasz uciekają, Weiss stoi pod ścianą blady, a Rychter zastanawia się właśnie, czy wiać, czy jeszcze poczekać. Próbowałem sprzeciwić się i powiedziałem: „Przepraszam, ale nie macie prawa tego robić!” Ale starszy Pastor już zbierał kulki i chował je do kieszeni, a młodszy chwycił mnie za kurtkę i krzyknął: „Czyś nie słyszał, że zawołaliśmy *einstand!*?” No to wtedy i ja też zamilkłem. Weiss stojący pod ścianą zaczął się mazać. Kolnay i Barabasz patrzyli zza rogu, co się dzieje w ogrodeum. Pastorowie pozbierali kulki i odeszli bez słowa. To chyba wszystko.

- Niestychane! - oburzył się Gereb.

- To po prostu granda! - powiedział Czele.

Czonakosz gwizdnął na znak, że w powietrzu wisi wojna. Boka namyślał się w milczeniu. Wszyscy chłopcy patrzyli na niego, byli ciekawi, jak tym razem zareaguje. Od miesięcy bowiem nie traktował poważnie podobnych incydentów. Jednak to wydarzenie było tak wołającą o pomstę do nieba niesprawiedliwością, że poruszyło nawet jego.

- Chodźmy na razie na obiad - powiedział cichym głosem. - Po południu spotkamy się na Placu i wszystko omówimy. Teraz i ja uważam, że tego już nie można darować!

Z aprobatą przyjęli decyzję Boki. Patrzyli na niego z uznaniem i podziwem, a czarne

oczy Boki iskrzyły się gniewem. Mało brakowało, aby go ucałowali za to, że wreszcie i jego oburzyło to bezprawie.

Ruszyli do domów. Gdzieś w oddali, w dzielnicy Józsefváros, odezwał się wesoły dźwięk dzwonu, świeciło słońce i wszystko wokół wydawało się piękne i radosne. Chłopcy czuli jednak, że stoją przed doniosłymi wydarzeniami. Ogarnęło ich podniecenie i żądza czynu. Jeżeli Boka powiedział, że trzeba działać, to na pewno jest to zapowiedź czegoś niezwykłego.

Zaczęli się rozchodzić. Czonakosz z Nemeckiem zostali nieco z tyłu. Boka obejrzał się. Obaj chłopcy zatrzymali się przy jednym z piwnicznych okienek fabryki tytoniu. Było ono oblepione grubą warstwą tytoniowego pyłu.

- Tabaka! - zawołał wesoło Czonakosz, jeszcze raz gwizdnął i napchał sobie żółtego pyłu do nosa.

Nemecek roześmiał się i, małpując kolegę, również wciągnął w nozdrza szczyptę tabaki. Uradowani odkryciem pomaszerowali ulicą Köztelek głośno kichając. Czonakosz kichał donośnie niczym z armaty, a mały, jasnowłosy Nemecek prychnął jak rozdrażniona świnka morska. Biegli ulicą kichając, śmiejąc się i czuli się tacy szczęśliwi, że zapomnieli na chwilę o tej wielkiej niesprawiedliwości, którą nawet sam Boka, zawsze spokojny i poważny Boka, uznał za wręcz niesłychaną.

II

Plac, pusty plac... O, zdrowe i rumiane wiejskie dzieci z Wielkiej Niziny Węgierskiej! Żyjecie oto na rozległych przestrzeniach i wystarczy wam uczynić jeden tylko krok, aby znaleźć się w szczerym polu, pod błękitem cudownego nieboskłonu. Wasze spojrzenia przywykły do bezkresnych pól i szerokich horyzontów. Wy nie zostańcie wtłoczone w mury wysokich kamienic i nie domyślcie się nawet, jak wielkim skarbem jest dla budapeszteńskich chłopców zwykły, pusty plac. Taki plac to dla miejskich dzieci rozległa równina, to wspaniała przestrzeń! Słowem - ich Wielka Nizina. Taki plac to wolność, to pełna swoboda. I pomyśleć, że ów plac jest tylko zwykłym skrawkiem ziemi ogrodzonym z jednej strony rozwalającym się płotem, a z pozostałych stron zamkniętym przez szare mury kamienic, wznoszących się wysoko pod niebo.

Dziś stoi na tym placu przy ulicy Pawła smętna, zatłoczona, czteropiętrowa kamienica. Jej lokatorzy nie mają pojęcia o tym, że na tym właśnie skrawku ziemi znajdował się ongiś ów słynny Plac Broni, który dla garstki uczniów stał się symbolem ich młodości.

Wówczas plac ten był pusty, jak to zresztą z przeznaczonymi pod budowę placami bywa. Od ulicy Pawła był odgradzony płotem. Z lewej i prawej strony zamykały go dwie duże kamienice, a od tyłu... otóż to, na tyłach znajdowało się miejsce, które czyniło ów plac terenem niezwykle atrakcyjnym. Albowiem zaczynał się tam drugi, olbrzymi plac, wydzierżawiony przez zarząd tartaku na skład drewna. Stały więc tu ułożone w sagi duże polana. Wśród potężnych sześciaków powstała siatka regularnych uliczek. Istny labirynt! Pięćdziesiąt, a może i sześćdziesiąt ścieżek krzyżowało się wśród ciemnych sągów drewna i naprawdę niełatwo było rozeznaczyć się w tej płataninie. Kto jednak z trudem przez ten labirynt przebrnął, ten wychodził na placik z małym budynkiem. To był właśnie tartak parowy. Był to dziwny, dość tajemniczy i ponurawy obiekt. Latem porastał dziką winoroślą i z zielonego listowia wystawał tylko smukły, czarny komin, miarowo pykający kłębamii czystej, białej pary. Z daleka, spośród sągów drewna, skąd jeszcze nie było widać tartaku, można było przypuszczać, że to sapie lokomotywa, która nie może ruszyć z miejsca.

Wokół domku zawsze stały duże, ciężkie wozy do przewożenia drewna. Podjeżdżały kolejno pod okap i wtedy rozlegał się trzask spadającego drewna. Pod okapem znajdował się mały otwór, z którego wystawało spadziste koryto. Kiedy fura podjeżdżała pod ten otwór, korytem zaczynała płynąć struga porąbanych polan. Woźnica krzykiem dawał sygnał, że wóz pełny. Pykanie z komina ustawało z nagłą, w domku robiło się cicho, woźnica zaciągał konie i

naładowany wóz ruszał z miejsca. Pod okap podjeżdżał następny, pusty, czekający na drewno wóz, czarny komin znów zaczynał pykać i znów sypały się polana. I tak to trwało od lat. Drewno było ciągle uzupełniane, wielkie wozy przywoziły na plac coraz to nowe polana, które znowu cięła maszyna. Tak więc na placu nigdy nie brakowało sągów i nigdy też na dłużej nie milkł świst parowej piły. Przed tartakiem rosło kilka karłowatych drzewek morwowych, a pod jednym z nich stała sklecona z desek budka. Tu właśnie mieszkał Słowak, który pilnował w nocy placu, żeby nikt nie kradł lub nie podpalił drewna.

Czy można było znaleźć piękniejsze miejsce do zabaw? Dla nas, chłopców z miasta, było to coś wspaniałego! Nie potrafiliśmy wyobrazić sobie bardziej indiańskiego, piękniejszego i rozleglejszego placu, który by tak doskonale zastępował amerykańską prerię. A położony na tyłach skład drzewa stawał się wszystkim tym, czego akurat potrzebowaliśmy. Bywał więc miasteczkiem na Dzikim Zachodzie, puszcza, górami skalistymi pełnymi kanionów, słowem tym, czym go w danej chwili mianowano. I nie myślcie, że był to wystawiony na ataki, bezbronny plac! Przeciwnie, był to Plac Broni! Szczyty sągów chłopcy zamienili bowiem w fortece i twierdze. O tym, które punkty trzeba umocnić, decydował Boka. Fortece natomiast budowali Czonakosz i Nemecek. Znajdowały się one w czterech czy pięciu punktach. Każda z nich miała kapitana, porucznika i podporucznika. Oni stanowili armię. Niestety, ku ogólnemu zmartwieniu był tylko jeden szeregowiec. Wszyscy zatem kapitanowie i oficerowie mogli rozkazywać, musztrować i karać aresztem za niesubordynację tylko jednego, jedyne szeregowca.

Nie trzeba dodawać, że tym jednym jedynym szeregowcem był mały, jasnowłosy Nemecek. Kapitanowie, porucznicy i podporucznicy salutowali sobie z wielką swobodą, od niechcenia podnosząc rękę do czapki, choćby się i sto razy spotykali na Placu w ciągu jednego popołudnia. Pozdrawiali się ot, tak sobie, mówiąc zwyczajnie:

- Cześć!

Inaczej Nemecek. Biedak co chwila musiał stawać na baczność i sztywno salutować.

A kto tylko przechodził koło niego, natychmiast go strofował:

- Jak stoisz?

- Pięty razem!

- Wypnij pierś, wciągnij brzuch!

- Baczność!

I Nemecek podporządkowywał się wszystkim z radością. Bywają bowiem chłopcy, którym okazywanie posłuszeństwa sprawia przyjemność. Jednak większość chłopców lubi rozkazywać. Jak zresztą większość ludzi. I dlatego właśnie na Placu wszyscy chcący

dowodzić byli oficerami, a tylko jeden Nemecek szeregowcem.

Wpół do trzeciej po południu nie było tu jeszcze nikogo. Na rozścielonej na ziemi derce, przed budką, spał sobie smacznie Słowak. Sypiał zawsze w dzień, bo nocą doglądał Placu, pilnował drewna lub też włąził do fortecy na jednym z sągów i stamtąd patrzył na księżyc. Teraz warczała piła parowa, czarny komin pykał obłoczkami białej pary, a porąbane polana spadały z trzaskiem na platformy wozów.

Kilka minut po pół do trzeciej skrzypnęła furtka od ulicy Pawła i pojawił się Nemecek. Wyciągnął z kieszeni dużą pajdę chleba, rozejrzał się i widząc, że nikogo jeszcze nie ma, zaczął żuć skórkę. Przed tym jednak zamknął dokładnie furtkę. Jeden z najważniejszych punktów obowiązującego na Placu regulaminu przewidywał, że każdy, kto tu wchodzi, winien starannie zamknąć za sobą furtkę. Kto tego obowiązku nie dopełnił, tego czekał areszt. A dyscyplina na Placu obowiązywała surowa. Jak w wojsku.

Nemecek usiadł na kamieniu, ogryzał ze skórki kromkę chleba i czekał na kolegów. Zanosilo się na to, że dzisiejsze spotkanie będzie bardzo ciekawe. W powietrzu wisiała zapowiedź ważnych wydarzeń. Co tu dużo mówić, Nemecek w tym momencie poczuł się bardzo dumny z faktu, że i on również należy do słynnej paczki nazywanej Związkiem Chłopców z Placu Broni.

Jakiś czas jeszcze zajadał chleb, po czym z nudów ruszył w stronę tartaku. Przechadzał się wśród sągów, gdy nagle natknął się na wielkiego, czarnego psa, należącego do stróża - Słowaka imieniem Jano.

- Hektor! - zawołał przyjaźnie, ale pies nie wykazywał najmniejszej chęci, aby odwzajemnić powitanie. O tym, że spostrzegł chłopca, zasygnalizował tylko nieznacznym ruchem ogona. U psów oznacza to mniej więcej to samo, co u ludzi uchylenie w pośpiechu kapelusza. I pognął dalej, szczekając ze złością. Nemecek ruszył za psem. Hektor zatrzymał się i zaczął ostro obszczekiwać jeden z sągów, na którym chłopcy zbudowali twierdzę. Na szczycie ułożyli z polan mur obronny i na cienkim patyku wywiesili małą czerwono - zieloną* chorągiewkę. Pies skakał wokół sągu i coraz gwałtowniej ujadał.

- Co się tam dzieje? - zapytał Nemecek psa. Był z nim bardzo zaprzyjaźniony, może dlatego, że Hektor także nie miał żadnego oficerskiego stopnia.

Chłopiec spojrzał w górę. Nie dostrzegł nikogo, ale czuł, że na szczycie ktoś się

* Czerwono - zielone barwy chłopców z Placu Broni nawiązywały do narodowych, czerwono - biało - zielonych kolorów, jakie przyjęły powstańcze wojska węgierskie Ludwika Kossutha w czasie Wiosny Ludów (1848 - 1849). Kolory te przetrwały upadek powstania i pozostały na trwałe barwami narodowymi (wszystkie przypisy tłumacza).

porusza wśród polan. Zaczął się więc wspinać po wystających kłodach. Był już w połowie drogi, kiedy oto zupełnie wyraźnie usłyszał, że ktoś tam na górze przekłada deski i kłody. Serce zabiło Nemeckowi mocniej i zawahał się, czy nie wrócić na ziemię. Ale kiedy spojrzął w dół i zobaczył Hektora, znów nabrał odwagi.

- Nie bój się, Nemecku! - powiedział do siebie nadal pnąc się do góry. Za każdym krokiem dodawał sobie otuchy tymi słowami:

- Nie bój się, Nemecku! Nie bój się!

Wreszcie wdrapał się na sam szczyt, raz jeszcze powtórzył: „Nie bój się, Nemecku!” i już, już chciał przełożyć nogę przez niską w tym miejscu zaporę obronną, gdy nagle, przestraszony, znieruchomiał.

- O Jezu! - krzyknął.

I w popłochu zaczął się zsuwać w dół na łeb, na szyję. Gdy dotknął ziemi, serce waliło mu jak młotem. Spojrzął w górę na szczyt twierdzy. Obok chorągiewki stał Feri Acz, straszliwy Feri Acz, ich zaciekły wróg, wódz chłopaków z Ogrodu Botanicznego. Prawą nogę postawił władczo na blankach twierdzy. Jego luźna, czerwona koszula łopotąła na wietrze, a on szyderczo się uśmiechał.

Feri Acz odezwał się cicho:

- Nie bój się, Nemecku!

Ale Nemecek już wtedy strasznie się bał i uciekał co sił. A czarny pies biegł za nim. Razem pędzili tak przez kręte ścieżki wśród sągów z powrotem na Plac. A na skrzydłach wiatru goniło za nimi szydercze wołanie Feriego Acza:

- Nie bój się, Nemecku!

Gdy Nemecek już na Placu obejrzał się za siebie, na szczycie twierdzy nie widać było czerwonej koszuli Feriego Acza. Ale i chorągiewka zniknęła. Mała czerwono - zielona chorągiewka uszyta przez siostrę Czelego. Acz przepadł gdzieś wśród sągów drzewa. Mógł wyjść drugą stroną, przez tartak, na ulicę Marii, niewykluczone jednak, że skrył się gdzieś tutaj, razem ze swoimi kolegami, braćmi Pastorami.

Na myśl, że bracia Pastorowie mogą się znajdować w pobliżu, Nemeckowi przeszły ciarki po plecach. On już dobrze wiedział, co znaczy spotkać się z Pastorami. Ale Feriego Acza po raz pierwszy zobaczył z bliska. Bardzo się go przestraszył, choć szczerze mówiąc, Feri mu się podobał, był dobrze zbudowanym, barczystym chłopcem o ciemnych włosach. Doskonale się prezentował w obszernej, czerwonej koszuli, która nadawała mu wojowniczy

wygląd. Koszula ta była bardzo podobna do tych, jakie nosili żołnierze Garibaldiego*. Chłopcy z Ogrodu Botanicznego również nosili czerwone koszule, ponieważ we wszystkim starali się naśladować Feriego Acza.

U furtki otaczającego Plac płotu rozległo się czterokrotne, miarowe pukanie. Nemecek odetchnął z ulgą. Był to bowiem umówiony znak chłopców z Placu Broni. Szybko pobiegł do furtki i otworzył ją. Do środka weszli Boka, Czele i Gereb. Nemecek chciał natychmiast opowiedzieć o strasliwym wydarzeniu, nie zapomniał jednak o tym, że jest tylko szeregowcem i że musi naprzód oddać honory kapitanowi i porucznikom. Wyprężył się więc na baczność i zsalutował.

- Cześć - powiedzieli przybysze. - Co nowego?

Nemecek szybko łapał ustami powietrze, bo chciał wszystko opowiedzieć jednym tchem.

- Straszne rzeczy! - krzyknął.

- Co się stało?

- Coś okropnego! Aż trudno uwierzyć!

- Ale co takiego?

- Feri Acz był tutaj!

Ta wiadomość wywarła na całej trójce ogromne wrażenie. Spowaźnieli natychmiast.

- Niemożliwe! - powiedział Gereb.

- Przysięgam na Boga... - Nemecek położył rękę na sercu.

- Nie przysięgaj - przerwał mu Boka i z całą powagą wydał komendę:

- Baczność!

Nemecek stuknął obcasami. Boka podszedł do niego bliżej.

- Opowiedz dokładnie, co widziałeś.

- Kiedy wszedłem między sagi - zaczął Nemecek - usłyszałem głośnie szczekanie psa.

Poszedłem za Hektorem i nagle usłyszałem jakiś szelest w środkowej cytadeli. Wdrapałem się na górę i wtedy zobaczyłem, że jest tam Feri Acz w czerwonej koszuli.

- Stał na szczycie? W cytadeli?

- Na samym szczycie! - powiedział Nemecek i żeby potwierdzić swą prawdziwość, podnosił już rękę do serca na znak przysięgi, ale surowe spojrzenie Boki

* Giuseppe Garibaldi (1807 - 1882) - bojownik o wyzwolenie i zjednoczenie Włoch. Generał wojsk powstańczych i partyzantów, którzy wielokrotnie, w tym również w czasie Wiosny Ludów, walczyli z Austriakami i przyczynili się do powstania państwa włoskiego. Żołnierze Garibaldiego nosili rewolucyjne, czerwone koszule.

przywołało go do porządku. Więc tylko dodał:

- I zabrał chorągiewkę!

Czele aż syknął:

- Chorągiewkę?

- Właśnie!

Wszyscy czterej ruszyli w stronę fortecy. Nemecek skromnie biegł na końcu, po części dlatego, że jako szeregowcowi nie wypadało mu wysuwać się przed oficerów, po części z obawy, że gdzieś w pobliżu błąka się jeszcze Feri Acz. Chorągiewki rzeczywiście nie było. Nawet drzewca brakowało. Wszyscy byli niesłychanie wzburzeni, jedynie Boka zachował zimną krew.

- Powiedz siostrze - zwrócił się do Czelego - żeby na jutro uszyła nową chorągiewkę.

- Dobrze - odpowiedział Czele - ale ona nie ma już zielonego płótna. Czerwone jeszcze jest, a zielonego zabrakło.

Boka spokojnie zapytał:

- A białe ma?

- Ma.

- To niech uszyje czerwono - białą chorągiewkę. Od tej chwili nasze barwy będą czerwono - białe.

Wszyscy się z tym zgodzili. Gereb zwrócił się do Nemecka:

- Szeregowy!

- Na rozkaz!

- Do jutra proszę wprowadzić poprawkę do regulaminu: odtąd nasze barwy będą nie czerwono - zielone, lecz czerwono - białe.

- Tak jest, panie poruczniku.

Wtedy Gereb łaskawie rzucił wyprężonemu na baczność jasnowłosemu chłopcu:

- Spocznij!

Nemecek stanął swobodnie. Chłopcy wdrapali się na górę i stwierdzili, że Feri Acz odłamał drzewce chorągiewki. Przybity gwoździami kawałek odłamanego drzewca smętnie tkwił na swoim miejscu.

Od strony Placu rozległy się okrzyki:

- Hola ho! Hola ho!

To było ich hasło. Widocznie nadeszli już chłopcy i rozglądali się po Placu. Słysząc było donośne okrzyki:

- Hola ho!

Czele skinął na Nemezcza.

- Szeregowy!

- Na rozkaz!

- Odpowiedzcie kolegom.

- Tak jest, panie poruczniku.

Nemezcze przyłożył zwiniętą w trąbkę dłoń do ust i swoim ciekim, dziecinnym głosem zawołał:

- Hola ho!

Potem zeszli z fortecy i ruszyli w stronę Placu. Na środku Placu, skupieni w małej grupce, czekali na nich Czonakosz, Weiss, Kende, Kolnay i jeszcze kilku chłopców. Na widok Boki wszyscy stanęli na baczność, Boka bowiem był ich dowódcą, kapitanem.

- Cześć - powiedział Boka.

Kolnay wystąpił krok naprzód.

- Melduję posłusznie - powiedział - kiedy przyszliśmy, furtka nie była zamknięta. A zgodnie z regulaminem powinna być zamknięta od środka.

Boka surowo spojrzał na stojącą za nim asystę. A wszyscy spojrzeli na Nemezcza. Ten już przykładał rękę do serca, żeby przysiąc, iż to nie on zostawił furtkę otwartą, kiedy kapitan odezwał się:

- Kto wchodził ostatni?

Zapadła cisza. Nikt bowiem nie wszedł ostatni. Jeszcze przez chwilę panowało milczenie. Nagle Nemezczkowi rozjaśniła się twarz i powiedział:

- Melduję posłusznie, to pan kapitan wszedł ostatni.

- Ja? - zdziwił się Boka.

- Tak jest.

Boka zastanawiał się przez chwilę.

- Masz rację - stwierdził z powagą. - Zapomniałem zasunąć zasuwę. Panie poruczniku, proszę wpisać za karę moje nazwisko do czarnej księgi - zwrócił się do Gereba.

Gereb wyjął z kieszeni mały, czarny notes i wielkimi literami wpisał „Janosz Boka”. A obok, żeby było wiadomo, o jakie przewinienie chodzi, dopisał „furtka”.

Taka postawa dowódcy podobała się chłopcom. Boka wymierzał sprawiedliwość nawet samemu sobie. Był to przykład prawdziwego męstwa, o jakim nawet na lekcjach łaciny nie słyszeli, choć przecież wiele im mówiono o dzielnych Rzymianach. Lecz Boka był tylko zwykłym człowiekiem i miał też swoje słabości. Wprawdzie ukarał siebie, ale zaraz zwrócił się do Kolnaya, który zameldował o tym, że furtka nie została zamknięta.

- A ty nie powinienes tak paplać i skarżyć. Panie poruczniku, proszę wpisać Kolnaya za donosicielstwo.

Pan porucznik sięgnął więc znów po złowieszczy notes i wpisał Kolnaya. Stojący z tyłu Nemecek z radości, że to nie jego nazwisko wpisują do notesu, zaczął tańczyć czardasza. Trzeba bowiem wiedzieć, że w notesie figurowało wyłącznie nazwisko Nemecka, bo wszyscy, zawsze i za wszystko, kazali wpisywać Nemecka. I zbierający się co sobota trybunał osądzał jedynie Nemecka. Co tu dużo mówić, tak to już było. Bo Nemecek był jedynym szeregowcem.

Zakończono sprawę porządkowe i rozpoczęła się wielka narada. Po chwili wszyscy znali już sensacyjną wiadomość, że oto wódz czerwonych koszul, Feri Acz, odważył się wtargnąć w samo serce Placu Broni, że wdrapał się na środkową cytadelę i zabrał chorągiew. Oburzenie chłopców nie miało granic. Wszyscy otoczyli Nemecka, który do swojej relacji dorzucał coraz to nowe szczegóły.

- A czy mówił coś do ciebie?

- No pewnie! - chwalił się Nemecek.

- Co mówił?

- Krzyknął do mnie.

- Co krzyknął?

- Zawołał: „Nie boisz się, Nemecku?” - tu jasnowłosy chłopiec przełknął ślinę, bo wiedział przecież, że to nieprawda. Że było całkiem inaczej. Bo z opowiadania wynikało, że Nemecek jest niesłychanie odważny. Tak odważny, że Feri Acz aż się zdziwił i zapytał go: „Nie boisz się, Nemecku?”

- A co tyś mu odpowiedział?

- Nic. Stałem pod fortecą. A on zszedł na drugą stronę i zniknął. Uciekł.

- To nieprawda! - krzyknął Gereb. - Feri Acz jeszcze przed nikim nie uciekał!

Boka spojrział na Gereba.

- Ejże! Co ty go tak bronisz! - powiedział.

- Wcale nie bronię, mówię tylko - powiedział już nieco ciszej Gereb - że jest mało prawdopodobne, żeby Feri Acz przestraszył się Nemecka.

Wszyscy roześmieli się. Rzeczywiście, to było mało prawdopodobne. Nemecek, zbity z tropu, stał w środku grupy chłopców i wzruszał ramionami. Po chwili na środek wystąpił Boka.

- Słuchajcie, musimy coś zrobić - powiedział. - Na dziś zresztą wyznaczyliśmy wybory. Wybierzemy przewodniczącego. I to takiego, który będzie miał nieograniczoną

władzę i któremu wszyscy bez zastrzeżeń się podporządkują. Możliwe, że z powodu tej sprawy dojdzie do wojny i wtedy będziemy potrzebowali dowódcy, który ustali strategię jak w prawdziwej bitwie. Szeregowy, wystąp! Baczność! Przygotujcie tyle kartek, ilu nas jest. I niech każdy na swojej kartce napisze, kto ma być przewodniczącym. Potem wrzucimy kartki do czapki i kto dostanie najwięcej głosów, ten zostanie przewodniczącym.

- Niech żyje! - krzyknęli wszyscy jednym głosem, a Czonakosz włożył dwa palce do ust i gwizdnął przenikliwie niczym parowóz. Zaczęto wrywać z notesów kartki, Weiss wyjął swój ołówek. Dwóch chłopców zaczęło się sprzeczać, czyj kapelusz dostąpi zaszczytu urny wyborczej. Kolnay i Barabasz, którzy zawsze mieli do siebie pretensje, omal się o to nie pobili. Kolnay twierdził, że kapelusz Barabasza nie nadaje się do tego celu, bo jest brudny, Kende natomiast uważa, że kapelusz Kolnaya jest jeszcze brudniejszy. Z tego sporu oczywiście natychmiast wyniknęło sprawdzanie stopnia zabrudzenia obu nakryć głowy. Małym scyzorykiem zaczęli zdrapywać brud, aby przekonać się, która warstwa grubsza. No i zagapili się, bo w tym czasie Czele oddał na społeczny cel swój mały czarny kapelusik. W takich sprawach elegant Czele był nie do pokonania.

Nemeczek natomiast, ku zdumieniu wszystkich, zamiast rozdawać kartki wykorzystał okazję, że przez chwilę skupiła się na nim cała uwaga, i ściskając w zabrudzonej dłoni karteluszki, wystąpił krok naprzód. Stał na baczną i odezwał się drżącym głosem:

- Melduję, panie kapitanie, że tak dłużej nie może być, żebym tylko ja był tu szeregowcem... Od czasu jak założyliśmy nasz związek, wszyscy już awansowali i są oficerami, a tylko ja jeden ciągle jestem szeregowcem i wszyscy mi rozkazują... i wszystko tylko ja muszę robić... i... i...

Nemeczek tak się wzruszył swoją niedolą, że po twarzy zaczęły mu spływać grube łzy.

- Trzeba go wykluczyć ze związku - chłodno zaproponował Czele.

- Beczy - powiedział ktoś inny.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. To rozżaliło Nemeczka do reszty. Uczuł klucie w sercu, zaszlochał i głośno łkając wyjąkał:

- Zobaczcie w... w... czarnej księdze... tam też tylko ja... zawsze tylko ja jestem wpisywany... jak ten pies...

Boka przerwał mu spokojnym głosem:

- Jeśli natychmiast nie przestaniesz płakać, nie będziesz mógł więcej tutaj przychodzić. Nie zadajemy się z beksami.

Słowo „beks” wywarło wrażenie. Mały, biedny Nemeczek okropnie się przestraszył,

powoli opanował szloch. Wtedy kapitan położył mu rękę na ramieniu.

- Jeśli będziesz się dobrze sprawował i odpowiednio zasłużysz, to jeszcze w maju awansujesz na oficera. Na razie jednak pozostaniesz szeregowcem.

Chłopcy zgodzili się z takim postawieniem sprawy, bo gdyby Nemeček już w dzisiejszym dniu stał się oficerem, to wszystko straciłoby sens. Po prostu nie byłoby komu rozkazywać. Ciszę przerwał ostry głos Gereba:

- Szeregowy, zatemperujcie ołówek!

Szeregowemu wciśnięto w garść ołówek, który ułamał się w kieszeni Weissa, ponieważ nosił on w kieszeni również kulki. Szeregowiec nie protestował więcej i z zażawionymi oczyma, pochlipując jeszcze trochę, jak to po wielkim płaczu bywa, całą przepelniającą serce gorycz skupił na zaostreniu ołówka Hardmutha numer dwa.

- Go... gotowe, panie poruczniku! - zameldował.

Oddał zatemperowany ołówek i głęboko westchnął. Zrozumiał, że na razie musi zrezygnować z awansu na oficera.

Rozdano karteczki. Wszyscy rozeszli się i każdy, na osobności, wypełniał kartki, bo była to bardzo ważna sprawa. Potem szeregowy zbierał je i wrzucał do kapelusza Czelego. Kiedy Nemeček obchodził wszystkich z kapeluszem w rękę, Barabasz trącił w bok Kolnaya.

- Patrz, jego kapelusz też jest brudny!

Kolnay przyjrzał się dobrze kapeluszu Czelego. I obaj doszli do wniosku, że nie mają się czego wstydzić. Jeżeli bowiem nawet kapelusz Czelego jest brudny, to już niczemu nie należy się dziwić. Boka zaczął odczytywać zebrane kartki, po czym podawał je stojącemu koło niego Gerebowi. W sumie było czternaście kartek. Czytał je kolejno: Janosz Boka, Janosz Boka, Janosz Boka... Jeden raz pojawiło się inne nazwisko: Dežo Gereb. Chłopcy spojrzeli po sobie. Domyślili się, że była to kartka Boki, który z grzeczności oddał głos na Gereba. Potem znów były kartki z nazwiskiem Boki. I znów głos oddany na Gereba. I na zakończenie jeszcze jedna kartka: Dežo Gereb. Boka dostał w sumie jedenaście głosów, Gereb trzy. Gereb uśmiechał się z zakłopotaniem. Po raz pierwszy zdarzyło się, że otwarcie rywalizował z Boka o przywództwo. Był zadowolony z uzyskanych trzech głosów. Natomiast Boce spośród tych trzech głosów dwa sprawiły przykrość. Zastanawiał się, którzy z chłopców nie na niego głosowali, ale już po chwili pogodził się z tym faktem.

- A więc wybraliście mnie na przewodniczącego.

Chłopcy zaczęli wiwatować, a Czonakosz znów gwizdnął. Nemeček miał jeszcze łzy w oczach, ale z ogromnym zapalem wołał „Niech żyje!”, bo bardzo lubił Bokę.

Przewodniczący poprosił o spokój.

- Dziękuję wam, koledzy - powiedział - a teraz natychmiast weźmy się do dzieła. Myślę, że wszyscy zdajemy sobie sprawę z tego, że czerwone koszule chcą nam odebrać Plac i twierdze. Już wczoraj Pastorowie zabrali naszym kulki, a dziś buszował tu Feri Acz i wziął naszą chorągiew. Prędzej czy później przyjdą tutaj, żeby nas wypędzić. Ale my tego Placu nigdy nie oddamy, obronimy go!

Czonakosz wrzasnął z całej siły:

- Niech żyje Plac!

Rozejrzeli się po dużym Placu i po stojących na nim, oświetlonych wiosennym słońcem, sągach drzewa. Chłopcom błyszczały oczy, widać było, że kochają ten swój kawałeczek ziemi i gotowi są o niego walczyć, gdy przyjdzie ku temu potrzeba. Był to swoisty rodzaj miłości ojczyzny. I kiedy wołali „Niech żyje nasz Plac!”, brzmiało to zupełnie tak, jakby wołali „Niech żyje Ojczyzna!”. Płoneły im oczy, mocno biły serca.

Boka mówił dalej:

- Nie będziemy czekali, aż oni przyjdą do nas, uprzedzimy ich i sami pójdziemy do Ogrodu Botanicznego.

W innej sytuacji chłopcy cofnęliby się przed tak śmiałym planem, ale teraz, rozentuzjasmowani, zgodnie zakrzyknęli:

- Chodźmy!

A ponieważ wszyscy krzyknęli jednocześnie, więc również Nemeček zawołał „Chodźmy”. Wiedział biedak, że i tak będzie maszerował na samym końcu i że na pewno dadzą mu do niesienia płaszcze panów oficerów. Do rozbrzmiewających na Placu okrzyków dołączył spod jednej z twierdz jakiś ochrypły głos: „Chodźmy!”. Spojrzeli w tamtą stronę. To wołał stary Słowak. Stał z fajką w ustach i uśmiechał się. Obok warował jego pies Hektor. Chłopcy roześmieli się. A Słowak naśladując ich podrzucił w górę swój kapelusz i wrzasnął jeszcze raz:

- Chodźmy!

Na tym zakończyła się część oficjalna. Przyszła kolej na grę w palanta. Jeden z chłopców rozkazującym tonem zarządził:

- Szeregowy! Przynieście z magazynu piłkę i bijak!

Nemeček natychmiast pobiegł do magazynu, który mieścił się pod jednym z sągów. Wczołgał się do środka i wydobyl ze schowka piłkę oraz bijak. Koło sągu, obok Słowaka, stali Kende i Kolnay. Kende trzymał w ręku kapelusz Słowaka, a Kolnay badał grubość warstwy brudu. Kapelusz Słowaka był zdecydowanie najbrudniejszym kapeluszem świata.

Boka podszedł do Gereba.

- Dostałeś trzy głosy - powiedział.

- Tak - odparł dumnie Gereb i twardo spojrzał mu w oczy.

III

Nazajutrz późnym popołudniem, po lekcji stenografii, plan wojennych działań był gotowy. Stenografia kończyła się o godzinie piątej, kiedy na ulicy zapalano już lampy. Po wyjściu ze szkoły Boka zebrał chłopców.

- Słuchajcie - powiedział Boka - musimy uprzedzić ich natarcie i udowodnić im, że jesteśmy tak samo odważni jak oni. Wezmę ze sobą dwóch najodważniejszych i razem pójdziemy do Ogrodu Botanicznego. Przedostaniemy się na ich wyspę i przybijemy na drzewie tę kartkę.

Wyciągnął z kieszeni kartkę czerwonego papieru, na której drukowanymi literami było wypisane:

TU BYLI CHŁOPCY Z PLACU BRONI

Wszyscy z podziwem spojrzeli na kartkę. Czonakosz, który nie uczył się stenografii, i przyszedł pod szkołę li tylko z ciekawości, zaproponował:

- Dobrze byłoby jeszcze dopisać coś obraźliwego.

Boka przecząco potrząsnął głową.

- Nie wolno. W żadnym wypadku nie będziemy postępować tak, jak Feri Acz, który zabrał naszą chorągiew. My tylko pokażemy, że się ich nie boimy, że mamy odwagę wkroczyć na ich teren, gdzie przeprowadzają zebrania i gdzie ukrywają swoją broń. Ta czerwona kartka będzie naszą wizytówką, którą im zostawimy dla przestrogi.

Głos zabrał Czele.

- Słyszałem, że oni o tej porze wieczorem są na wyspie i bawią się w Policjantów i złodziei.

- Nie szkodzi. Feri Acz też przyszedł do nas o takiej porze, kiedy wiedział, że będziemy na Placu. Kto się boi, ten niech nie idzie ze mną.

Ale nikt się nie bał. Nawet Nemeček był zdecydowany. Widać było, że chce zasłużyć na przyszły awans. Dumnie wystąpił naprzód.

- Idę z tobą!

Zrobił to zwyczajnie, bo tu, przed szkołą, nie trzeba było stawać na baczność i salutować. Regulamin obowiązywał tylko na Placu. Tu wszyscy byli sobie równi.

Czonakosz również wystąpił.

- Ja też idę!

- Ale przyrzeknij, że nie będziesz gwizdał!

- Przyrzekam. Tylko jeszcze jeden raz... pozwól mi po raz ostatni gwizdnąć!

- No to gwizdnij!

I Czonakosz gwizdnął. Z radości zrobił to tak głośno, że aż ludzie na ulicy poodwracali głowy.

- Ale gwizdnąłem... - powiedział z zadowoleniem. - Na dziś wystarczy.

Boka zwrócił się do Czelego:

- A ty nie idziesz?

- Niestety, nie dam rady - powiedział ze smutkiem Czele. - Nie mogę iść z wami, bo muszę być w domu pół do szóstej. Matka wie, kiedy kończy się stenografia. Jeśli się spóźnię, to więcej nigdzie mnie nie puści.

Już sama myśl o tym przeraziła go. Skończyłoby się przychodzenie na Plac, porucznikowska ranga, wszystko...

- No to zostań - powiedział Boka. - Wezmę ze sobą Czonakosza i Nemezcza. Jutro rano w szkole dowiedzie się o wszystkim.

Podali sobie ręce. Nagle Boce coś się przypomniało.

- Słuchajcie, czy Gereb był dzisiaj na stenografii?

- Nie było go.

- Może jest chory?

- Chyba nie. W południe razem wracaliśmy ze szkoły. Nic mu nie było.

Boce nie podobało się zachowanie Gereba. Było dziwnie podejrzane. Wczoraj tak twardo spojrział Boce w oczy, kiedy się rozstawali. Chyba zdał sobie sprawę z faktu, że póki będzie Boka, on nie wysunie się na pierwsze miejsce w związku. Gereb zazdrościł Boce. Miał gwałtowne usposobienie, był odważny, a nawet zuchwały, więc rozsądne i spokojne postępowanie Boki nie mogło mu się podobać. Uważał się za lepszego i znacznie bardziej odpowiedniego na wodza.

- Bóg jeden wie, jak jest z tym Gerebem - powiedział do siebie cicho Boka ruszając w drogę z chłopcami. Czonakosz kroczył obok niego z poważną miną, Nemecek natomiast tryskał radością, że oto wreszcie może wziąć udział w niezwykłej wyprawie. Był tak wesoły, że Boka musiał mu zwrócić uwagę:

- Nemecek, nie wariuj! A może ci się wydaje, że idziemy na zabawę, co? Ta wyprawa jest znacznie niebezpieczniejsza, niż myślisz. Przypomnij sobie tylko braci Pastorów!

To poskutkowało. Na myśl o Pastorach Nemecek natychmiast spowaźniał. Feri Acz również cieszył się złą sławą, mówiono nawet, że wyrzucono go ze szkoły realnej, ale silny i szalenie odważny Feri miał w spojrzeniu coś miłego i ujmującego zarazem, czego brakowało Pastorom. Ci dwaj chodzili zawsze ze spuszczoneymi głowami, patrzyli ponuro spode łba i nikt nigdy nie widział uśmiechu na ich ogorzałych twarzach. Toteż wszyscy się bali przede wszystkim czarnowłosych Pastorów.

Trójka chłopców szła szybko nieskończenie długą ulicą Üllői. Było już po zmierzchu, zrobiło się całkiem ciemno. Na ulicy zapaliły się lampy i ta niezwykła pora budziła niepokój w duszach chłopców. Zazwyczaj wychodzili bawić się zaraz po obiedzie. O tej zaś porze ślęczeli nad książkami, a nie spacerowali po ulicy. W milczeniu szli obok siebie i po kwadransie dotarli do Ogrodu Botanicznego. Zza wysokiego, kamiennego muru wychylały się złowieszcze konary wielkich drzew, które dopiero zaczynały się zielenić. Wiatr szumił wśród gałęzi, było ciemno i gdy wyłonił się przed nimi tajemniczy o tej porze Ogród Botaniczny ze swoją zamkniętą już bramą, serca zabiły im mocniej. Nemecek chciał nacisnąć dzwonek przy bramie.

- Na miłość boską, nie dzwoń! - odezwał się Boka. - Usłyszą, że ktoś przyszedł! I wtedy spotkamy się z nimi po drodze... a zresztą i tak nikt nie otworzy nam teraz furtki.

- No to jak wejdziemy?

Boka spojrział na mur.

- Przez mur?

- Jasne.

- Tędy, od ulicy?

- Skądże! Obejdziemy ogród. Od tyłu mur jest znacznie niższy!

Skręcili w ciemną boczną uliczkę, gdzie kończył się kamienny mur. Od tego miejsca ciągnął się drewniany parkan. Szli dalej wzdłuż płotu szukając najdogodniejszego miejsca do przejścia. Zatrzymali się tam, gdzie nie docierało już światło ulicznej lampy. Po drugiej stronie ogrodzenia, przy samym płocie, stała duża akacja.

- Jeśli tu się wdrapiemy - powiedział Boka - to po tej akacji łatwo będzie nam zejść. A w dodatku już na drzewie sprawdzimy, czy nikogo nie ma w pobliżu.

Obaj chłopcy zgodzili się z planem Boki. Zaraz też przystąpili do działania. Czónakosz przykucnął i oparł się rękoma o parkan. Boka ostrożnie stanął mu na ramionach i zajrzał przez płot do ogrodu. Wszystko to odbyło się w absolutnej ciszy. Kiedy Boka przekonał się, że w pobliżu nie ma nikogo, dał znak ręką. Nemecek szepnął do Czónakosza:

- Podsadź go!

Czonakosz uniósł się i podsadził przewodniczącego na płot. Boka znalazł się na szczycie spróchniałego płotu, który zaczął niebezpiecznie trzeszczeć.

- Skacz! - szepnął Czonakosz.

Rozległo się jeszcze kilka trzasków i potem głucho pacnięcie. Boka wylądował w samym środku grządki z warzywami. Za nim przez płot przelazł Nemecek, a na końcu Czonakosz. Wpierw jednak Czonakosz wdrapał się na akację, co mu przyszło z łatwością, gdyż wychował się na wsi. Stojący pod drzewem chłopcy spytali:

- Widzisz coś?

Czonakosz odpowiedział zdławionym głosem:

- Prawie nic, bo strasznie ciemno.

- A widzisz wysepkę?

- Widzę.

- Jest tam ktoś?

Czonakosz ostrożnie wychylał się zza gałęzi na lewo i prawo, patrzył w dal, w kierunku stawu.

- Na wyspie nic nie widać, drzewa i krzaki zasłaniają... ale na moście...

Tu zamilkł. Wspiął się wyżej o jedną gałąź i znowu zameldował:

- Teraz dobrze widzę. Na moście stoją jakieś dwie postacie.

Boka odezwał się cicho:

- Czyli są tam. A na moście stoi warta.

Znów zatrzeszczały gałęzie i Czonakosz zlazł z drzewa. Wszyscy trzej stali chwilę w głębokiej ciszy, zastanawiając się, co dalej czynić. Przykucnęli za jednym z krzaków, tak aby ich nikt nie dostrzegł, i cichutko, szeptem, zaczęli się naradzać.

- Najlepiej będzie - powiedział Boka - jeśli pod osłoną krzaków podejdziemy do ruin zamku. Wiecie, stąd na prawo, na stoku wzgórza.

Obaj chłopcy w milczeniu skinęli głowami: tak, znają to miejsce.

- Możemy ostrożnie podejść do samych ruin kryjąc się w krzakach. Tam jeden z nas wejdzie na wzgórze, żeby się rozejrzeć wokoło. Jeśli nikogo nie będzie w pobliżu, to zsuniemy się ze wzgórza. Stok schodzi prosto do stawu. Schowamy się w sitowiu i pomyślimy, co dalej.

Czonakosz i Nemecek z przejęciem patrzyli na Bokę. Każde jego słowo wydawało im się święte.

Boka zapytał:

- Zgadzacie się?

- Tak jest! - wyrazili obaj pełną gotowość.

- No to naprzód! Trzymajcie się mnie. Znam tu każdy kąt.

I zaczął się czołgać na czworakach pośród niskich krzaków. Ledwie obaj jego towarzysze przyklękli, żeby za nim ruszyć, rozległ się ostry gwizd.

- Zauważyli nas! - Nemecek zerwał się na równe nogi.

- Stój! Padnij! - wydał rozkaz Boka i wszyscy trzej padli na trawę. Z zapartym oddechem czekali na to, co teraz nastąpi. Czy rzeczywiście ich zauważono?

Ale nikt się nie zjawiał. Tylko wiatr szumiał wśród drzew. Boka odezwał się szeptem:

- Nikogo nie ma.

W tym momencie ostry gwizd ponownie przeszył powietrze. Znowu odczekali chwilę, nadal nikt nie nadchodził. Nemecek, trzęsąc się skulony pod jednym z krzaków, zaproponował:

- Trzeba by rozejrzeć się z drzewa.

- Słusznie! Czonakosz, wejdź na drzewo!

Czonakosz z kocią zwinnością wdrapał się na akację.

- Co widzisz?

- Na moście poruszają się jakieś postacie... ale teraz jest ich czterech... dwóch wraca na wyspę.

- No, to wszystko w porządku - powiedział uspokojony Boka. - Zejdź szybko. Gwizd oznaczał zmianę warty.

Czonakosz zsunął się w dół, znowu ruszyli razem, na czworakach, w stronę wzgórza. O tej porze w wielkim, tajemniczym Ogrodzie Botanicznym panowała cisza. Na sygnał dawany przed zamknięciem ogrodu spacerowicze opuszczali park. W środku pozostawali tylko włóczędzy, względnie tacy, jak nasza skulona i skradająca się od krzaka do krzaka, snująca wojenne plany trójka chłopców. Swoją wyprawę traktowali niezwykle poważnie i zachowywali całkowite milczenie. Szczerze mówiąc bali się trochę. Trzeba było niezwyklej odwagi, żeby wdrzeć się do samego środka obwarowanego obozu czerwonych, który znajdował się na wyspie położonej na samym środku stawu. Wiodła tam jedna tylko droga, przez drewniany mostek, na którym stała warta.

Może na straży stoją akurat Pastorowie? - przeszło Nemeckowi przez głowę i zaraz przypomniały mu się gładkie, kolorowe kulki, wśród których było również kilka szklanych. Strasznie go złościło, że słowo *einstand* padło akurat w tym momencie, kiedy to właśnie on celnie rzucił i wygrał wszystkie kulki.

- Och! - krzyknął nagle Nemecek.

Przerażeni chłopcy zamarli w bezruchu.

Nemeczek przyklęknął i wsadził jeden palec do ust.

- Co ci się stało?

- Pokrzywy! Wpakowałem rękę w pokrzywy!

- To ssij, staruszk, ssij! - powiedział Czonakosz, ale jednocześnie przytomnie obwiązał własną rękę chusteczką.

Czołgali się dalej i szybko dotarli do wzgórza. Na jego zboczu, jak już o tym wiemy, znajdowały się sztuczne ruiny zamku, jakie często budowano w wielkich parkach należących do arystokratycznych rodzin. Starannie układa się kamienie, a potem wypełnia szczeliny mchem, tak, aby wyglądało to na prawdziwe ruiny.

- Zbliżamy się! - ostrzegł Boka. - Teraz musimy być bardzo ostrożni, bo czerwoni często robią tu wypadki.

- Co to za zamek? - zapytał Czonakosz. - Na historii nie mówiono nam przecież, żeby w Ogrodzie Botanicznym był jakiś zamek.

- To sztuczne ruiny. Zbudowano je już jako ruiny.

Nemeczek roześmiał się.

- Jeśli już budowali, to lepiej było zbudować prawdziwy zamek. A po stu latach i tak zostałyby tylko ruiny.

- Ale masz humorek! - skarcił go Boka. - Czekaj no, jak Pastorowie spojrzą na ciebie, to przejdzie ci ochota do żartów.

Rzeczywiście, Nemeczek zmarkotniał. Miał po prostu takie usposobienie, że szybko zapominał o przykrych sprawach i trzeba mu było nieustannie o nich przypominać.

Po tej krótkiej wymianie słów chłopcy zaczęli się wspinać po zarośniętych dzikim bzem kamieniach ruin na wzgórzu. Teraz na czele szedł Czonakosz. Nagle zastygł bez ruchu. Dał znak prawą ręką, odwrócił się i przestraszonym głosem szepnął:

- Tam chyba ktoś jest!

Zapadli w wysoką trawę. Rosnące w niej chwasty całkiem przykryły ich drobne postacie. Tylko im oczy błyskały. Nasłuchiwali.

- Czonakosz, przyłóż ucho do ziemi - szeptem rozkazał Boka. - Indianie tak zawsze robią. Łatwo wtedy usłyszeć, czy ktoś nie nadchodzi.

Czonakosz posłusznie wykonał polecenie. Położył się na ziemi i przyłożył ucho w miejscu, gdzie nie było trawy. Ale natychmiast poderwał głowę.

- Idą! - szepnął z przerażeniem.

Teraz już bez indiańskich sposobów słyszeć było, że ktoś przedziera się przez krzewy.

I że ten tajemniczy ktoś, o którym na razie nie było wiadomo, czy jest człowiekiem, czy też jakimś zwierzęciem, idzie prosto w ich kierunku. Chłopcy byli tak przestraszeni, że przyglęli płasko do ziemi. Tylko Nemecek siedział skulony i powtarzał cichym, płaczliwym głosem:

- Ja chcę do domu.

Teraz Czonakosz zaczął dowcipkować.

- Właź do jakiejś nory, staruszk!

Ponieważ jednak Nemecek w dalszym ciągu nie mógł opanować strachu, rozgniewany Boka wychylił się z trawy i z trudem tłumiąc złość rozkazał:

- Szeregowy, natychmiast skryć się w trawie! Padnij!

Rozkazowi naturalnie należało się podporządkować i Nemecek padł plackiem.

Tajemniczy ktoś szeleścił jeszcze w krzakach, ale jakby zmieniał kierunek i nie szedł już prosto w ich stronę. Boka ponownie wychylił głowę z chwastów i rozejrzał się. Dostrzegł schodzącą po zboczu wzgórza postać, która laską odgarniała krzewy.

- Poszedł - powiedział do leżących w trawie chłopców. - To był strażnik.

- Strażnik czerwonych?

- Nie. Stróż Ogrodu Botanicznego.

Odetchnęli z ulgą. Dorosłych nie bali się. Najlepszym przykładem stary żołnierz z brodawkami na nosie, który zupełnie nie mógł sobie poradzić z chłopcami w Ogrodzie Muzealnym. Znowu zaczęli się czołgać. Ale wtedy stróż widocznie coś usłyszał, bo zatrzymał się i zaczął nadśluchiwać.

- Zauważył nas - wyjąkał Nemecek.

Teraz obaj spojrzeli na Bokę, oczekując od niego dalszych poleceń.

- Szybko do ruin! - wydał rozkaz Boka.

Wszyscy trzej na łeb na szyję stoczyli się w dół ze wzgórza, na które przed chwilą jeszcze tak ostrożnie się wdrapywali. W ruinach zamkowych znajdowały się małe gotyckie okienka. Z przerażeniem stwierdzili, że pierwsze okno jest zakratowane. Podkradli się do następnego, ale i to było zabezpieczone kratą. Wreszcie w jednym miejscu znaleźli wśród kamieni szczelinę, przez którą mogli wśliznąć się do środka. Schowali się w ciemnej komorze i wstrzymali oddech. Sylwetka stróża przesunęła się przed oknami. Z kryjówki mogli stwierdzić, że stróż oddala się do tej części ogrodu, która położona była przy ulicy Üllői, tam znajdowała się jego budka.

- Chwała Bogu - odezwał się Czonakosz - już po wszystkim!

Teraz mogli spokojnie rozejrzeć się po kryjówce. Powietrze było tu wilgotne i stęchłe, jakby znajdowali się w prawdziwych zamkowych kazamatach. Nagle Boka potknął się o coś.

Schylił się i podniósł z ziemi jakiś przedmiot. Obaj chłopcy doskoczyli do niego i w nikłej poświacie zobaczyli, że to coś było tomahawkiem. Rodzajem toporka, jakim zgodnie z opisami w powieściach o Dzikim Zachodzie zwykli byli wojować Indianie. Tomahawk był wystrugany z drzewa i oklejony srebrnym papierem.

Groźnie połyskiwał w ciemnościach.

- To ich broń! - z nabożnym podziwem powiedział Nemecek.

- Tak jest - zgodził się Boka. - I jeśli znaleźliśmy jeden, to i pozostałe muszą tu być.

Zaczęli szukać i w jednym z zakamarków znaleźli jeszcze siedem tomahawków. Łatwo można więc było ustalić, że czerwonych jest w sumie ośmiu.

Doszli do wniosku, że właśnie tu znajdował się ich tajny arsenał. Czonakosz z miejsca zaproponował, ażeby zabrać te osiem tomahawków jako łup wojenny.

- Nie - sprzeciwił się Boka - nie zrobimy tego. Byłaby to po prostu kradzież.

Czonakosz zawstydział się.

- Coś tak przycichł, staruszkule! - odzyskał nagle odwagę Nemecek, ale Boka dał mu łagodną sówkę w bok, więc zaraz umilkł.

- Nie marnujmy czasu. Wyjdźmy stąd i szybko na wzgórze! Nie chciałbym dotrzeć na wyspę wtedy, kiedy już na niej nikogo nie będzie.

Ta zuchwała myśl pobudziła ich na nowo do czynu. Rozrucili tomahawki po całej komorze, aby zostawić tu ślad swojej bytności, po czym precyzyjnie się przez wyłom i odważnie, szybko wdrapali się na szczyt wzgórza. Stanęli obok siebie i rozejrzeli się, wszystko było widać jak na dłoni. Boka wydobył z kieszeni niewielkie zawiniątko. Odwinął gazetę i wyjął małą lornetkę wykładaną masą perłową.

- To teatralna lornetka siostry Czelego - powiedział i przyłożył lornetkę do oczu. Ale i gołym okiem też było widać wyspę. Wokół lśnił pierścień stawu, w którym hodowano rośliny wodne. Brzegi były zarośnięte szuwarami i trzcina. Wśród rozłożystych drzew i wysokich krzewów świecił na wyspie mały punkcik. Na ten widok wszyscy trzej spoważnieli.

- Są tam - powiedział zdławionym głosem Czonakosz.

- Mają latarnię - zauważył z uznaniem Nemecek.

Świecący punkt poruszał się to tu, to tam po całej wyspie, znikał za jakimś krzakiem i znów pojawiał się nad brzegiem. Ktoś chodził z latarnią po całej wyspie.

- Zdaje mi się - powiedział Boka, nawet na chwilę nie odrywając lornetki od oczu - zdaje mi się, że szykują się do czegoś. Albo to jakieś nocne ćwiczenia, albo...

Nagle zamilkł.

- No mów... co takiego? - pytali zaniepokojeni chłopcy.

- Święty Boże - powiedział Boka coraz mocniej przyciskając lornetkę do oczu - ten z latarnią... to... to...

- No? Kto taki?

- Bardzo podobny... nie, to niemożliwe...

Wszedł wyżej, żeby lepiej widzieć, ale światło latarni zniknęło za krzakiem. Boka opuścił lornetkę.

- Zniknął - powiedział cicho.

- Ale kto to był?

- Nie mogę powiedzieć. Nie widziałem go zbyt dobrze, a akurat wtedy, kiedy chciałem mu się dokładnie przyjrzeć, zniknął mi z pola widzenia. Póki się nie upewnię, nie mogę na nikogo rzucać podejrzeń...

- Czy to był ktoś z naszych?

- Tak mi się zdaje - odpowiedział smutno dowódca.

- Ależ to zdrada! - krzyknął Czonakosz zapominając o tym, że należy zachować ciszę.

- Cicho bądź! Jeśli tam dotrzemy, dowiemy się wszystkiego. Do tego momentu musisz być cierpliwy.

Teraz gnała ich naprzód również ciekawość. Boka nie chciał powiedzieć, kogo przypominała mu postać z latarnią. Próbowali zgadywać, ale przewodniczący uciszył ich i zabronił na kogokolwiek rzucać podejrzenia. Z podnieceniem zbiegli ze wzgórza i na dole znów zaczęli się czołgać w trawie. Byli tak przejęci, że nie zwracali uwagi na kaleczące im ręce kolce, pokrzywy czy ostre kamienie. W całkowitym milczeniu szybko zbliżali się do brzegów tajemniczego stawu.

Wreszcie byli na miejscu. Tu już mogli się wyprostować: sitowie, trzciny i nadbrzeżne krzaki były tak wysokie, że całkiem ich zakrywały. Boka nie tracąc zimnej krwi wydawał komendy.

- Gdzieś tu, w pobliżu, powinna znajdować się łódka. Ja z Nemeckiem pójdę szukać łodzi w prawo, a ty, Czonakosz na lewo. Kto pierwszy znajdzie łódkę, ten niech zaczeka przy niej.

Natychmiast ruszyli na poszukiwanie. Ledwo zrobili kilka kroków, Boka dojrzał łódkę wśród sitowia.

- Zaczekajmy - powiedział.

Czekali, aż Czonakosz okrąży cały staw i nadejdzie z drugiej strony. Usiedli na brzegu i przez chwilę patrzyli na gwiazdziste niebo. Potem zaczęli nadstawiać uszu z nadzieją, że usłyszą prowadzone na wyspie rozmowy. Nemecek chciał się popisać przed Boką.

- Słuchaj - powiedział - przyłożę ucho do ziemi, to może coś usłyszę.

- Daj spokój - odpowiedział Boka. - Nie ma co przykładać ucha do ziemi nad stawem. Ale jeśli nachylimy się nad wodą, to będziemy wszystko słyszeć. Widziałem, jak rybacy na Dunaju w taki sposób porozumiewali się ze sobą z obu brzegów rzeki. Zwłaszcza wieczorem głos doskonale niesie się po wodzie.

Pochylili się nad powierzchnią stawu, ale żadnego słowa nie usłyszeli wyraźnie. Z wyspy dobiegały tylko jakieś ściszone głosy i szmery. Wreszcie nadszedł Czonakosz i zrozpaczony zameldował:

- Nigdzie nie ma tej łodzi.

- Nie martw się, staruszk - pocieszył go Nemecek - znaleźliśmy ją.

Ruszyli razem w stronę łódki.

- Wsiadamy?

- Nie tutaj - postanowił Boka. - Naprzód musimy przeholować łódź na przeciwległy brzeg, żebyśmy nie znaleźli się w pobliżu tego mostu, jeśli nas zauważą. Musimy przeprowić się na wyspę w miejscu najbardziej odległym od mostu. Wtedy będą musieli nadrobić duży kawałek, żeby nas dogonić.

Ta przezorność spodobała się obu chłopcom. Świadomość, że ich dowódca potrafi tak mądrze wszystko przewidywać, dodała im otuchy. Boka odezwał się:

- Czy ktoś z was ma linę?

Czonakosz miał. Zresztą w kieszeni Czonakosza było wszystko. Nie ma takiego straganu na świecie, na którym byłoby tyle najrozmaitszych rzeczy, co w kieszeniach Czonakosza. A więc miał on przy sobie scyzoryk, sznurek, kulki, mosiężną klamkę, gwoździe, klucze, szmaty, notes, śrubokręt i Bóg jeden wie, co jeszcze. Czonakosz wydobył linę, a Boka przywiązał ją do znajdującego się na dziobie łodzi kółka. Po czym ostrożnie i powoli zaczęli ciągnąć łódź wzdłuż brzegu, w kierunku przeciwległej strony wyspy. W czasie holowania cały czas bacznie obserwowali wyspę. Kiedy wreszcie dobrnęli do tego miejsca, z którego chcieli się przeprowić, znów usłyszeli gwizd, taki sam jak poprzednio. Tym razem jednak już się nie przestraszyli. Wiedzieli bowiem, że ten gwizd oznacza zmianę warty. Nie bali się również i z tego względu, że poczuli się nagle w ogniu walki. Tak samo bywa z żołnierzami w czasie prawdziwej wojny. Póki nie zobaczą wroga, boją się byle krzaka. Kiedy jednak pierwsza kula świsnie im koło ucha, nabierają odwagi, ryzyko walki wciąga ich bez reszty i nie myślą o tym, że idą po śmierć.

Chłopcy zaczęli wsiadać do łódki. Pierwszy wskoczył Boka. Za nim Czonakosz. Nemecek lekko dreptał po mulistym brzegu.

- Chodźże, staruszk, chodźże - zachęcał go Czonakosz.

- Idę, staruszk, idę - odpowiedział Nemecek i w tym momencie Pośliznął się, ze strachu chwycił trzcinę i nie pisnąwszy nawet wpadł do wody. Zanurzył się aż po szyję. Nie krzyknął jednak i natychmiast się podniósł. Było tam płytko. Woda ściekała z niego strugami, w dłoni trzymał wciąż kurczowo cieniutką trzcinę i wyglądał bardzo śmiesznie.

Czonakosz nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

- Napileś się, staruszk? - parsknął.

- Nie napiłem - odpowiedział z przerażoną miną blondynek i zabłocony, przemoknięty do suchej nitki, wgramolił się do łodzi. Był całkiem błądy z wrażenia.

- Nie myślałem, że dziś jeszcze będę się kąpał - dodał cicho.

Nie było chwili do stracenia. Boka i Czonakosz chwycili za wiosła i odepchnęli łódź od brzegu. Ciężka łajba leniwie wypłynęła na staw, marszcząc gładką powierzchnię wody. Bezszelestnie zanurzali pióra wiosel. Panowała tak wielka cisza, że słyhać było, jak siedzącemu na dziobie Nemeckowi szczękają z zimna zęby. Po kilku chwilach dziób łodzi dotknął brzegu wyspy. Chłopcy w pośpiechu wyskoczyli na ląd i natychmiast ukryli się w krzakach.

- No, wreszcie. Jesteśmy - powiedział Boka i ostrożnie, cicho zaczął się skradać wzdłuż brzegu. Obaj chłopcy za nim.

- Hej! - dowódca odwrócił się nagle - nie możemy przecież zostawić łodzi bez opieki. Jeśli odkryją łódź, to nie będziemy mogli wrócić z wyspy. Ty, Czonakosz, zostaniesz przy czólnie. A gdyby ktoś zauważył łódź, wsadź palce do ust i gwizdnij najgłośniej, jak potrafisz. Wrócimy wtedy pędem, wskoczmy do łodzi, a ty ją odepchniesz od brzegu.

Czonakosz smętnie wrócił do czólna, ale w skrytości ducha cieszył się, że może nadarzy się okazja do takiego gwizdnięcia, ile sił w płucach...

Boka natychmiast ruszył z Nemeckiem wzdłuż brzegu. Tam gdzie zarośla były wysokie i zakrywały ich, prostowali się i biegli, gdzie niższe - skradali się. Przy jednym z wysokich krzaków zatrzymali się wreszcie. Rozchylili gałęzie, spojrzeli na położoną pośrodku wyspy polanę i zobaczyli siejący postrach oddział czerwonych koszul. Nemeckowi zaczęło walić serce. Przytulił się do Boki.

- Nie bój się - szepnął mu do ucha dowódca.

Na środku polany znajdował się duży głaz, a na nim stała ręczna latarnia. Wokół niej siedzieli czerwoni. Rzeczywiście, każdy z nich miał na sobie czerwoną koszulę. Koło Feriego Acza przykucnęło dwóch Pastorów. Obok mniejszego Pastora siedział ktoś, kto nie miał na sobie czerwonej koszuli.

Nemeczek nagle zaczął dygotać i Boka natychmiast to wyczuł.

- Ty... - powiedział Nemeczek i nic więcej nie mógł z siebie wykrztusić. - Ty... ty... -
Po chwili cichutko dodał: - Poznajesz go?

- Poznaje - odpowiedział ze smutkiem Boka.

Wśród czerwonych siedział nie kto inny jak Gereb. A więc Boka nie omylił się, kiedy przez lornetkę patrzył ze wzgórza. To rzeczywiście Gereb krążył z latarnią po wyspie. Teraz więc ze zdwojoną uwagą obserwowali czerwonych. W poświacie latarni niesamowicie wyglądały ogorzałe twarze Pastorów oraz czerwone koszule pozostałych chłopców. Wszyscy milczeli, tylko Gereb coś opowiadał. Widocznie mówił o czymś, co bardzo ich interesowało, gdyż pochylili się w jego stronę i z uwagą słuchali. Ale dwóch chłopców z Placu Broni również słyszało - w tej wieczornej ciszy - słowa Gereba.

- Na Plac można wejść z dwóch stron... - mówił Gereb. - Można wejść od ulicy Pawła, ale nie jest to łatwe, gdyż w regulaminie zapisano, że każdy, kto wchodzi, ma obowiązek zamknąć za sobą zasuwę furtki. Drugie wejście jest od ulicy Marii. Brama do tartaku jest szeroko otwarta i żeby dotrzeć na Plac, trzeba się przedrzeć przez sęgi drzewa. Byłoby to jednak o tyle trudne, że wśród sągów znajdują się fortece...

- Wiem o tym - przerwał mu Feri Acz niskim głosem, na dźwięk którego chłopców z Placu Broni aż ciarki przeszły.

- Pewno, że wiesz, przecież byłeś tam - ciągnął dalej Gereb. - W fortcach czuwają strażnicy i natychmiast dają znać, jeśli ktoś zbliża się od strony tartaku. Nie radziłbym wam podchodzić od tej strony...

Ach, więc o to chodzi. Czerwone koszule chcą zająć Plac!

Gereb mówił dalej:

- Najlepiej, jeśli z góry ustalimy, kiedy przyjdziecie. Wtedy ja przyjdę na Plac ostatni i zostawię otwartą furtkę. Nie zamknę jej na zasuwę.

- W porządku - powiedział Feri Acz - masz rację. Nie mam najmniejszego zamiaru zdobywać Placu wtedy, kiedy nikogo na nim nie będzie. Wypowiemy wojnę według wszelkich reguł i zaatakujemy Plac. Jeśli potrafią go obronić, trudno. Jeśli jednak go nie obronią, wówczas zajmiemy Plac i zatknijemy na nim czerwoną flagę. Nie robimy tego zresztą z chęci dokuczenia...

W tym momencie włączył się jeden z Pastorów:

- Robimy to tylko dlatego, że nie mamy gdzie grać w palanta. Tu nie wolno, a na ulicy Eszterhazy stale się trzeba wyklócać o miejsce... Potrzebujemy placu do gry, i kropka!

A więc postanowili wypowiedzieć wojnę z takich samych powodów, z jakich

prawdziwe armie ruszają do boju. Rosjanie chcieli panować na morzach i dlatego walczyli z Japonią. Czerwonym koszulom potrzebny był plac do gry w piłkę i nie mogli go zdobyć inaczej jak tylko drogą wojny.

- A więc ustaliliśmy - odezwał się znów wódz czerwonych koszul - że zostawisz otwartą furtkę od strony ulicy Pawła.

- Tak! - potwierdził Gereb.

Biednemu Nemeckowi serce ścisnęło się z żalu. Stał w mokrym ubraniu i szeroko otwartymi oczami patrzył na skupionych wokół latarni chłopców w czerwonych koszulach oraz na siedzącego wśród nich zdrajcę. W sercu czuł tak ogromną gorycz, że gdy z ust Gereba padło słowo „tak”, co oznaczało, że zgadza się zdradzić Plac Broni, Nemecek się rozplakał. Objął Bokę za szyję, popłakiwał cichutko i powtarzał w kółko:

- Panie kapitanie... panie kapitanie... panie kapitanie...

Boka łagodnie odsunął go od siebie.

- Płacz nic tu nie pomoże!

Ale i jego też dławilo w gardle. Bardzo smutne i haniebne było to, co zrobił Gereb.

Czerwoni podnieśli się nagle na dany przez Feriego Acza znak.

- Idziemy do domu - powiedział wódz czerwonych. - Czy wszyscy mają swoją broń?

- Tak jest - odpowiedzieli chórem i podnieśli z ziemi długie włócznie z zatkniętymi na końcu maleńkimi czerwonymi proporczykami.

- Naprzód marsz - rozkazał Feri Acz - ustawcie broń w krzakach w kozły!

Cała grupa, z Ferim Aczem na czele, ruszyła w głąb wyspy. Gereb też poszedł z nimi. Mała polana opustoszała, tylko na stojącym na środku głazie świeciła latarnia. Słychać było oddalające się kroki chłopców, którzy starannie chcieli ukryć swoje włócznie w krzakach.

Boka poruszył się.

- Teraz! - szepnął do Nemecka i sięgnął do kieszeni. Wyjął czerwoną kartkę papieru, w którą była już wbita pinezka. Rozchylił gałęzie i rozkazał Nemeckowi:

- Czekaj tu na mnie. Nie ruszaj się!

I wybiegł na polankę, na której jeszcze przed chwilą siedzieli czerwoni. Nemecek z zapartym tchem patrzył na swego dowódcę. Boka podbiegł najpierw do stojącego na skraju polany dużego drzewa o rozłożystej koronie, która niczym parasol przykrywała niemal całą wysepkę. W jednej sekundzie przytwierdził kartkę do drzewa, po czym podkraść się do latarni. Otworzył jedną z szybek i zdmuchnął palącą się w środku świeczkę. W tej samej chwili zapanowała ciemność i Nemecek przestał widzieć Bokę. Zanim jego oczy przywykły do ciemności, Boka stanął obok i mocno chwycił go za ramię.

- Pędź za mną, galopem!

I pognali w stronę brzegu, do łodzi. Czonakosz, gdy tylko ich zobaczył, wskoczył do łodzi, oparł wiosło o brzeg, gotów w każdej chwili odплыnąć. Obaj chłopcy w biegu wskoczyli do łodzi.

- Odjazd! - wydyszał Boka.

Czonakosz mocno napierał na wiosło, ale łódź ani drgnęła. Z dużą siłą dobili poprzednio do brzegu i dno łodzi wryło się w piasek niemal do połowy. Któryś z nich musiał wsiąść na brzeg, aby unieść dziób i zepchnąć łódź na wodę.

Tymczasem od strony polanki zaczęły dobiegać głosy. Czerwoni wrócili na polanę i zastali zgaszoną latarnię. Początkowo myśleli, że to wiatr ją zgasił, ale gdy Feri Acz spostrzegł otwartą szybkę, ryknął pełnym głosem:

- Tu ktoś był!

Czerwoni zapalili latarnię i wtedy wszystkim natychmiast rzuciła się w oczy przybita do drzewa kartka:

TU BYLI CHŁOPCY Z PLACU BRONI.

Feri Acz znów ryknął:

- Jeśli tu byli, to jeszcze tu są! Za mną!

Głośno gwizdnął. Przybiegli wartownicy i zameldowali, że przez most nikt nie mógł dostać się na wyspę.

- Przypłynęli łódką! - powiedział młodszy Pastor.

Zajęci spychaniem łodzi na wodę trzech chłopcy z przerażeniem usłyszeli okrzyk:

- Za nimi!

Ale akurat w tym momencie udało się Czonakoszowi zepchnąć łódź na wodę i samemu wskoczyć. Natychmiast chwycili za wiosła i z całych sił zaczęli zagarniać wodę.

Feri Acz darł się tymczasem na całe gardło:

- Wendauer, na drzewo, rozejrzyj się, gdzie oni są! Pastorowie na most, biegiem okrążyć brzeg, jeden w lewo, drugi w prawo!

Wydawało się już, że chłopcy z Placu Broni dostali się w potrzask. Nim bowiem wykonają jeszcze tych kilka pociągnięć wiosłem i dobiją do brzegu, szybko biegnący Pastorowie okrążą staw i odetną im drogę ucieczki. Jeśli zaś dobiją do brzegu przed Pastorami, wartownik dostrzeże ich z drzewa gołym okiem i wskaże kierunek ucieczki. Z łodzi było widać, jak Feri Acz z latarnią w ręku biegnie brzegiem wyspy. Po chwili rozległ się tupot nóg po deskach mostu, to właśnie Pastorowie rzucili się w pościg...

Nim jednak wartownik wdrapał się na drzewo, chłopcy znaleźli się na lądzie.

- Łódź dobiła do brzegu! - rozległo się wołanie z drzewa. I natychmiast odezwał się głęboki głos wodza czerwonych koszul:

- Wszyscy biegiem za nimi!

Ale trójka chłopców gnała już wtedy co tchu.

- Żeby nas tylko nie dogonili - krzyknął w biegu Boka. - Jest ich dużo więcej!

Pędzili na przełaj, przez alejki, trawniki, na przodzie Boka, za nim dwóch pozostałych. Kierowali się prosto na oranżerię.

- Skryjemy się w szklarni! - wydyszał Boka pędząc w kierunku małych drzwi. Na szczęście były otwarte. Wśliznęli się do środka i skryli się za wielkimi cyprysami. Na zewnątrz panowała cisza. Ścigający stracili widocznie trop.

Trójka chłopców mogła teraz chwilkę odpocząć. Rozejrzeli się po dziwnym pomieszczeniu, przez którego szklany dach i ściany przenikał nikły blask miejskiego wieczoru. Ta wielka oranżeria była miejscem niezwykłym i ciekawym. Znajdowali się w lewym jej skrzydle, za nim ciągnęła się środkowa część budynku, a dalej było prawe skrzydło. Wzdłuż całej szklarni stały w ogromnych zielonych donicach drzewa o grubych pniach i wielkich liściach. W długich skrzynkach rosły paprocie i mimozy. A pod wielką kopułą środkowej części oranżerii wysoko wspinały się w górę strzeliste palmy o liściach przypominających wachlarze. Rosła tu dosłownie mała dżungla. W samym środku znajdował się basen, w którym pływały złote rybki. Obok stała ławeczka. Dalej rosły magnolie, drzewa laurowe, pomarańczowe i olbrzymie paprocie. Powietrze wypełniał mocny, odurzający zapach tropikalnych roślin. W szklarni było parno i z sufitu oraz ze ścian nieustannie spływała woda. Wielkie krople z pluskiem spadały na grube, mięsiste liście, a kiedy pod ciężarem wody zaszeleściła jakaś palma, wówczas chłopcom wydawało się, że w tej wilgotnej dżungli, między zielonymi donicami, przemykają dziwaczne podzwrotnikowe zwierzęta.

Chłopcy poczuli się wreszcie bezpieczni, ale jednocześnie chcieli się stąd czym prędzej wymknąć.

- Żeby tylko nie zamknęli nas w tej oranżerii - szepnął Nemecek, który wyczerpany siedział u podnóża wielkiej palmy. Było mu w tym ogrzewanym pomieszczeniu bardzo przyjemnie, bo przecież całą odzież miał mokrą.

- Jeśli do tej pory nie zamknęli, to już nie zamkną - uspokoił go Boka.

Siedzieli więc i nasłuchiwali. Ale nie dotarł do nich żaden podejrzany dźwięk. Nikomu widać nie przyszło do głowy szukać ich tutaj. Wstali więc i zaczęli błądzić wśród wysokich półek, na których piętrzyły się zielone krzewy, pachnące trawy i kwiaty. Członakosz z trudem gramolił się na jedną z półek. Usłużny Nemecek chciał koledze pomóc.

- Zaczekaj chwilę - powiedział - poświęcę ci.

I nim Boka zdążył przeszkodzić, wyjął z kieszeni zapalki*, kapnął na jedną z nich, zapalka zapłonęła, ale w następnej chwili natychmiast zgasła, gdyż Boka wytrącił ją Nemeczkowi z ręki.

- Głupia mała! - powiedział gniewnie. - Zapomniałeś, że jesteśmy w szklarni! Przecież te ściany są ze szkła... teraz na pewno zobaczyli błysk.

Chłopcy znieruchomieli i zaczęli nasłuchiwać. Rzeczywiście, Boka miał rację. Czerwoni musieli spostrzec płomyk, który na ułamek sekundy rozświetlił szklarnię, bo słyhać już było, skrzypiące po wysypanej żwirem alejce, kroki zmierzające również w stronę drzwi lewego skrzydła. Usłyszeli głośne rozkazy Feriego Acza:

- Pastorowie do drzwi prawego skrzydła! Sebenicz do środkowych, a ja wejdę tymi!

Chłopcy z Placu Broni ukryli się w jednej chwili. Czonakosz wśliznął się pod jedną z półek. Nemeczkowi kazali wejść do basenu ze złotymi rybkami, bo i tak już był przemoczony. Malec zanurzył się w wodzie aż po brodę, a głowę schował pod dużą gałęzią paproci. Boce pozostało zaledwie tyle czasu, aby stanąć za otwierającymi się drzwiami.

Do środka w towarzystwie eskorty wkroczył Feri Acz z latarnią w ręku. Światło latarni i cień padały na szklane drzwi w ten sposób, że Boka mógł dobrze widzieć Acza, natomiast Acz nie widział Boki. Mógł się więc teraz Boka dobrze przypatrzeć wodzowi czerwonych koszul. Widział go kiedyś z bliska, tylko jeden raz w Ogrodzie Muzealnym. Feri Acz był przystojnym chłopcem, oczy błyszczały mu wojowniczo. Ale szybko zniknął z pola widzenia. Wraz z innymi chłopcami uważnie obszedł wszystkie przejścia, zajrzeli nawet pod niektóre półki. Nikomu jednak nie przyszło do głowy szukać uciekinierów w basenie. A Czonakosza nie znaleźli tylko dlatego, że gdy czerwoni zamierzali właśnie zajrzeć pod półkę, pod którą leżał Czonakosz, jeden z chłopców, nazywany przez Acza Sebeniczem, odezwał się:

- Oni już dawno wyszli przez drzwi w prawym skrzydle...

I ruszył natychmiast w tamtą stronę, a pozostali chłopcy, w ferworze pościgu, poszli za nim, przewracając po drodze doniczki.

Znowu zapanowała cisza.

Czonakosz pierwszy opuścił swoją kryjówkę.

- Staruszk - powiedział - jakaś skorupa spadła mi na głowę. Mam wszędzie pełno

* Pod koniec XIX w. na Węgrzech używano zapalek wynalezionych przez Janosa Irinyiego, które zapalały się po kapnięciu na fosforową główkę kropki specjalnego płynu. Dopiero później Szwedzi ulepszyli zapalki do stosowanej obecnie formy.

ziemi.

I gorliwie zaczął wypluwać piasek. Teraz, niczym wodny potwór, wynurzył się z basenu Nemecek, woda lała się z niego strugami, a on skarżył się płaczliwym głosem:

- Czy ja już całe życie będę musiał siedzieć w wodzie? Czy ja jestem żabą, czy co?

Otrząsnął się niczym mokry pinczerek.

- Przestań się mazać - uspokajał go Boka. - Chodźmy stąd szybko, żeby ten wieczór się wreszcie skończył...

Nemecek westchnął:

- Och, jakbym chciał być już w domu!

Uzmysłowił sobie jednak natychmiast, jak przywitają go rodzice, kiedy zobaczą mokre ubranie, poprawił się więc szybko:

- Właściwie to wcale mi się nie chce iść do domu!

Biegiem wrócili pod akację, w to samo miejsce; gdzie przechodzili przez płot. Czonakosz wdrapał się na drzewo, lecz nim postawił nogę na szczycie ogrodzenia, obejrzał się za siebie i wykrzyknął przestraszony:

- Idą w naszą stronę!

- Szybko na drzewo! - rozkazał Boka.

Czonakosz pomógł wdrapać się na drzewo obu swoim towarzyszom. Wspięli się tak wysoko, jak tylko pozwalały na to konary drzewa. Rozzłościło ich, że właśnie teraz, kiedy już niemal byli za ogrodzeniem, mogli zostać złapani.

Chłopcy w czerwonych koszulach hałaśliwie zbliżali się do drzewa. Trójka uciekinierów w milczeniu przycupnęła wśród zielonych gałęzi... niczym jakieś wielkie ptaszyska.

I znów odezwał się Sebenicz, ten sam, który w oranżerii odwrócił od nich uwagę oddziału:

- Widziałem, jak przeskoczyli przez płot.

Widocznie ten Sebenicz był najgłupszy. A ponieważ z reguły najgłupszy czyni najwięcej hałasu, przeto bez przerwy właśnie on coś wykrzykiwał. Czerwoni, którzy byli dobrze wygimnastykowani, w ciągu jednej chwili przeskoczyli przez płot. Feri Acz przechodził przez ogrodzenie ostatni, a nim to uczynił, zgasił latarnię. Wdrapywał się na parkan przy tym samym drzewie, na którego szczycie siedziały trzy ptaszyska.

I wtedy z Nemecka, z którego kapłała woda niczym z dziurawego okapu, kilka kropeł spadło Aczowi na kark.

- Zaczyna padać - krzyknął Acz, wytarł szyję i zeskoczył na ulicę.

- Są tam! - rozległo się z ulicy i wszyscy pobiegli we wskazanym przez Sebenicza kierunku. Była to kolejna jego pomyłka. Boka zresztą nawet zauważył:

- Gdyby nie ten Sebenicz, to dawno by już nas złapali...

Teraz już byli pewni, że udało się im umknąć. Widzieli, jak przeciwnicy rzucili się w pogoń za dwoma spokojnie idącymi sobie ulicą chłopcami.

Oczywiście obaj chłopcy przestraszyli się i zaczęli uciekać. Czerwoni pędzili za nimi z dzikim rykiem. Hałas zamilkł dopiero gdzieś w dalekiej uliczce peryferyjnej dzielnicy...

Zeszli z płotu i kiedy ich stopy znów dotknęły bruku ulicy, odetchnęli z ulgą. Po chwili minęła ich jakaś staruszka, a potem pokazali się inni przechodnie. Poczuli, że znajdują się w mieście i nic już im tu nie grozi. Byli zmęczeni i głodni. W pobliskim domu sierot, którego okna przyjaźnie rozjaśniały mrok ulicy, zadzwoniono akurat na kolację.

Nemeczek dygotał z zimna.

- Pośpieszmy się - powiedział.

- Stój - odezwał się Boka. - Pojedziesz do domu tramwajem. Masz, tu są pieniądze.

Wsadził rękę do kieszeni, ale miał przy sobie tylko trzy grajczary. Poza tymi trzema miedzakami oraz kałamarzykiem, z którego ciągle sączył się niebieski atrament, niczego więcej nie miał w kieszeni. Wyciągnął te trzy zaplamione atramentem grajczary i wręczył je Nemeczkowi:

- Nie mam więcej.

Czonakosz znalazł dwa grajczary, a Nemeczek miał przy sobie jednego miedzaka z aniołkiem, na szczęście, którego przechowywał w pudełeczku po pigułkach. W sumie zebrało się więc sześć grajczarów. Tyle, ile potrzebne było na bilet.

Boka zatrzymał się na chwilę. Sprawa Gereba ciągle nie dawała mu spokoju. Stał smutno zamyślony. Jeden Czonakosz nic nie wiedział o zdradzie, był więc rad i wesół.

- Uważaj, staruszkule! - powiedział, gdy Boka spojrzał na niego, włożył dwa palce w usta i przeraźliwie gwizdnął. Z całych sił, jak tylko można najgłośniej. Potem spojrzał na kolegów z zadowoleniem.

- Przez cały wieczór zbierało się to we mnie - powiedział z łobuzerską miną - i już nie mogłem się powstrzymać.

Ujął Bokę pod ramię i zmęczeni tyłoma emocjami ruszyli w stronę miasta długą ulicą Üllöi.

IV

Zegar znów wybił godzinę pierwszą i chłopcy w klasie zaczęli pakować książki. Pan profesor Rac zatrzasnął dziennik i stanął na katedrze. Zawsze usłużny prymus Czegey podbiegł do nauczyciela i pomógł mu włożyć palto. Siedzący w różnych ławkach chłopcy z Placu Broni spoglądali na Bokę w oczekiwaniu poleceń. Wiedzieli, że dziś po południu, już o drugiej, odbędzie się zbiórka na Placu, ponieważ trzyosobowy patrol zwiadowczy miał złożyć sprawozdanie z wyprawy do Ogrodu Botanicznego. O tym, że wyprawa się udała i przewodniczący chłopców z Placu Broni dzielnie zrewizytował czerwone koszule - wszyscy już wiedzieli. Ale chłopcy ciekawi byli szczegółów wyprawy, przygód, jakie się przydarzyły wysłannikom, oraz niebezpieczeństw, które musieli pokonać. Z Boki nawet obcęgami nie wyrwaliby słowa na ten temat. Czonakosz plótł jak zwykle, co mu ślina na język przyniosła, i okropnie przy tym blagował. Opowiadał o jakichś dzikich zwierzętach, z którymi spotkali się w ruinach zamku w Ogrodzie Botanicznym, mówił, że Nemecek omal nie utonął w stawie... że czerwoni siedzieli na wyspie wokół olbrzymiego, płonącego stosu... Wszystko mu się przy tym plątało i zawsze zapominał o tym, co najważniejsze. Poza tym co chwila ogłuszał słuchaczy przeraźliwymi gwizdami, którymi kończył każde zdanie, co dodatkowo utrudniało słuchanie.

Nemecek natomiast czuł się bardzo ważny i swoją tajemniczością jeszcze podsycił ciekawość. Gdy pytano go o wydarzenia, odpowiadał z powagą:

- Nie wolno mi nic powiedzieć.

Albo też:

- Zapytajcie naszego przewodniczącego.

Wszyscy okropnie zazdrościli Nemeckowi, który, mimo że był tylko szeregowcem, wziął udział w tak wspaniałej wyprawie. Panowie podporucznicy i porucznicy czuli, że po tych wydarzeniach szeregowy Nemecek stał się znacznie ważniejszy od nich, ba, niektórzy nawet zaczęli głosić, że malca niezwłocznie awansują na oficera i na Placu, poza czarnym psem Słowaka - Hektorem, nie będzie już żadnego szeregowca...

Nim jeszcze pan profesor Rac opuścił klasę, Boka podniósł do góry dwa palce. Miało to znaczyć, że o drugiej godzinie spotykają się na Placu. Inni chłopcy, którzy nie należeli do grupy z Placu Broni, odczuwali straszliwą zazdrość, kiedy na ten znak Boki wtajemniczeni potwierdzili salutowaniem, iż wiedzą, o co mu chodzi. O drugiej na Placu!

Już chcieli wychodzić z klasy, kiedy nastąpiło coś nieoczekiwanego.

Profesor Rac zatrzymał się na stopniu katedry.

- Zaczekajcie - powiedział.

Natychmiast zapanowała cisza.

Nauczyciel wyciągnął z kieszeni palta małą karteczkę. Włożył okulary i zaczął odczytywać:

- Weiss!

- Obecny - odpowiedział z przestraczem w głosie Weiss.

Profesor czytał dalej następujące nazwiska:

- Rychter! Czele! Kolnay! Barabasz! Lesik! Nemecek!

Wczytywani odpowiadali kolejno:

- Obecny! Obecny!

Profesor Rac schował kartkę do kieszeni i powiedział:

- Przed pójściem do domu zgłosić się do mnie w pokoju nauczycielskim. Mam do was małą sprawę.

Po czym, nie wyjaśniając przyczyny tego dziwnego zaproszenia, wyszedł z klasy.

W klasie aż zaszumiało.

- Dlaczego nas wzywa?

- Dlaczego mamy zostać?

- Czego od nas chce?

Takie pytania zadawali sobie wezwani przez profesora chłopcy. A ponieważ tak się złożyło, że wszyscy wyczytani byli z Placu Broni, więc cała klasa natychmiast zgromadziła się wokół Boki.

- Ja też nie wiem, o co może chodzić - powiedział przewodniczący - Idźcie, a ja zaczekam na was na korytarzu.

Następnie Boka zwrócił się do swoich podkomendnych:

- Wobec tego spotkamy się nie o drugiej, lecz o trzeciej. Ze względu na tę nieprzewidzianą przeszkodę.

Wielki korytarz szkolny zaludnił się w mgnieniu oka. Z innych klas również wychodzili uczniowie. Na cichym przed chwilą korytarzu zapanował gwar, tłok, wzajemne przepychanie się. Wszyscy bardzo się śpieszyli.

- Zostajecie w kozie? - jakiś chłopiec zwrócił się do smutnej grupki sterczącej pod drzwiami nauczycielskiego pokoju.

- Nie - odpowiedział hardo Weiss.

Chłopiec odwrócił się i wybiegł ze szkoły. Patrzyli za nim z zazdrością. Mógł

spokojnie iść do domu...

Po kilku minutach oczekiwania otworzyły się drzwi pokoju nauczycielskiego i zza mlecznej szyby wyłoniła się wysoka, szczupła sylwetka profesora Raca.

- Wejdźcie - powiedział i ruszył pierwszy.

W pokoju nauczycielskim było pusto. Chłopcy w śmiertelnej ciszy stanęli wokół długiego zielonego stołu. Ostatni z wchodzących ostrożnie zamknął za sobą drzwi. Profesor Rac usiadł na głównym miejscu przy stole i spojrzał na chłopców.

- Czy wszyscy są?

- Tak.

Z dołu, z podwórza, dobiegał radosny gwar śpieszących do domu uczniów. Nauczyciel zamknął okno i w dużym pokoju, z półkami pełnymi książek, zapanowała głucha, złowroga cisza. Po dłuższej chwili przerwał ją głos nauczyciela:

- Dowiedziałem się, że założyliście jakieś stowarzyszenie. Dlatego was tu wezwałem. Podobno ta wasza organizacja nazywa się Związkiem Kitowców. Ten, który mnie o tym poinformował, wręczył mi listę członków tego związku. Czy to prawda, że należycie do tego związku?

Nikt nie odpowiadał. Wszyscy stali w milczeniu obok siebie z nisko opuszczonymi głowami, co było najlepszym dowodem prawdziwości powyższego oskarżenia.

Nauczyciel mówił dalej:

- Zaczniemy od początku. Przede wszystkim chcę wiedzieć, kto założył ten związek, kiedy jasno i wyraźnie oświadczyłem, że nie pozwalam na zakładanie żadnej, ale to żadnej organizacji.

Nikt jednak nie odpowiadał.

Po długiej ciszy odezwał się wreszcie jakiś zalękniony głos:

- To Weiss.

Profesor Rac surowo spojrzał na Weissa.

- Weiss! Czy ty nie potrafisz się sam zgłosić?

- Ależ tak, potrafię - odpowiedział cichutko Weiss.

- To dlaczego nie przyznałeś się od razu?

Na to pytanie biedny Weiss nie znalazł odpowiedzi. Profesor Rac zapalił cygaro i wypuścił kłąb dymu.

- No to po kolei - powiedział. - Po pierwsze powiedz mi, o jakich tu kitowców chodzi, co to w ogóle znaczy?

Zamiast odpowiedzi Weiss wyjął z kieszeni dużą bryłę kitu i położył ją na stole. Przez

chwilę patrzył na nią, a potem tak cicho, że ledwo go było słycać, powiedział:

- To jest właśnie kit.

- A cóż to takiego? - zapytał nauczyciel.

- Kit to kit, to taka masa, którą przykleja się szyby do ram okiennych. Szklarz wkłada szybę w ramę, i potem przyklepiają kitem, a my to wydlubujemy paznokciem.

- I to ty wydrapałeś ten cały kit?

- Nie, panie profesorze. To jest związkowy kit.

Nauczyciel uniósł brwi ze zdziwienia.

- Co takiego? - zapytał.

Weiss nabrał nieco odwagi.

- To jest kit zebrany przez członków związku - powiedział - a zarząd mnie właśnie powierzył jego przechowywanie. Poprzednio Kolnay przechowywał kit, bo on jest naszym skarbnikiem, ale u niego kit wysechł, bo go nigdy nie żuł.

- Więc ten kit trzeba żuć?

- Tak, bo inaczej wysycha i wtedy nie można go ugniatać. Ja codziennie żułem kit.

- Dlaczego właśnie ty?

- Bo zgodnie z naszym statutem prezes powinien przynajmniej raz dziennie żuć związkowy kit, żeby nie stwardniał...

Tu Weiss załamał się, wybuchnął płaczem i pochlipując dodał:

- A teraz właśnie ja... jestem prezesem.

Napięcie wzrosło. Głos nauczyciela brzmiał surowo:

- W jaki sposób zebraliście taki ogromny kawał kitu?

Zapanowała cisza. Nauczyciel spojrzał na Kolnaya.

- Kolnay! Gdzie to zebraliście?

Kolnay zaczął trajkotać tak gorliwie, jakby wierzył, że swoim szczerym wyznaniem wyratuje kolegów z opresji.

- Bo proszę pana psora, myśmy to uzbierali przez cały miesiąc. Naprzód to ja żułem, ale wtedy ten kit był mniejszy. Pierwszy kawałek przyniósł Weiss i od tego się zaczęło, wtedy założyliśmy nasz związek. Ojciec zabrał Weissa na przejażdżkę dorożką i on wydrapał kit z okna. Aż paznokcie sobie rozkrwawił. Potem ktoś wybił szybę w auli, więc całe popołudnie czekałem, aż przyjdzie szklarz, a on przyszedł dopiero o piątej i ja go wtedy poprosiłem, żeby dał mi trochę kitu, ale on nic nie odpowiedział, po prostu nie mógł mówić, bo on miał całą paszczę kitu.

Nauczyciel surowo zmarszczył brwi.

- Jak ty się wyrażasz? Zwierzę ma paszczę, nie człowiek!

- Przepraszam, całe usta miał pełne kitu. Bo żuł kit. Więc podszedłem i poprosiłem go, żeby pozwolił mi się przyglądać, jak będzie wprawiał szybę. Patrzyłem, jak przyciął szybę, wprawił ją i wreszcie poszedł. A kiedy już poszedł, to ja zaraz wydrapałem kit. I zabrałem. Ale nie dla siebie, lecz dla naszego związku... zwią... zwią... kuuu... - i również się rozpłakał.

- Przestań płakać - powiedział profesor Rac.

Weiss, który w zdenerwowaniu miętosił róg kurtki, nie omieszkał zauważyć:

- Zaraz ryczy...

Ale Kolnay dalej szlochał i to tak rozpaczliwie, że aż serce się krajało. Weiss syknął więc znowu:

- Nie rycz!

Ale wkrótce i on zaczął beczeć. Łzy wzruszyły widać profesora Raca. Mocno zaciągnął się cygarem. Wtedy elegancik Czele zdecydował zachować się tak, jak zwykli to czynić rzymscy bohaterowie i jak wczoraj na Placu Broni postąpił Boka, więc godnym krokiem wystąpił przed oblicze profesora i stanowczym głosem oświadczył:

- Panie profesorze, ja również zbierałem kit dla związku.

I śmiało spojrział nauczycielowi w oczy. Profesor Rac zapytał:

- Skąd go brałeś?

- Z domu - odpowiedział Czele - stłukłem szybkę w zbiorniczku do kąpielii w klatce dla ptaków. Mama kazała to zaraz naprawić, a ja wydłubałem potem kit i woda wypłynęła na dywan, kiedy kanarek zaczął się kąpać. Ale po co taki kanarek ma się kąpać? Wróble na przykład w ogóle się nie kąpią, są brudne i wcale im to nie przeszkadza.

Profesor Rac pochylił się na swoim krześle i pogroził Czelemu.

- Nie rezonuj, Czele, bo ci zaraz zepsuje ten twój dobry humor! Mów dalej, Kolnay!

Kolnay pochlipywał jeszcze. Wytarł nos i zapytał:

- A co mam jeszcze mówić?

- Skąd wzięliście resztę kitu?

- Czele właśnie przed chwilą powiedział... I związek dał mi raz sześćdziesiąt grajcarów na ten cel...

To już się panu profesorowi Racowi zupełnie nie podobało.

- A więc również kupowaliście kit?

- Nie - odparł Kolnay. - Tylko mój ojciec jest lekarzem i przed południem jeździ fiakrem do pacjentów, raz zabrał mnie ze sobą, a ja z okna wydłubałem kit, bo był bardzo miękki, no to związek dał mi sześć dziesiątek, żebym sam się tym fiakrem przejechał, więc po

południu wsiadłem i pojechałem aż na Urzędnicze Parcele, po drodze wydłubałem kit ze wszystkich czterech okien, a potem piechotą wróciłem do domu.

Profesor zastanowił się chwilę.

- Czy to było wtedy, kiedy spotkałem cię przy Akademii Sztabu Generalnego?

- Tak jest.

- I odezwałem się do ciebie... A ty mi nie odpowiedziałeś.

Kolnay pochylił głowę i ze smutkiem odparł:

- Nie mogłem, bo miałem pełną paszczę kitu.

I Kolnay znów się załamał i znów zaczął płakać.

Weiss ponownie się zdenerwował, zaczął miętosić w rękę kurtkę i zmieszany powiedział:

- Znów ryczy...

I sam w bek.

Nauczyciel wstał i zaczął przechadzać się po pokoju.

- Ładna sprawa. A kto był prezesem?

Usłyszawszy to pytanie Weiss błyskawicznie uspokoił się. Przestał płakać i dumnie uniósłszy głowę oświadczył:

- Ja!

- A kto był skarbnikiem?

- Kolnay.

- Oddaj pieniądze, które wam zostały.

- Proszę.

Kolnay sięgnął do kieszeni. A miał nie mniej przepastne kieszenie niż Czonakosz. Zaczął w nich grzebać i po kolei wyjmować wszystko, co w nich trzymał. Przede wszystkim wydobyl jednego forinta* i czterdzieści trzy grajczary. Potem dwa znaczki pocztowe po pięć grajczarów, kartkę pocztową, dwa znaczki skarbowe o wartości jednej korony każdy, osiem nowych stalówek i jedną kolorową kulkę. Nauczyciel sposepniął na widok pieniędzy i dokładnie je przeliczył.

- Skąd braliście pieniądze?

- Ze składek członkowskich. Co tydzień każdy płacił dziesięć grajczarów składki.

- A po co były wam potrzebne pieniądze?

* Pod koniec XIX wieku w węgierskiej części Królestwa i Cesarstwa Austro - Węgierskiego oprócz grajczarów i koron w obiegu znajdowały się forinty. Wartość jednego forinta wynosiła 2 korony, jednej korony - 100 grajczarów.

- Wpłacaliśmy składki dla zasady. Weiss zrezygnował bowiem jako prezes z pensji.
- Ile miał dostawać tej pensji?
- Pięć grajcarów tygodniowo. Ja przyniosłem znaczki, pocztówkę Barabasza, a znaczki skarbowe Rychter. Ojciec mu... to znaczy on je ojcu...

- Ukradł! Co? Rychter! - przerwał gwałtownie nauczyciel.

Rychter wystąpił i spuścił oczy.

- Ukradłeś? Przyznaj się!

Chłopiec bez słowa skinął potwierdzająco głową.

- Cóż to za deprawacja! Kim jest twój ojciec? - nauczyciel był wstrząśnięty i z dezaprobatą kręcił głową.

- Mój ojciec, doktor Ernest Rychter, jest adwokatem. Ale nasz związek ukradkiem zwrócił ten znaczek.

- Ukradkiem?

- No bo najpierw to ja ukradłem ojcu ten znaczek, ale później bałem się, że ojciec zauważy, więc związek dał mi jedną koronę, żebym odkupił znaczek i podrzucił ojcu na biurko. Lecz właśnie wtedy ojciec mnie przyłapał na gorącym uczynku, to znaczy, nie wtedy, kiedy zabierałem znaczek, ale wtedy, kiedy go ukradkiem chciałem oddać, i zdrowo mi przyłoił...

Na surowe spojrzenie profesora Rychter natychmiast poprawił się:

- Dostałem za to od ojca lanie, a potem jeszcze dodatkowo przyłożył mi po buzi za to, że ukradłem ten znaczek, który chciałem położyć mu na biurku. Ojciec się strasznie gniewał i pytał, komu ja ten znaczek ukradłem, a ja nie chciałem się przyznać, bo znów dostałbym po buzi, więc powiedziałem, że to Kolnay dał mi ten znaczek, i wtedy tatuś powiedział: „Natychmiast oddaj Kolnayowi, bo on na pewno gdzieś go ukradł”, więc ja zaniósłem z powrotem znaczek Kolnayowi i dlatego teraz nasz związek ma dwa znaczki.

Profesor Rac zastanowił się nad tym, co usłyszał.

- A po co kupowaliście nowy znaczek, skoro można było oddać stary?

- Nie dało rady - odpowiedział za Rychtera Kolnay - bo na odwrocie przystawiliśmy pieczętkę naszego związku.

- To i pieczętkę macie? Gdzie ta pieczętka?

- Barabasz jest naszym strażnikiem pieczęci.

Przyszła więc kolej na Barabasza. Teraz on wystąpił do przodu. Posłał mordercze spojrzenie Kolnayowi, z którym zawsze się spierał. Pamiętał jeszcze o niedawnym zdarzeniu z kapeluszem na Placu Broni, przed głosowaniem... Ale co robić, wyjął z kieszeni

sporządzoną z gumy pieczętkę wraz z poduszką do stemplowania i posłusznie postawił ją na nauczycielskim stole. Nauczyciel obejrzał pieczętkę. Napis brzmiał: „Związek Kitowców, Budapeszt, 1889”. Profesor Rac stłumił uśmiech i znów pokiwał głową. Ośmieliło to Barabasa do tego stopnia, że sięgnął w kierunku stołu i chciał zabrać z powrotem pieczętkę. Ale profesor położył na niej dłoń.

- Czego chcesz?

- Panie profesorze - wydusił z siebie Barabasz - ja złożyłem przysięgę, że raczej oddam życie, niż pozwolę odebrać sobie pieczęć!

Nauczyciel schował pieczętkę do kieszeni.

- Cisza! - powiedział.

Ale Barabasz nie chciał się pogodzić z tym faktem.

- Jak tak, to proszę również zabrać Czelemu chorągiew!

- To i chorągiew macie? Oddaj ją - powiedział nauczyciel patrząc na Czelego.

Czele sięgnął do kieszeni i wyjął z niej malutką chorągiewkę na kawałku drutu. Tę chorągiewkę, podobnie jak sztandar chłopców z Placu Broni, wykonała siostra Czelego. Chorągiewka była czerwono - biało - zielona i było na niej napisane: „Związek Kitowców, Budapeszt 1889. Przysięgamy, nigdy już niewolnikami nie być nam!”*

- Hmm - chrząknął nauczyciel - co to za ptaszek pisze przysięgamy przez „sz”? Kto to napisał?

Nikt nie odpowiadał. Nauczyciel grzmiącym głosem powtórzył:

- Kto to napisał?

Nagle Czele wpadł na pewien pomysł. Po co dalej sypać kolegów? Przysięgamy przez „sz” napisał Barabasz, ale niby dlaczego miałyby za to cierpieć? Więc Czele odezwał się:

- To moja młodsza siostra tak napisała, panie profesorze.

I przełknął po tym kłamstwie ślinę. Nie było to szlachetne, ale uratował jednak przyjaciela... Nauczyciel nic nie powiedział. A chłopcy zaczęli teraz mówić jeden przez drugiego.

- Panie profesorze, Barabasz nie powinien był mówić o chorągwi, to naprawdę nieładnie z jego strony - powiedział ze złością Kolnay.

* Słowa kończące każdą zwrotkę „Pieśni Narodowej” Sandora Petófiiego, największego węgierskiego poety romantycznego, wygłoszonej przez niego w dniu wybuchu rewolucji Wiosny Ludów na Węgrzech 15 marca 1848 roku. Słowa te, które zna każde węgierskie dziecko, miały w latach panowania Austriaków na Węgrzech, a także później, w o - kresie wspólnej monarchii, a więc w czasie, kiedy działa się akcja „Chłopców z Placu Broni”, zdecydowanie antyaustriacki charakter. Pełny tekst tej przetłumaczonej przez Juliana Wołoszynowskiego frazy brzmi następująco: „Przysięgamy! Ty nad nami. Boże sam! Nigdy już niewolnikami nie być nam!”

Barabasza usprawiedliwiał się:

- On zawsze się mnie czepia! Jak nie ma pieczęci, to nie ma i naszego związku!

Koniec!

- Cisza! - przerwał dyskusję profesor Rac. - Już ja was nauczę! Związek ulega natychmiastowemu rozwiązaniu i żebym więcej nie słyszał o niczym podobnym. Z zachowania dostaniecie wszyscy obniżony stopień, a Weiss będzie miał obniżony o dwa stopnie, bo on był prezesem związku.

- Przepraszam! - skromnie zaznaczył Weiss. - Akurat ja byłem w tym momencie prezesem, ale właśnie dzisiaj miało odbyć się zebranie, na którym mieliśmy wyznaczyć nowego prezesa na ten miesiąc.

- I mieliśmy mianować Kolnaya - powiedział z szyderczym uśmiechem Barabasz.

- Nic mnie to nie obchodzi - stwierdził nauczyciel. - Jutro wszyscy zostaniecie w szkole do drugiej. Już ja was nauczę! A teraz możecie iść do domów.

- Do widzenia, panie profesorze! - zawołali chórem i ruszyli w stronę drzwi. Weiss wykorzystał chwilowe zamieszanie, żeby sięgnąć po kit. Ale nauczyciel dostrzegł jego manewr.

- Zostaw to!

Weiss zrobił niewinną minę.

- To nie dostaniemy z powrotem naszego kitu?

- Nie! I kto z was ma jeszcze kit, ten niech go natychmiast odda. Jeśli się dowiem, że któryś z was zatrzymał kit, to zastosuję najsurowszą karę!

Po tych słowach wystąpił do przodu Lesik, który dotąd milczał jak głaz. Wyjął z ust kawałek kitu i z bólem serca dokleił go brudnymi rękoma do związkowej bryły.

- To wszystko?

Zamiast odpowiedzi Lesik szeroko rozdziawił usta. Pokazał, że naprawdę więcej już nie ma. Nauczyciel sięgnął po kapelusz.

- Niech no tylko jeszcze raz usłyszę, że założyliście jakiś związek! Marsz do domu!

Chłopcy w milczeniu wymykali się chyłkiem z pokoju nauczycielskiego i tylko jeden z nich odezwał się cicho:

- Do widzenia, panie profesorze!

Był to Lesik, który poprzednio nie mógł wypowiedzieć słów pożegnania, ponieważ miał usta pełne kitu.

Nauczyciel wyszedł, rozwiązany przed chwilą Związek Kitowców pozostał samotnie. Chłopcy spojrzeli na siebie ze smutkiem. Kolnay zrelacjonował całe przesłuchanie

czekającemu na korytarzu Boce. Ten odetchnął z ulgą.

- Bardzo się przestraszyłem - powiedział - bo już myślałem, że ktoś zdradził nasz Plac Broni...

W trakcie tej rozmowy podszedł do nich Nemecek i szeptem powiedział:

- Popatrzcie... stałem przy oknie, kiedy was przesłuchiowano... szyba była dopiero co wprawiona... i...

Pokazał kawałek świeżego kitu, który przed chwilą wydrapał z okna. Wszyscy spojrzeli z podziwem. Weissowi zabłyśły oczy.

- Jeśli znów mamy kit, to znów istnieje nasz związek! Przeprowadzimy zebranie związku na Placu...

- Na Placu! Na Placu Broni! - krzyknęli wszyscy i ruszyli pędem do domów. Na schodach rozległ się okrzyk, który był hasłem chłopców z Placu Broni:

- Hola ho! Hola ho!

I wszyscy wybiegli przez bramę szkoły na ulicę. Boka pozostał z tyłu, szedł powoli, samotnie. Nie miał powodów do radości. Cały czas myślał o Gerebie, o zdrajcy Gerebie, którego widział chodzącego z latarnią po wyspie w Ogrodzie Botanicznym. Boka wrócił do domu, wciąż pogrążony w rozmyślaniach, zjadł obiad i wziął się do odrabiania łaciny.

Bóg jeden raczy wiedzieć, w jaki sposób członkowie Związku Kitowców uwinęli się tak błyskawicznie, ale o pół do trzeciej pojawili się już na Placu. Barabasz przyszedł chyba prosto od stołu, bo żuł jeszcze skórkę po ogromnej pajdzie chleba. Przyczał się też przy furtce na Kolnaya, żeby dać mu kuksańca. Stanowczo za dużo nzbierało się Kolnayowi na koncie.

Kiedy już byli w komplecie, Weiss wezwał ich pod sągi.

- Otwieram walne zebranie - ogłosił bardzo poważnym tonem.

Kolnay, który już dostał sójkę od Barabasza, a i sam zdążył mu oddać, był zdania, że wbrew zakazowi należy utrzymać związek.

Barabasz natychmiast zaprotestował:

- On dlatego tak mówi, bo teraz na niego kolej, żeby był prezesem. Ja natomiast uważam, że dosyć już tego Związku Kitowców. Wy wszyscy po kolei jesteście prezesami, a my nic tylko żujemy ten kit. Mnie już wstręt do tego bierze. Nic, tylko ciągle mam ten klajster w gębie. Po co mi to?

Z kolei Nemecek chciał coś powiedzieć.

- Proszę o głos - zwrócił się do prezesa.

- Pan sekretarz prosi o głos - powiedział z powagą Weiss i zadzwonił kupionym za

dwa gracjary dzwoneczkiem.

Ale Nemeckowi, który w Związku Kitowców pełnił funkcję sekretarza, głos nagle uwiązł w gardle. Spostrzegł bowiem pod jednym z sągów Gereba. Nikt nie wiedział o Gerebie tego, co on i Boka. Tylko oni dwaj widzieli go na własne oczy pamiętnego wczorajszego wieczoru. Gereb skradał się między sągami drzewa w kierunku małej budki, w której mieszkał Słowak ze swoim psem. Nemecek czuł, że jego obowiązkiem jest śledzić zdrajcę i nie odstępować go ani na krok. Boka powiedział Nemeckowi, że do czasu spotkania na Placu Gereb nie może zorientować się, że widziano go, jak siedział z czerwonymi koszulami na wyspie przy latarni. Niech myśli, że nikt niczego nie podejrzewa.

Lecz Gereb przyszedł wcześniej i oto krążył sam wśród sągów. Nemecek za wszelką cenę chciał wiedzieć, po co Gereb idzie do Słowaka. Więc odezwał się w te słowa:

- Dziękuję, panie prezesie, ale swoje przemówienie wygłoszę kiedy indziej. Przypomniało mi się, że mam coś bardzo ważnego do załatwienia.

Weiss znów potrząsnął małym dzwoneczkiem.

- Pan sekretarz rezygnuje z głosu.

W tym momencie pana sekretarza już nie było. Pędził bez tchu, ale nie za Gerebem, lecz okrężną drogą, żeby wyjść Gerebowi naprzeciw. Przeciął biegiem Plac, wpadł na ulicę Pawła, tam skręcił w ulicę Marii i gnał co sił w kierunku bramy tartaku. Omal nie został przejechany przez załadowaną polanami furę, która właśnie wytaczała się przez bramę. Mały, żelazny komin głośno pykał i dymił kłębamii białej pary. Piła parowa w tartaku świszcziała, że aż hej, ostrzegając Nemecką: Osstrożźnie! Osstrożźnie!

- Nie bój się, będę ostrożny! - odpowiedział w duchu Nemecek i minąwszy biegiem tartak, skręcił między sągi polan, prosto w kierunku chaty Słowaka. Dach skleconej z desek budki był spadzisty i niemal dotykał sągu, który stał za budką. Nemecek wdrapał się na sąg i położył na brzuchu. Wystawił ostrożnie głowę i czekał na to, co się teraz stanie. Czego Gereb mógł chcieć od stróża tartaku? Może był to jakiś podstęp wojenny czerwonych koszul? Postanowił, że podsłucha rozmowę, choćby nie wiem co miało się później z nim stać. Och, jaką chwałę przyniesie mu ten czyn! Jakże dumny będzie, że to właśnie on wykrył nową zdradę!

Kiedy tak czekał i rozglądał się wokół, nagle zobaczył Gereba. Szedł powoli i ciągle oglądał się, jak ktoś, kto boi się, że go śledzą. I dopiero gdy przekonał się, że nikt się za nim nie skrada, odważnie ruszył przed siebie. Słowak spokojnie siedział na ławeczce przed swoją budką i palił fajkę nabitą końcówkami cygar, które przynosili mu chłopcy. Każdy zbierał w domu nie dopalone cygara dla poczciwego Jana.

Na widok Gereba pies poderwał się, szczeknął kilka razy, ale gdy zorientował się, że to ktoś tutejszy, ułożył się znowu na swoim miejscu. Gereb podszedł tak blisko do Słowaka, że dach zakrył ich przed oczyma Nemezcza. Ale mały nabrał już pewności. Cichutko, tak cicho, żeby nikt nie słyszał, przeczołgał się z sągu na dach budy. Położył się tam płasko na brzuchu i przesunął do przodu, w górę, tak żeby móc wychylić głowę i widzieć, co się na dole dzieje. Raz i drugi trzasnęły pod nim deski, a wtedy Nemezczkowi zamierało serce w piersiach... Ale czołgał się dalej, aż wysadził wreszcie głowę poza skraj dachu. Gdyby w tej chwili Słowakowi lub Gerebowi przyszło na myśl spojrzeć w górę, wówczas na pewno z przerażeniem ujrzeliby nad okapem jasnowłosą, mądrą główkę Nemezcza, który szeroko otwartymi oczyma obserwował wszystko, co dzieje się w dole.

Gereb podszedł do Słowaka i przyjaźnie zagadał:

- Dzień dobry, Jano!

- Dzień dobry! - odpowiedział Słowak nie wyjmując z ust fajki.

Gereb podszedł bliżej.

- Przyniosłem cygara, Jano!

Na tę wiadomość Słowak wyjął fajkę z ust. Zabłyły mu oczy. Biedny Jano miał w życiu niewiele okazji, by widzieć całe cygaro. Trafiały do niego jedynie niedopałki.

Gereb wyjął z kieszeni trzy cygara i wcisnął je stróżowi w rękę.

„Oho - przemknęło Nemezczkowi przez myśl - dobrze zrobiłem, że tu wlałem. Gereb musi czegoś chcieć, skoro zaczyna od cygar”.

I usłyszał, jak Gereb cicho powiedział do Słowaka:

- Jano, wejdźmy do budki... nie chcę tu z wami mówić na dworze... nie chcę, żeby mnie widziano... mam do was ważną sprawę. I dostaniecie za to ode mnie jeszcze więcej cygar.

I wyciągnął z kieszeni całą ich garść.

Nemezcze aż pokręcił głową ze zdumienia.

„Chce go namówić do jakiegoś wielkiego świństwa, jeśli mu przyniósł aż tyle cygar” - pomyślał.

Oczywiście Słowak z radością wszedł do budki, a Gereb za nim. Za Gerebem do środka wszedł również pies. Nemezcza ogarnęła wściekłość.

„Nie usłyszę nic z tego, o czym będą mówili - przemknęło mu przez myśl - na nic cały ten chytry plan...”

I pozazdrościł psu, który zdążył wśliznąć się do środka, nim oni zamknęli za sobą drzwi budki. Bo i drzwi zamknęli bardzo starannie. Nemezczkowi przypomniawszy bajeczkę o

tym, jak Baba Jaga z krogulczym nosem zamienia królewicza w czarnego kundla, i dałby dwadzieścia najpiękniejszych szklanych kulek za to, żeby właśnie teraz jakaś czarownica oblekła go w postać kudłatego Hektora, a Hektora zamieniła w jasnowłosego Nemezcza. Ostatecznie obaj byli kolegami, jedynymi szeregowcami na Placu...

Zamiast Baby Jagi z pomocą Nemezczkowi przyszedł zupełnie ktoś inny, a mianowicie pewien chrząszcz z mocnymi jak stal żuchwami. Otóż mały kornik, który wraz z całą swoją rodziną dawno temu nażarł się do syta miękkim drewnem deski, wcale nie przypuszczał, że odda tym ogromną przysługę chłopcom z Placu Broni. Tam bowiem, gdzie korniki wyżarły deskę, była ona pusta w środku. Nemeček przycisnął ucho do jednej z takich desek i zaczął nasłuchiwać. Początkowo ze środka dobiegały jedynie stłumione głosy, ale wkrótce Nemeček z radością stwierdził, że rozumie każde słowo prowadzonej w budce rozmowy. Gereb mówił cicho, jak ktoś, kto nawet w tak odosobnionym miejscu boi się, żeby go nikt nie podsłuchał:

- Słuchajcie, Jano, dostaniecie ode mnie tyle cygar, ile tylko zechcecie. Ale będziecie za to musieli coś zrobić.

W odpowiedzi zaburczał głos Jana:

- A co miałbym zrobić?

- Nic wielkiego, trzeba tylko przepędzić z Placu chłopców. Nie wolno pozwalać im, żeby grali tu w piłkę i rozrzucali sagi.

Przez kilka chwil panowała cisza. Nemeček doszedł do wniosku, że Słowak zastanawia się.

I znów rozległ się głos stróża:

- Trzeba ich przepędzić?

- Tak.

- Niby dlaczego?

- Bo chcą tu przyjść inni chłopcy. A są to bardzo bogaci chłopcy... i wtedy będziecie dostawali, Jano, tyle cygar, ile dusza zapagnie... i pieniądze też...

To poskutkowało.

- Pieniądze też? - zapytał Jano.

- Tak. I to forinty!

Forinty ostatecznie przekonały Słowaka.

- W porządku - powiedział. - Przepędzimy ich.

Szczęknęła klamka, zaskrzypiały drzwi. Gereb wyszedł na dwór. Ale Nemezcza nie było już wtedy na górze. Niczym kot zsunął się z dachu, zeskoczył na równe nogi i już pędził

między sagami w stronę Placu. Był rozgorączkowany i czuł, że w tej chwili losy wszystkich chłopców i całego Placu Broni znajdują się w jego rękach. Kiedy ujrzał grupę chłopców, już z daleka zawołał:

- Boka!

Ale nikt mu nie odpowiadał.

- Boka! Panie przewodniczący!

Któryś z chłopców odezwał się:

- Jeszcze nie przyszedł!

Nemeczek gwałtownie wicher. Należało natychmiast zawiadomić Bokę o tym, co się stało. Trzeba szybko działać, żeby chłopcy nie zostali wypędzeni ze swojego królestwa. Kiedy w biegu minął ostatni sag, spostrzegł członków Związku Kitowców, którzy ciągle jeszcze obradowali. Weiss z poważną miną prowadził obrady i kiedy jasnowłosego chłopiec przebiegł koło nich, krzyknął do niego:

- Panie sekretarzu! Hola ho!

Nemeczek w biegu dał znak ręką, że nie może się zatrzymać, gdyż ma jakąś niecierpiącą zwłoki sprawę.

- Panie sekretarzu! - krzyknął za nim Weiss i żeby wzmocnić wagę wezwania gwizdnął i energicznie potrząsnął dzwoneczkiem.

- Nie mam chwili do stracenia! - odkrzyknął Nemeczek i pobiegł dalej, żeby złapać Bokę w domu. Wtedy Weiss sięgnął po ostateczny środek. Wojskowym tonem wydał komendę:

- Szeregowy! Stój!

Jak rozkaz, to rozkaz - Nemeczek musiał się zatrzymać. Ostatecznie Weiss był podporucznikiem... Małego aż dławiała wściekłość, ale cóż było robić, skoro Weiss powołał się na swoją oficerską rangę.

- Tak jest, panie poruczniku! - i stanął na baczność.

- Posłuchaj, proszę cię - powiedział prezes Związku Kitowców - właśnie przed chwilą postanowiliśmy, że nasz związek będzie działał nadal jako tajna organizacja. I wybraliśmy nowego prezesa.

Chłopcy z entuzjazmem wzniesli okrzyk na cześć nowego prezesa:

- Niech żyje Kolnay!

Tylko Barabasz, ironicznie się uśmiechając, powiedział:

- Precz z Kolnayem!

Dawny prezes ciągnął jednak dalej:

- Jeśli pan, panie sekretarzu, chce utrzymać swoją funkcję, to powinien pan razem z nami złożyć przysięgę na dochowanie tajemnicy, bo gdyby profesor Rac o tym się dowiedział...

W tym właśnie momencie Nemeček zobaczył skradającego się wśród sągów Gereba. Jeśli Gerebowi uda się teraz ujść, to koniec ze wszystkim... Koniec z fortcami, koniec z Placem Broni... Gdyby Boka przemówił teraz Gerebowi do sumienia, to może zmieniłby on jeszcze swe zamiary, poprawił się. Nemeček niemal płakał ze złości. Przerwał wypowiedź prezesa:

- Panie prezesie. Ja teraz nie mam czasu... ja muszę iść...

Weiss zapytał go surowym tonem:

- Czyżby pan sekretarz czegoś się bał? A może pan sekretarz boi się tego, że jeśli wykryją nasz związek, to wówczas i pan zostanie ukarany?

Ale Nemeček nie zwracał już na prezesa uwagi. Patrzył w stronę Gereba, który ukrył się wśród sągów i czekał, aż chłopcy wreszcie stąd odejdą i, nie zauważony, będzie mógł wymknąć się na ulicę... Gdy więc Nemeček przejrzał zamiary Gereba, bez słowa odwrócił się od członków Związku Kitowców, zagarnął na piersiach kurtkę i gazu - niczym wichur przeleciał przez Plac i wypadł na ulicę.

Wśród obradujących zapanowało milczenie. Po chwili w tej grobowej ciszy rozległ się równie grobowy głos prezesa:

- Wszyscy szanowni zebrani tu członkowie widzieli zachowanie się Erno Nemečka. Oświadczam zatem wszem i wobec, że Erno Nemeček jest tchórzem!

- Tak jest! - zagrzmiało walne zebranie.

A Kolnay jeszcze dodatkowo krzyknął:

- I zdrajcą!

Rychter bardzo się zdenerwował i poprosił o głos.

- Proponuję, aby tego tchórze, który opuścił nas w trudnej sytuacji, zdjąć ze stanowiska sekretarza, wykluczyć ze związku i wpisać do tajnej księgi protokolarnej jako zdrajcę!

- Brawo! - zawołali jednym głosem. Wtedy prezes wydał wyrok:

- Walne zebranie uznaje Erno Nemečka za tchórzliwego zdrajcę, pozbawia go funkcji sekretarza i wyklucza ze związku. Panie protokolancie!

- Obecny - zgłosił się Lesik.

- Proszę umieścić w protokole, że walne zebranie uznało Erno Nemečka za zdrajcę, i proszę wpisać jego nazwisko małymi literami.

Wśród zebranych rozległ się szmer. W myśl statutu była to bowiem najsurowsza kara. Chłopcy stanęli wokół Lesika, który natychmiast usiadł na ziemi, położył na kolanach zakupiony za pięć grajcarów zeszyt w czarnej okładce, będący tajną księgą protokołów związku, i ogromniastymi kulfonami wpisał: „erno nemecek jest zdrajcą!!!”

W taki oto sposób Związek Kitowców pozbawił Erno Nemecka honoru.

Natomiast Erno Nemecek lub, jak kto woli - erno nemecek - pędził w tej chwili w stronę ulicy Kinizsi, gdzie w skromnym, parterowym domku mieszkał Boka. Wpadł do bramy i niemal zderzył się z Boką.

- Ho, ho! - powiedział oszołomiony Boka - a ty co tu robisz?

Nemecek, ciężko dysząc, opowiedział o tym, co słyszał i co widział, po czym, złapawszy Bokę za kurtkę, przynaglił do pośpiechu. Po chwili razem już biegli w stronę Placu Broni.

- Czyś ty naprawdę to wszystko słyszał i widział? - zapytał w biegu Boka.

- Naprawdę słyszałem i widziałem.

- A Gereb jest tam jeszcze?

- Jeśli się pośpieszymy, to może go złapiemy.

Przy klinice musieli się jednak zatrzymać. Biedny Nemecek zaczął gwałtownie kasłać. Oparł się o ścianę:

- Bieg... - powiedział - biegnij... dalej sam... a ja... a ja tu się wykaszę.

I zaniósł się głośnym kaszlem.

- Jestem przeziębiony - tłumaczył Boce, który dalej stał przy nim. - Wtedy, w Ogrodzie Botanicznym, przeziębilem się... Kiedy wpadłem do stawu, to jeszcze nie było nic takiego, ale tam w szklarni, w basenie, woda była bardzo zimna. Czułem okropne dreszcze.

Skręcili w ulicę wiodącą w stronę Placu Broni. I akurat w tym samym momencie, kiedy znaleźli się na rogu, otworzyła się mała furka w parkanie. Gereb pośpiesznie opuszczał Plac. Nemecek gwałtownie złapał Bokę za ramię:

- Patrz, właśnie wychodzi!

Boka zwinął dłonie w tubkę i w cichej uliczce rozległ się gromki okrzyk:

- Gereb!

Gereb zatrzymał się i odwrócił w ich stronę. Kiedy zobaczył Bokę, roześmiał się głośno i pobiegł w przeciwną stronę. Jego szyderczy śmiech ostro zabrzmiał wśród kamieniczek. Gereb po prostu wyśmiał ich.

Obaj chłopcy stali nieruchomo jakby im nogi wrosły w ziemię. Gereb zniknął im z oczu. Czuli, że wszystko przepadło. Nie odzywając się do siebie szli powoli w stronę furki

wiodącej na Plac Broni. Z wewnątrz dobiegały wesole okrzyki grających w piłkę chłopców, a potem rozległo się gromkie zawołanie: to członkowie Związku Kitowców wiwatowali na cześć nowego prezesa... Tam, na Placu, nikt jeszcze nie wiedział, że oto ten mały kawałek ziemi być może przestał już do nich należeć. A przecież ta pięćdziesiątka niurodzajnej ziemi, ten skrawek wciśnięty między dwie peszteńskie kamienice stanowił dla nich bezkresną przestrzeń, oznaczał wolność i swobodę, w zależności od ich dziecięcej wyobraźni zmieniał się przed południem w amerykańską prerię, a po południu w węgierską pusztę, w deszcz stawał się morzem, a zimą biegunem północnym, słowem był zawsze tym, czego wymagały chłopięce marzenia, i niezmiennie służył wspaniałej zabawie.

- Widzisz - powiedział Nemeček - oni jeszcze nic nie wiedzą...

Boka opuścił głowę.

- Nic nie wiedzą - powtórzył cicho.

Nemeček jednak wierzył w mądrość Boki. Póki miał przy sobie rozsądnego i dojrzałego kolegę, nie tracił nadziei. Przestraszył się naprawdę dopiero wówczas, kiedy w oczach Boki zobaczył pierwszą łzę i usłyszał, jak przewodniczący, jak sam przewodniczący i wódz chłopców z Placu Broni zapytał z głębokim smutkiem:

- I co my teraz zrobimy?

V

W dwa dni później, w czwartek, kiedy w Ogrodzie Botanicznym zapadł już zmrok, dwóch stojących na mostku wartowników stanęło na baczność na widok zbliżającej się ciemnej postaci.

- Prezentuj broń! - krzyknął jeden z wartowników.

Na tę komendę obaj unieśli w górę włócznie ze srebrnymi ostrzami, w których odbiła się poświata księżyca. Oddawali honory swemu dowódcy, który szybkim krokiem przechodził przez mostek.

- Czy są już wszyscy? - zapytał wartowników Feri Acz.

- Tak jest, panie kapitanie!

- Gereb też przyszedł?

- Był pierwszy, panie kapitanie.

Dowódca zasalutował w milczeniu, na co wartownicy znów odpowiedzieli uniesieniem włóczni w górę. W taki sposób czerwone koszule prezentowały broń.

Na małej polance wyspy zebrali się już wszyscy chłopcy w czerwonych koszulach. Kiedy na polankę wkroczył Feri Acz, starszy z braci Pastorów krzyknął:

- Prezentuj broń!

Długie włócznie z owiniętymi staniolem końcami uniosły się ponad głowy chłopców.

Feri Acz oddał zebrany honory, zasalutował i powiedział:

- Musimy się pośpieszyć, chłopaki. Spóźniłem się trochę. Natychmiast zabieramy się do roboty. Zapalcie latarnię.

Przed przyjściem dowódcy nigdy nie wolno było zapalać latarni. Kiedy latarnia się świeciła, oznaczało to, że Feri Acz również znajduje się na wyspie. Młodszy Pastor zapalił latarnię i czerwoni usiedli wokół. Nikt się nie odzywał, wszyscy czekali, aż przemówi wódz.

- Czy ktoś ma coś do zameldowania? - zapytał.

Zgłosił się Sebenicz.

- Mów!

- Melduję posłusznie, że z naszego arsenału zginęła czerwono - zielona chorągiew, którą pan kapitan zdobył na Placu Broni.

Dowódca zmarszczył brwi:

- A czy z broni niczego nie brakuje?

- Niczego. Jako zbrojmistrz zaraz po przyjściu poszedłem do arsenału, żeby

sprawdzić, czy tomahawki i włócznie znajdują się na swoim miejscu. Wszystkie co do jednego były w arsenale, brakowało tylko tej małej chorągiewki. Ktoś ją musiał ukraść.

- Czy widziałeś ślady stóp?

- Tak. Wczoraj wieczorem, jak zwykle, zgodnie z regulaminem, wysypałem piaskiem wewnątrz ruin i kiedy dziś przyszedłem, zobaczyłem ślady małych stóp, które prowadziły od szczeliny prosto do miejsca, gdzie leżała chorągiewka, i potem z powrotem do wyjścia. Tam ślady urywały się, bo na zewnątrz jest już twarda i porośnięta trawą ziemia.

- Czy to były ślady małych stóp?

- Tak, zupełnie małych, o wiele mniejszych niż Wendauera, który ma z nas najmniejszą nogę.

Zaległa cisza.

- To znaczy, że ktoś obcy wtargnął do arsenału - powiedział dowódca. - I to ktoś z Placu Broni.

Wśród czerwonych koszul podniósł się szmer.

- Bo gdyby to był jakiś zwykły dzieciak - ciągnął dalej Feri Acz - to zabrałby przynajmniej jedną sztukę naszej broni. A on wziął tylko chorągiew. Prawdopodobnie chłopcy z Placu Broni wyznaczyli kogoś, kto miał nam wykraść ich sztandar. Czy wiesz coś o tym, Gereb?

Jak widać, Gereb awansował już na zawodowego szpiega.

Gereb podniósł się.

- Nic o tym nie wiem.

- Dobra. Możesz siadać. Sprawdzimy to. Ale teraz załatwmy nasze sprawy. Dobrze wiecie, jak nas ostatnio upokorzono i wywiedziono w pole. Wszyscy byliśmy na wyspie, a mimo to przeciwnicy wywiesili na tym drzewie czerwoną kartkę. Byli sprytni i my nie potrafiliśmy ich złapać. Pobiegliśmy za dwójką nieznanych chłopców aż na Urzędnicze Parcele i dopiero tam wyszło na jaw, że oni bez powodu uciekali przed nami, a my ich bez powodu goniliśmy! Wywieszenie tej kartki na naszej wyspie jest dla nas hańbą i dlatego musimy się zemścić. Przesunęliśmy również termin zajęcia Placu Broni, dopóki Gereb nie zbada dokładnie terenu. Niech teraz Gereb złoży raport, a my postanowimy, kiedy rozpoczniemy wojnę.

Spojrzał na Gereba.

- Gereb! Wstań!

Gereb ponownie się podniósł.

- Zdaj sprawę z tego, co zdziałałeś!

- Wydawało mi się... - zaczął lekko zmieszany Gereb - że może najlepiej byłoby zdobyć ten teren bez walki. Pomyślałem tak, bo przecież kiedyś ja też należałem do nich... więc wolałbym, żeby nie doszło do otwartej walki... no więc przekupiłem tego stróża Słowaka, który pilnuje Placu, i on teraz przepędzi ich stamtąd bez wojny.

Nagle zamilkł. Feri Acz tak ostro spojrział mu w oczy, że słowa uwięzły Gerebowi w gardle. Feri Acz odezwał się głośno swoim głębokim głosem, który potrafił zmrozić krew w żyłach tym, którzy narazili się dowódcy.

- Nie! Jak widzę, ty ciągle nie wiesz, kim są czerwone koszule. My nie będziemy nikogo przekupywać, nie będziemy z nikim się targować! Jeśli oni nie ustąpią z Placu dobrowolnie, to zabierzemy Plac siłą. Nie potrzeba mi pomocy żadnego Słowaka, żadnego przepędzania stamtąd tych chłopaków. I żadnych podstępów.

Wszyscy milczeli. Gereb spuścił oczy.

Feri Acz podniósł się.

- Jeśli tchórzysz, to fora ze dwora!

Powiedział to z błyszczącymi gniewem oczyma. Gereb w tym momencie bardzo się przestraszył. Czuł, że jeśli teraz czerwoni usuną go ze swoich szeregów, to nie będzie już dla niego nigdzie miejsca. Podniósł więc głowę i zdobył się na odwagę.

- Nie jestem tchórzem! Jestem z wami, trzymam z wami i przysięgam wam wierność!

- Dobra! - zgodził się Acz, ale z jego miny widać było, że nie darzy Gereba sympatią.

- Jeśli chcesz z nami zostać, musisz złożyć przysięgę na nasze prawo.

- Jestem gotów - powiedział Gereb.

- Podaj więc rękę.

Podali sobie dłonie.

- Od dziś masz u nas stopień podporucznika. Sebenicz da ci włócznię i tomahawk i wpisze twoje nazwisko do naszego tajnego rejestru. A teraz słuchaj. Nie można dalej odwlekać sprawy. Na jutro wyznaczam dzień natarcia. Jutro po południu wszyscy spotkamy się w tym miejscu. Połowa naszego oddziału wtargnie od strony ulicy Marii i zajmie fortece. Druga część oddziału wejdzie przez otwartą furtkę od strony ulicy Pawła i wygoni tamtych chłopaków z Placu. Gdyby zaś próbowali cofnąć się między sągi, to wtedy uderzymy na nich z zajętych już fortec. Musimy mieć Plac do gry w piłkę i zdobędziemy go, choćby nie wiem co się działo!

Wszyscy zerwali się ze swoich miejsc.

- Niech żyje! - krzyknęli chłopcy w czerwonych koszulach i wysoko unieśli w górę swoje włócznie.

Dowódca nakazał ciszę.

- Muszę cię jeszcze o coś zapytać. Czy nie myślisz, że chłopcy z Placu Broni podejrzewają, że do nas przystałeś?

- Chyba nie - odpowiedział nowo mianowany podporucznik. - Nawet jeśli któryś z nich był na wyspie wtedy, kiedy przypięli do drzewa tę kartkę, to w ciemnościach nie mógł mnie rozpoznać.

- Czyli jutro po południu spokojnie możesz do nich pójść?

- Całkiem spokojnie.

- Nie będą cię o nic podejrzewać?

- Nie. A jeśli nawet by podejrzewali, to nikt się nie odezwie, bo wszyscy się mnie boją. Nie ma wśród nich ani jednego odważnego.

W tym momencie rozległ się nagle dźwięczny, donośny głos:

- Nieprawda! Są tacy!

Czerwoni spojrzeli po sobie. Feri Acz ze zdumieniem zapytał:

- Kto to powiedział?

Nikt się nie odezwał. Wtem dźwięczny głos odezwał się ponownie:

- Są tacy!

Teraz już wyraźnie usłyszeli, że głos dobiegał ze szczytu drzewa.

Zaraz potem zaszeleściły liście, zatrzeszczały gałęzie i po chwili z drzewa zaczął złazić mały, jasnowłosy chłopiec. Kiedy zeskoczył na ziemię z ostatniej gałęzi, spokojnie oczyścił ubranie, wyprostował się z godnością i spojrzał prosto na zdumionych chłopców w czerwonych koszulach. Wszyscy byli do tego stopnia zaskoczeni tym niespodziewanym pojawieniem się małego gościa, że nikt słowem nawet nie pisnął.

Gereb zbladł jak kreda.

- Nemecek! - powiedział z przestachem.

I mały chłopiec odpowiedział mu:

- Tak, to ja, Nemecek. To właśnie ja. I nie szukajcie tego, kto zabrał z waszego arsenału chorągiew chłopców z Placu Broni, bo to ja ją zabrałem. O, tu ją mam! I to ja mam takie małe stopy, mniejsze od stóp Wendauera. I wcale nie musiałem się odzywać, mogłem siedzieć cicho na drzewie i czekać, aż stąd pójdziecie, bo i tak siedziałem już tam od pół do czwartej. Ale kiedy Gereb powiedział, że wśród nas nie ma ani jednego odważnego, wtedy pomyślałem sobie: „Czekaj, bratku, już ja ci pokażę, że wśród chłopców z Placu Broni są odważni, nawet ja, Nemecek, szeregowiec!” A więc jestem tu, podsłuchałem całą waszą naradę, odzyskałem naszą chorągiew i proszę bardzo, możecie teraz zrobić ze mną, co

chcecie, możecie mnie zbić, wyrwać chorągiew, ale naprzód musicie wykrecić mi ręce, bo dobrowolnie jej nie oddam. Proszę, proszę, zaczynajcie! W końcu jestem tu sam jeden, a was jest dziesięciu.

Przemawiając tak, z wypiekami na twarzy, wyciągnął ręce: w jednej dłoni ścisnął małą chorągiewkę. Chłopcy w czerwonych koszulach oniemieli z podziwu - wszyscy patrzyli ze zdumieniem na jasnowłosego malca, który jakby prosto z nieba spadł między ich szeregi i teraz z podniesioną głową, głosem donośnym i śmiałym rzucał im w twarz wyzwanie i czuł się tak silny, jakby mógł pokonać całą ich armię, włącznie z siłaczami Pastorami i Ferim Aczem na czele.

Pastorowie pierwsi odzyskali zimną krew. Podeszli do małego Nemecka i z obydwóch stron złapali go pod ręce. Młodszy Pastor stojący po prawej stronie już zabierał się do wykrecenia Nemeckowi ręki z chorągiewką, kiedy wielką ciszę przerwał głos Feriego Acza:

- Stać! Zostawcie go!

Pastorowie ze zdziwieniem spojrzeli na swego wodza.

- Zostawcie go - powtórzył dowódca. - Podoba mi się ten chłopiec. Jesteś odważny, Nemecek, czy jak cię tam nazywają. Oto moja ręka. Wstąp do nas, do czerwonych koszul.

Nemecek przecząco potrząsnął głową.

- Nigdy! - powiedział hardo.

Głos miał drżący, ale nie ze strachu, tylko ze zdenerwowania. Błady, z wyrazem niezwyklej powagi w oczach powtórzył raz jeszcze:

- Nigdy!

Feri Acz uśmiechnął się. I odezwał w te słowa:

- Trudno, nie mam zamiaru cię namawiać, jak nie, to nie. Jeszcze nigdy nikogo nie zapraszałem do nas. Wszyscy, którzy tu są, sami się o to prosili. Ty byłeś pierwszym, któremu to zaproponowałem. A jeśli nie chcesz, twoja sprawa...

I odwrócił się do Nemecka plecami.

- Co mamy z nim zrobić? - zapytali obaj Pastorowie.

Dowódca od niechcenia rzucił im przez ramię:

- Zabierzcie mu chorągiew.

Starszy Pastor jednym chwytem wyrwał ze słabiutkiej dłoni Nemecka czerwono - zieloną chorągiewkę. Zabolało, bo Pastorowie mieli piekielnie silne łapy, ale mały zacisnął zęby i ani pisnął.

- Gotowe! - zameldował Pastor.

Wszyscy z napięciem czekali, co teraz nastąpi. Jaką to straszliwą karę wymyśli wszechwładny Feri Acz. Nemecek hardo stał na swoim miejscu i zaciskał wargi.

Feri Acz obrócił się i skinął na Pastorów.

- To straszny słabeusz. Nie wypada go bić. Ale... wykąpcie go.

Czerwone koszule wybuchnęły głośnym śmiechem. Roześmiał się też Feri Acz, śmieli się Pastorowie. Sebenicz podrzucił w górę czapkę, a Wendauer skakał jak głupi. Nawet Gereb chichotał pod drzewem i w całym tym towarzystwie tylko na jednej twarzy malowała się powaga: na małej buzi Nemecka. Był przeziębiony i kaszłał już od wielu dni. Właśnie dziś matka zabroniła mu wychodzić, ale jasnowłosy chłopczyk nie mógł wytrzymać. O trzeciej godzinie wymknął się z domu i od pół do czwartej aż do wieczora siedział na szczycie drzewa. Ale za żadne skarby nie chciał się teraz odezwać. Bo i co miał powiedzieć? Że jest przeziębiony? Zaczęliby się jeszcze głośniej śmiać i Gereb też śmiałby się z nimi, tak jak teraz się śmieje. Tak szeroko, że aż wszystkie zęby mu widać. Więc Nemecek milczał. Wśród ogólnego śmiechu bez oporu dał się doprowadzić do brzegu i tam obaj Pastorowie zanurzyli go w płytkiej wodzie stawu. Pastorowie byli okrutni. Jeden z nich trzymał Nemecka z tyłu za ręce, drugi złapał za kark. Wcisnęli go do wody po szyję i w tym momencie wszyscy na wyspie zawyli ze szczęścia. Czerwoni tańczyli z radości na brzegu, podrzucali czapki do góry i wydawali gromkie okrzyki:

- Hej hop! Hej hop!

Tak brzmiało ich hasło.

Gromkie okrzyki zlały się z wielkim śmiechem i radosna wrzawa zakłóciła wieczorną ciszę małej wyspy. Zanurzony w wodzie po szyję Nemecek smutno spoglądał na brzeg. Wyglądał jak jakaś biedna żaba. A na brzegu, na szeroko rozstawionych nogach, stał głośno rechocząc Gereb.

Wreszcie Pastorowie puścili go i Nemecek wygramolił się ze stawu. Kiedy ujrano go w ociekającym i zabłoconym ubraniu, wesołość wybuchła ze zdwojoną siłą. Woda lała się Nemeckowi z kurtki, a gdy potrząsnął ramionami, z rękawów siknęło jak z konewki. Wszyscy odskoczyli, a on, niczym pinczerek, otrząsał się z wody. Prześcigano się w szyderstwach.

- Żaba!

- Napileś się do woli?

- Dlaczego sobie nie popływałeś?

Nemecek nie reagował na te kpiny. Gorzko się uśmiechał i wyglądał mokrą kurtkę. Wtedy podszedł do niego Gereb i, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu i kiwając głową,

zapytał:

- No i co, dobrze było?

Nemeczek podniósł na niego swoje duże, niebieskie oczy i odparł:

- Dobrze - powiedział cicho i już głośniejszym głosem dodał: - Było mi znacznie lepiej niż tobie, kiedy stałeś na brzegu i wyśmiewałeś się ze słabszego. I wolałbym siedzieć w tej wodzie po szyję nawet do nowego roku, niż knuć z wrogami moich przyjaciół. Nie żałuję, że zanurzyliście mnie w wodzie. Poprzednim razem, kiedy sam wpadłem do wody, też cię widziałem wśród nich na tej wyspie. I choćbyście mnie zapraszali, przypochebiali się, a nawet dawali prezenty, nie chcę mieć z wami nic wspólnego. Możecie mnie wsadzić do wody po sto i po tysiąc razy, ja i tak przyjdę tu jutro i pojutrze! I schowam się gdzieś tak, że mnie nie znajdziecie. Nie boję się nikogo z was. A gdy przyjdziecie do nas, na Plac Broni, zabrać nam naszą ziemię, to będziemy na was czekać. I pokażę wam, że kiedy będzie nas dziesięciu, tyle samo co was, to zupełnie inaczej porozmawiamy. Teraz jestem tu sam. Łatwo było mnie pokonać! Silniejszy zawsze wygrywa. Pastorowie ukradli mi moje kulki w Ogrodzie Muzealnym, bo byli silniejsi. W dziesięciu łatwo stawać przeciw jednemu. Ale ja nie żałuję. Możecie mnie nawet zabić, jeśli wam się tak spodoba. Nie musiałem przecież wlaźć do tej wody. Wystarczyłoby przystać do was. Ale ja tego nie chciałem. Możecie mnie utopić, zatłuc na śmierć, ale ja nigdy nie będę zdrajcą, jak ten ktoś, kto stoi wśród was, o... tam...

W tym momencie wyciągnął rękę i wskazał na Gereba, któremu śmiech uwiązł w gardle. Światło latarni padło na ładną, jasną głowę Nemeczka, oświetliło ociekające wodą ubranie. Odważnie, dumnie i ze spokojem patrzył Nemeczek Gerebowi prosto w oczy, a ten poczuł nagle jakiś ogromny ciężar na duszy. Spochmurniał i opuścił głowę. W tym momencie wszyscy umilkli i zapadła cisza niczym w kościele. Wyraźnie było słychać, jak z ubrania Nemeczka spadają na twardą ziemię krople wody.

Milczenie przerwał głos Nemeczka:

- Czy mogę odejść?

Nikt mu nie odpowiedział. Zapytał więc raz jeszcze:

- Nie zbijecie mnie? Mogę odejść?

A ponieważ nadal nikt nie odpowiedział, Nemeczek powoli ruszył w stronę mostku. Wszyscy stali nieruchomo, nikt nie drgnął, żeby go zatrzymać. Chłopcy uświadomili sobie, że oto ten jasnowłosy malec jest małym bohaterem, w pełni zasługującym na miano prawdziwego mężczyzny... Stojący przy moście dwaj wartownicy, którzy widzieli wszystko, co zaszło, patrzyli w milczeniu na Nemeczka. Nie śmieli go nawet dotknąć.

Kiedy Nemeczek wszedł na most, rozległ się grzmiący, głęboki głos Acza:

- Prezentuj broń!

Obaj wartownicy stanęli na baczność i unieśli wysoko w górę włócznie ze srebrnymi grotami. A w ślad za nimi wszyscy chłopcy trzasnęli obcasami i podnieśli swoje włócznie. I nikt nie odzywał się, jedynie ostrza włóczni błyszczały w poświacie księżyca. Słysząc było kroki idącego przez most Nemeckiego. Potem i one ucichły, i dobiegał już tylko chłupot, jakby ktoś szedł w butach pełnych wody... Nemecek zniknął w oddali.

Chłopcy w czerwonych koszulach spoglądali po sobie zmieszani. Feri Acz stał na środku polany ze spuszczoną głową. Wtedy podszedł do niego blady jak ściana Gereb. Usiłował wybąkać coś pod nosem.

- Słuchaj... ja naprawdę... - zaczął.

Ale Feri odwrócił się do niego plecami. Wtedy Gereb ruszył do stojących ciągle nieruchomo chłopców i zatrzymał się przed starszym Pastorem.

- Słuchaj... ja naprawdę... - wybełkotał.

Lecz Pastor poszedł za przykładem dowódcy i również odwrócił się do Gereba plecami, co jeszcze bardziej zbiło go z tropu. Nie wiedział, co począć. Wreszcie odezwał się zdławionym głosem:

- Jak widać, mogę sobie odejść.

Dalej panowało milczenie, więc Gereb ruszył tą samą drogą, którą przed chwilą szedł Nemecek. Ale nikt nie stawał przed nim na baczność, nikt nie prezentował broni. Wartownicy oparli się o poręcz mostu i patrzyli w wodę. W ciszy Ogrodu Botanicznego słysząc było kroki Gereba, aż i one ucichły...

Kiedy czerwoni zostali już na wyspie sami, Feri Acz ruszył w stronę starszego Pastora. Podszedł do niego, stanął twarzą w twarz. I cicho zapytał:

- To ty zabrałeś mu kulki w Ogrodzie Muzealnym?

Pastor równie cicho odpowiedział:

- Tak, ja.

- Czy twój młodszy brat był wtedy z tobą?

- Był.

- I zrobiliście *einstand*?

- Tak.

- A czy ja nie mówiłem, że czerwonym koszulom nie wolno zabierać kulek słabym dzieciom?

Pastorowie milczeli. Nikt bowiem nie śmiał sprzeciwiać się Aczowi.

Dowódca surowo zmierzył ich od stóp do głów, po czym spokojnym, nie znoszącym

sprzeciwu głosem powiedział:

- Do wody!

Pastorowie patrzyli na niego, nie rozumiejąc, o co chodzi.

- Nie rozumiecie? Tak jak tu stoicie, w ubraniach. Teraz wy macie się wykapać.

A kiedy na jednej czy drugiej twarzy spostrzegł uśmiech, dodał:

- Kto będzie się śmiał z Pastorów, ten też się zaraz wykąpie.

Na te słowa wszystkim przeszła ochota do śmiechu. Acz spojrzawszy na Pastorów i ponaglił ich ostrym tonem:

- No, szybciej. Wykapać się. Po szyję. Raz, dwa!

Po czym zwrócił się do oddziału:

- W tył zwrot! Nie gapić się!

Czerwoni wykonali w tył zwrot i odwrócili się plecami do stawu. Feri Acz też się odwrócił, żeby nie widzieć, w jaki sposób Pastorowie wymierzają sobie karę. Pastorowie zaś z rezygnacją, powoli, weszli do stawu i posłusznie usiedli w wodzie zanurzając się aż po szyję. Chłopcy nie widzieli tego, słyszeli tylko plusk wody. Feri Acz obejrzał się, żeby zobaczyć, czy obaj chłopcy rzeczywiście zanurzyli się w wodzie. Dopiero wtedy wydał rozkaz:

- Złożyć broń! Naprzód marsz!

I wyprowadził swój oddział z wyspy. Wartownicy zgasili latarnię i dołączyli do oddziału, który wojskowym krokiem przemaszzerował przez most i znikł w gąszczach Ogrodu Botanicznego.

Obaj Pastorowie wygramolili się ze stawu. Spojrzeli na siebie, wsadzili, jak zwykle, ręce do kieszeni i ruszyli do domu. Przez całą drogę nie zamienili ze sobą słowa, byli bardzo zawstyżeni.

A na oświetlonej księżycową poświatą wyspie zapanowała cisza wiosennego wieczoru.

VI

Kiedy nazajutrz, około pół do trzeciej, chłopcy zaczęli kolejno, po cichutku, wsuwać się przez furtkę na Plac Broni, zaraz przy wejściu, na wewnętrznej stronie płotu, dostrzegali wielki arkusz papieru przybity do desek czterema ogromnymi gwoździami.

Była to odezwa, którą napisał Boka. Poświęcił na to całą noc. Odezwa została napisana wielkimi, drukowanymi literami, czarnym tuszem, a pierwsze litery słów zaczynających każde zdanie, były krwistoczerwone. Wezwanie brzmiało następująco:

ODEZWA!!!

ZAGRAŻA NAM WIELKIE NIEBEZPIECZEŃSTWO!

OD DZIŚ OGŁASZAM OSTRE POGOTOWIE!

CZERWONE KOSZULE CHCĄ NAS ZAATAKOWAĆ I WYPĘDZIĆ Z PLACU!

JEŚLI NIE STAWIMY IM ODWAZNIE CZOŁA, STRACIMY NASZE PAŃSTWO!

NASZ PLAC W NIEBEZPIECZENSTWIE!

ALE MY BĘDZIEMY NA POSTERUNKU I OBRONIMY NASZE PAŃSTWO

NAWET ZA CENĘ ŻYCIA!

NIECHAJ KAŻDY WYPEŁNI DO KOŃCA SWÓJ OBOWIĄZEK!

PRZEWODNICZĄCY

W tym dniu nikt nie miał ochoty na grę w palanta. Piłka spokojnie odpoczywała w kieszeni Rychtera, ponieważ właśnie do jego obowiązków należało przechowywanie sprzętu. Chłopcy chodzili wzdłuż i wszerz Placu, rozmawiali o zbliżającej się wojnie, znowu powracali do wywieszanej na parkanie odezwy i wielokrotnie, po dziesięć, a nawet dwadzieścia razy czytali pełne entuzjazmu słowa. Kilku chłopców nauczyło się na pamięć odezwy i bojowym tonem recytowało ją ze szczytu któregoś z sągów. Inni słuchali w dole tych słów z rozdziawionymi ustami, po czym biegli pod parkan, jeszcze raz czytali, by w końcu samemu wdrapać się na jedną z twierdz i stamtąd wygłosić odezwę.

Wszyscy byli podekscytowani, bo nigdy przedtem nic takiego nie wydarzyło się na Placu. Musiało im rzeczywiście grozić bardzo poważne niebezpieczeństwo, skoro Boka zdecydował się na taki krok i osobistym podpisem opatrzył ważki dokument.

Chłopcy znali już niektóre szczegóły. Tu i tam wymieniano nazwisko Gereba, ale nikt nie wiedział, jak to jest naprawdę. Boka z różnych powodów uważał za stosowne utrzymać w tajemnicy sprawę Gereba. Między innymi i z tego względu, że liczył na to, iż uda mu się

przyłapać Gereba na Placu, na gorącym uczynku, i z miejsca postawić go przed sądem. Nie przewidział jednak, że Nemeček na własną rękę znów się uda do Ogrodu Botanicznego, zakradnie się w sam środek wrogiego obozu i wywoła straszliwą aferę...

O tym wszystkim przewodniczący dowiedział się dopiero dziś przed południem, po lekcji łaciny, kiedy w suterenie, w której podczas przerwy woźny sprzedawał chleb z masłem, Nemeček odwołał go na bok i wszystko dokładnie opowiedział. Na Placu natomiast jeszcze o pół do trzeciej wiedziano niewiele, panowała niepewność, wszyscy oczekiwali przewodniczącego. Na powszechne zdenerwowanie wpłynęło jeszcze dodatkowo podniecenie członków Związku Kitowców, w którym to związku doszło do rozłamu. Powodem było wyschnięcie związkowego kitu. Wysechł, popękał i tym samym stał się bezużyteczny, ponieważ nie nadawał się już do dalszego ugniatania. Było to niewątpliwie winą prezesa, bo chyba po tym, co się wcześniej wydarzyło, nie trzeba tłumaczyć, że do statutowych obowiązków prezesa należało przeżucie od czasu do czasu kitu. Nowy prezes Kolnay paskudnie zlekceważył swoje obowiązki. Łatwo też odgadnąć, kto najgorliwiej piętnował niedbalstwo prezesa. Oczywiście Barabasz. Chodził od jednego chłopca do drugiego i w ostrych słowach opowiadał o nieróbstwie nowego prezesa. Jego zabiegi przyniosły skutek, bo już po pięciu minutach udało mu się przekonać część członków, żeby domagali się zwołania nadzwyczajnego walnego zebrania. Kolnay domyślał się, o co chodzi.

- Zgoda - powiedział - ale teraz ważniejsza staje się dla nas sprawa Placu. Nadzwyczajne zebranie zwołamy dopiero jutro.

Barabasz jednak awanturował się dalej.

- Nie zgadzamy się! Wygląda na to, że pan prezes się boi!

- Może ciebie się boję, co?

- Nie mnie, lecz walnego zebrania! Domagamy się, aby jeszcze dziś odbyło się walne zebranie.

Kolnay właśnie chciał na to odpowiedzieć, kiedy od furtki rozległo się zawołanie chłopców z Placu Broni:

- Hola ho! Hola ho!

Wszyscy spojrzeli w tamtą stronę. Przez furtkę wszedł Boka. Koło niego kroczył Nemeček z szyją owiniętą wielkim szydełkowym szalem z czerwonej włóczki.

Przybycie przewodniczącego przerwało dyskusję. Kolnay raptownie wyraził zgodę.

- No dobra, jeszcze dziś przeprowadzimy zebranie. Ale naprzód wysłuchamy tego, co powie nam Boka.

- Zgadzam się - przystał Barabasz, tym bardziej iż zarówno członkowie Związku

Kitowców, jak i wszyscy pozostali chłopcy zgromadzili się już wokół Boki i zasypali go tysiącem pytań.

Kolnay i Barabasz pośpieszyli więc w tamtą stronę. Boka nakazał milczenie, a po chwili, w pełnej skupienia ciszy, przemówił:

- Chłopcy! Przeczytaliście już odezwę i wiecie, jak wielkie niebezpieczeństwo nam zagraża. Nasi zwiadowcy przedostali się do obozu nieprzyjaciela i dowiedzieli się, że czerwone koszule chcą nas jutro zaatakować.

Zapanowało ogólne poruszenie. Nikt bowiem nie spodziewał się, że jutro dojdzie do wojny.

- Tak, jutro - powtórzył Boka - i w związku z powyższym z dniem dzisiejszym ogłaszam stan wojenny. Każdy zobowiązany jest do bezwzględnego posłuszeństwa wobec swych zwierzchników, a wszyscy oficerowie wobec mnie. Nie myślcie, że to będzie dziecinna zabawa. Czerwone koszule to silni chłopcy, jest ich wielu. Walka będzie bardzo zacięta. Ale nie chcę nikogo zmuszać i dlatego oświadczam, że jeśli ktoś wolałby nie brać udziału w wojnie, niech się teraz zgłosi!

Zapanowała martwa cisza. Nikt nawet nie drgnął. Wtedy Boka powtórzył:

- Kto nie chce brać udziału w wojnie, niech wystąpi! Czy naprawdę nie ma takich?

I wtedy wszyscy krzyknęli jednym głosem:

- Nie ma!

- Wobec tego dajcie słowo, że jutro będziecie tu o drugiej.

Chłopcy po kolei podchodzili do Boki i dawali słowo, że stawiają się nazajutrz z wszelką pewnością.

Boka każdemu podał rękę, a potem znów się odezwał gromkim głosem:

- Kto jutro nie stawi się na Placu, ten zostanie uznany za podłego wiarołomcę i noga jego tutaj więcej nie postanie; jeśli się pokaże - przepędzimy go kijami.

Wtedy Lesik wystąpił z szeregu i oznajmił:

- Panie przewodniczący, wszyscy tu jesteśmy z wyjątkiem Gereba.

Po tych słowach zapanowała śmiertelna cisza. Wszyscy byli ciekawi, co się stało z Gerebem. Ale Boka nie należał do ludzi, którzy odstępują od raz powziętego zamiaru. Nie zamierzał potępiać Gereba za jego plecami, chciał to zrobić tylko w przypadku złapania go na gorącym uczynku, w obecności chłopców.

- Co się stało z Gerebem? - powtórzyło pytanie kilku chłopców.

- Nic - spokojnie odparł Boka. - O tym pomówimy kiedy indziej. Teraz najważniejsze jest to, żeby wygrać bitwę. Nim jednak wydam rozkazy, jest jeszcze jedna rzecz do zrobienia.

Jeśli są między wami niesnaski i kłótnie, to trzeba je teraz zakończyć. Ci, którzy są skłócenii, muszą się pogodzić.

Znów zapanowała cisza.

- No i co? - zapytał przewodniczący. - Nie ma wśród was kłótni?

- O ile wiem... - zaczął niepewnie Weiss.

- No, mów!

- To... Kolnay... z Barabaszem.

- Czy to prawda?

Barabasz zarumienił się.

- Tak - powiedział - bo Kolnay...

Kolnay nie dał mu dokończyć.

- Bo to Barabasz...

- Natychmiast się pogódźcie - krzyknął Boka - bo inaczej obu was wyrzucę! Walczyć i zwyciężać można tylko wtedy, jeśli panuje zgoda.

Obaj wiecznie skłócenii ze sobą chłopcy podeszli do Boki i chcąc nie chcąc wyciągnęli do siebie ręce. Nie zdążyli jeszcze uściśnąć sobie dłoni, kiedy Barabasz powiedział:

- Panie przewodniczący!

- O co chodzi?

- Chciałbym o coś zapytać.

- Tak?

- O to... że jeśli czerwone koszule nas nie zaatakują, to żebym... to., żebym znów mógł gniewać się z Kolnayem, bo...

Boka spojrział na niego tak, jakby chciał go zabić wzrokiem.

- Skończ z tym!

Barabasz umilkł. Złość jednak nie odeszła i wiele dałby za to, aby w tej chwili mógł wymierzyć sójkę w bok Kolnayowi, który wesoło się uśmiechał...

- A teraz - odezwał się Boka - szeregowy, proszę mi podać plan wojenny!

Nemeczek posłusznie sięgnął do kieszeni i wyjął arkusz papieru. Był to plan, który Boka wymyślił dziś po południu.

Nemeczek rozłożył plan na kamieniu i chłopcy przykucnęli wokół. Każdy z zaciekawieniem oczekiwał, jaką mu na jutro wyznaczono rolę.

Boka zaczął objaśniać plan. Był on następujący.

- Słuchajcie uważnie i patrzcie cały czas na ten szkic. Jest to mapa naszego państwa. Według meldunku naszych zwiadowców nieprzyjacieli zaatakuje nas jednocześnie z dwóch

stron: od ulicy Pawła i od ulicy Marii. Idźmy po kolei. Te dwa kwadraty, w które wpisane są litery A i B, oznaczają dwa bataliony, które będą bronić furtki. Batalion A składa się z trzech ludzi pod dowództwem Weissa. W skład batalionu B również wchodzi trzech ludzi pod komendą Lesika. Wejścia od ulicy Marii będą broniły także dwa bataliony. Dowódcą batalionu C jest Rychter, a batalionu D - Kolnay.

- A dlaczego nie ja?

- Kto to powiedział? - odezwał się surowym głosem Boka.

Przyznał się Barabasz.

- Znów ty? Jeśli jeszcze raz się odezwiesz, postawię cię przed trybunałem wojennym!
Siadaj!

Barabasz zamruczał coś pod nosem i usiadł. Boka zaś objaśniał dalej:

- Czarne punkty oznaczone literami F i cyframi to fortece. Zaopatrzymy je w piasek, tak że do obsady każdej twierdzy wystarczy dwóch ludzi, bo piaskiem jest łatwo walczyć. Zresztą fortece są tak blisko siebie, że jeśli jedna zostanie zaatakowana, to z drugiej też będzie można bombardować nieprzyjaciela. Fortece numer jeden, dwa i trzy będą bronić Placu od strony ulicy Marii, a fortece numer cztery, pięć i sześć będą wspomagać bataliony A i B kartaczami z piasku. Załogi fortec ustalę później. Dowódcy batalionów dobiorą sobie po dwóch ludzi. Zrozumieliście?

- Tak jest! - zabrzmiało zgodnym chórem.

Chłopcy z otwartymi z podziwu ustami wpatrywali się w precyzyjnie przygotowany plan działań wojennych, ba, niektórzy wyjmowali notesy i gorliwie wpisywali rozkazy dowódcy.

- Tak przedstawia się rozmieszczenie sił - mówił dalej Boka. - Teraz dopiero mogę wydać właściwy rozkaz. Niech każdy pilnie słucha. Kiedy wartownik siedzący na szczycie parkanu da znać, że zbliżają się czerwone koszule, wtedy bataliony A i B otworzą furtkę.

- Jak to? Otworzymy furtkę?!

- Tak, otworzycie ją. My nie zamkniemy się wcale przed nimi, tylko podejmiemy otwarty bój. Niech oni naprzód wejdą na Plac, a potem my ich z Placu przepędzimy. A więc otworzycie furtkę i wpuścicie nieprzyjacielskie oddziały. Kiedy już wszyscy wejdą do środka, zaatakujecie! W tym samym momencie fortece cztery, pięć i sześć rozpoczną bombardowanie nieprzyjaciela piaskiem. Takie jest zadanie bojowe armii broniącej naszego Placu od strony ulicy Pawła. Jeśli wam się uda, to wygnacie ich od razu, jeśli nie, to przynajmniej przeszkodzicie w przełamaniu linii utworzonej przez fortece cztery, pięć i sześć, zatrzymacie nieprzyjaciela na Placu. Druga armia broniąca Placu od strony ulicy Marii, otrzymuje

znacznie trudniejsze zadanie. Rychter i Kolnay, słuchać uważnie. Bataliony C i D wyślą zwiadowców na ulicę Marii. Kiedy druga grupa czerwonych koszul pojawi się na ulicy, oba bataliony ustawią się w szyku bojowym. Gdy jednak nieprzyjaciel wejdzie przez dużą bramę, wówczas oba bataliony rzucą się do pozornej ucieczki. Patrzcie tu... na mapę... widzicie? Batalion C, twój batalion, Rychter, cofnie się do wozowni...

Boka wskazał palcem miejsce na mapie.

- O, tu. Rozumiesz?

- Rozumiem.

- Natomiast batalion D, Kolnaya, schroni się do budki starego Jana. Teraz skupcie się, bo nadchodzi decydujący moment. I patrzcie uważnie na mapę. Czerwone koszule obejdą wtedy tartak z lewej i prawej strony i nagle znajdą się naprzeciw linii utworzonej przez fortece jeden, dwa i trzy, które natychmiast rozpoczną bombardowanie. W tej samej chwili oba bataliony wypadną z ukrycia, jeden z wozowni, drugi z budki Jana, i zaatakują nieprzyjaciela od tyłu. Wrogowie znajdą się wówczas w pułapce i jeśli będziecie dzielnie walczyli, zmusimy ich do poddania się. Wtedy zagnacie ich do budy i tam zamkniecie. Potem wasze bataliony pośpieszą na pomoc walczącym batalionom A i B. Batalion C zaatakuje nieprzyjaciela spod budki Jana, a batalion D po okrążeniu sągów - spod fortecy numer sześć. Załogi fortec jeden i dwa przejdą zaś do fortec cztery i pięć i wzmocnią bombardowanie. Wówczas wszystkie bataliony A, B, C i D utworzą jeden front i rozpoczną natarcie w kierunku furtki przy ulicy Pawła. W tym czasie wszystkie fortece będą ponad naszymi głowami bombardować nieprzyjaciela, który nie będzie w stanie przeciwstawić się naszym połączonym siłom. I wtedy wypędzimy ich przez furtkę! Zrozumieliście?

Odpowiedzią był pełen entuzjazmu chóralny okrzyk. Chłopcy zaczęli wymachiwać chustkami i podrzucać czapki. Nemecek zdjął z szyi czerwony szal i jego zachrypnięty głos dołączył do ogólnej wrzawy:

- Niech żyje dowódca!

- Niech żyje! - odpowiedzieli chórem.

Ale Boka nakazał ciszę.

- Jeszcze jedna sprawa. Wraz ze swoim adiutantem będę znajdował się w pobliżu batalionów C i D. Wszystkie przekazywane wam przez niego polecenia należy traktować jako moje osobiste rozkazy.

Ktoś zapytał:

- Kto będzie adiutantem?

- Nemecek.

Kilku chłopców spojrzało po sobie. Członkowie Związku Kitowców zaczęli się nawet trącać w bok na znak, że należałoby się temu sprzeciwić.

Rozległy się głosy:

- Powiedz, no!

- To ty powiedz!

- Dlaczego ja? Mów ty!

Boka spojrzał zdziwiony.

- Czy macie jakieś zastrzeżenia?

Jedynie Lesik śmiał się odezwać:

- Tak.

- A jakież to?

- W czasie walnego zebrania Związku Kitowców... kiedy...

Boka stracił cierpliwość i krzyknął do Lesika:

- Dość tego! Milcz! Nie interesują mnie te wasze głupoty. Nemecek będzie moim adiutantem, i kropka! Kto piśnie na niego choćby słówko, ten stanie przed trybunałem wojennym.

Oświadczenie to zabrzmiało może zbyt surowo, ale wszyscy przyznali w duchu, że w czasie wojny tak właśnie należy postępować. Pogodzono się więc z faktem, że Nemecek będzie adiutantem wodza. Jeszcze tylko kierownictwo Związku Kitowców cicho szeptało między sobą na ten temat. Twierdzili, że to obraza związku, że wstyd, i że w czasie wojny nie wolno powierzać tak ważnej funkcji temu, kogo walne zebranie uznało za zdrajcę i czyje nazwisko wpisano do czarnej księgi małymi literami. Gdyby jednak znali prawdę...

Boka wyciągnął z kieszeni listę i wyznaczył załogi poszczególnych fortec. Dowódcy batalionów dobrali sobie po dwóch chłopców. Odbywało się to w ogromnym skupieniu. Chłopcy byli tak przejęci, że nie padło ani jedno słowo komentarza. Kiedy wszystko już było ustalone, Boka wydał rozkaz:

- A teraz biegiem na wyznaczone pozycje! Przeprowadzimy manewry.

Chłopcy błyskawicznie rozbiegli się.

- Nie opuszczajcie posterunków, póki nie otrzymacie nowego rozkazu! - krzyknął za nimi Boka.

Dowódca pozostał na środku Placu tylko ze swoim adiutantem Nemeckiem. Biedny adiutant głośno kaszłał.

- Erno - odezwał się opiekuńczym tonem Boka - owiń szyję szalem, jesteś bardzo przeziębiony.

Nemeczek z wdzięcznością spojrział na swego przyjaciela i opatulił szyję czerwonym włóczkowym szalem tak starannie, że wystawał mu tylko czubek nosa. Był posłuszny Boecyńskiemu starszemu bratu.

Potem Boka zakomunikował:

- Wyślę przez ciebie rozkaz do fortecy numer dwa. Zapamiętaj, co powiem...

Ale w tym momencie Nemeczek zrobił coś, co mu się nigdy dotąd nie zdarzyło. Przerwał dowódcy w pół zdania:

- Przepraszam cię bardzo - powiedział - ale przedtem chciałbym ci coś powiedzieć.

Boka zmarszczył brwi.

- Co takiego?

- Przed chwilą członkowie Związku Kitowców...

- Daj spokój - zawołał niecierpliwie przewodniczący - ty też poważnie traktujesz te wygłupy?

- Tak - odparł Nemeczek - bo oni również poważnie je traktują. Wiem, że oni są głupi, i nie przejmuję się tym, co myślą o mnie, ale nie chciałbym, żebyś... żebyś... i ty... mną gardził.

- Coś ty, niby dlaczego miałbym tobą gardzić?

Zza zwojów czerwonego szala dobiegła płaczliwa odpowiedź:

- Bo oni uznali mnie za... za zdrajcę...

- Za zdrajcę? Ciebie?

- Tak. Mnie.

- No, to naprawdę ciekawe.

I wtedy Nemeczek zacinając się, opowiedział zdławionym głosem, co się wczoraj zdarzyło. W tym momencie, kiedy członkowie Związku Kitowców składali tajną przysięgę, on musiał odbiec, aby nie stracić z oczu Gereba. A oni natychmiast wykorzystali ten zbieg okoliczności i uznali, że Nemeczek uciekł dlatego, żeby nie wstępować do tajnego związku, no i ogłosili go zdrajcą bez czci i honoru...

A w gruncie rzeczy stało się tak dlatego, że na pewno podporucznicy, porucznicy i kapitanowie mają za złe, że przewodniczący zamiast się przyjaźnić z oficerami - wtajemnicza w najważniejsze sprawy państwowe zwykłego szeregowca, czyli Nemeczka. No i na koniec wreszcie, jak wpisali jego nazwisko małymi literami do czarnej księgi.

Boka wysłuchał wszystkiego bardzo cierpliwie i zamyślił się na chwilę. Martwiło go, że niektórzy z jego kolegów są tacy głupi. Boka był mądrym chłopcem, ale nie zdawał sobie jeszcze sprawy z tego, że ludzie są bardzo różni, każdy jest inny, i że dochodzimy do tej

prawdy za cenę bolesnych doświadczeń. Serdecznie spojrział na małego blondynka.

- Słuchaj, Erno - powiedział - rób dalej swoje i nie przejmuj się, dobrze? Teraz, przed rozpoczęciem wojny, nie mogę się dłużej nad tym zastanawiać. Ale zaraz po wojnie wezmę ja się do nich. A teraz pędź galopem do fortec numer jeden i dwa i przekaz im rozkaz, żeby natychmiast przeszli do fortec cztery i pięć. Chcę wiedzieć, ile im to zabierze czasu.

Szeregowiec stanął na baczność i zasalutował, chociaż w tym samym momencie ze smutkiem pomyślał, że oto skutek wojny opóźni się wyjaśnienie tej przykrew sprawy, która zaciążyła na jego honorze. Zdławił jednak wzbierającą w nim gorycz i po żołniersku zameldował:

- Rozkaz!

I galopem popędził w stronę fortec. Wzniósł się za nim obłok kurzu. Adiutant zniknął za sągami, z których szczytów wychylały się zmierzwione głowy chłopców. Patrzyli na wszystko uważnie, a na ich twarzach malowało się podniecenie, takie samo jakie maluje się na obliczach żołnierzy przed bitwą, o czym wiemy z opisów odważnych korespondentów wojennych, będących znawcami psychiki ludzkiej.

Boka pozostał sam jeden na środku Placu. Docierał tu wprawdzie hałas uliczny, ale mimo to Boka miał wrażenie, że znajduje się nie w sercu wielkiego miasta, lecz gdzieś bardzo daleko, na obcych ziemiach, na wielkiej równinie, gdzie jutro rozegra się decydująca o losach narodów bitwa. Chłopcy w milczeniu zajmowali wyznaczone miejsca i czekali na dalsze rozkazy.

Boka zdał sobie sprawę, że teraz wszystko zależy od niego. Czuł, że ma wpływ na przyszłość i powodzenie tej małej społeczności. Od niego zależą dalsze losy wesołych popołudni, wypełnionych grą w piłkę i przeróżnymi zabawami. I czuł się dumny z faktu, że podjął się oto tak ważnego zadania.

Tak - powtarzał sobie w duchu - ja was obronię!

Rozejrzał się po ukochanym Placu, po czym spojrział w stronę sągów drzewa, zza których wznosił się w górę smukły komin tartaku, tak wesoło pykający białą parą, jakby dzisiejszy dzień niczym nie różnił się od poprzednich, jakby nie istniało zagrożenie, jakby los chłopców nie wisiał na włosku...

Boka czuł się niczym wielki wódz przed decydującą bitwą. Pomyślał o Napoleonie... Wyobraźnię wybiegł w przyszłość. Jak to się wszystko ułoży? Co będzie dalej? I kim on sam zostanie w przyszłości? Może żołnierzem i gdzieś, kiedyś, będzie naprawdę dowodził umundurowanymi oddziałami wojska na polu bitwy, będzie walczył, nie jak tu i teraz o mały Plac, ale o tę ogromną, ukochaną połąć ziemi, o Ojczyznę? A może zostanie lekarzem, który

codziennie prowadzi trudną i uporczywą walkę z chorobami?

Zapadał wczesny, wiosenny zmierzch. Boka otrząsnął się z zadumy, głęboko westchnął i ruszył w stronę sągów, żeby dokonać przeglądu fortecznych załóg.

Chłopcy spostrzegli, że zbliża się dowódca. Właśnie układali w rzędach bomby z piasku, ale przerwali zajęcie i wyprężyli się na baczność.

Dowódca zatrzymał się nagle w pół drogi i obejrzał za siebie. Chwilę nasłuchiwał, po czym odwrócił się i szybkim krokiem podszedł do furtki w płocie.

Ktoś stukał do furtki. Boka odciągnął zasuwę, otworzył furtkę i aż cofnął się ze zdumienia.

Przed nim stał Gereb.

- To ty, Boka? - powiedział z zakłopotaniem.

Boka nie był w stanie wykrztusić słowa. Gereb powoli wszedł i zamknął za sobą furtkę. Boka ciągle jeszcze nie wiedział, o co Gerebowi chodzi. Spostrzegł, że Gereb nie jest tak pewny siebie jak zwykle. Był blady i smutny, rękoma nerwowo poprawiał kołnierz i wyczuwało się, że chce coś powiedzieć, ale nie wie, od czego zacząć. Boka nie odzywał się, Gereb również milczał i stali tak naprzeciw siebie przez kilka chwil, nie wiedząc, co począć. Wreszcie Gereb przerwał milczenie:

- Przyszedłem... żeby pomówić z tobą.

Teraz Boka odzyskał głos. Spokojnym i poważnym tonem rzekł:

- Nie mam ci nic do powiedzenia. Najlepiej będzie, jeśli zaraz wyjdiesz tą samą furtką, przez którą wszedłeś.

Ale Gereb nie ruszał się.

- Słuchaj, Boka - powiedział - ja już wiem, że dowiedziałeś się o wszystkim. Na pewno wszyscy wiecie, że przeszedłem na stronę czerwonych koszul. Ale teraz jestem tu niejako szpieg, lecz jako przyjaciel.

Boka odezwał się cichym głosem:

- To wykluczone, ty już nie możesz być naszym przyjacielem.

Gereb opuścił głowę. Był przygotowany na ostre wymówki, liczył się z możliwością wyrzucenia go, ale nie spodziewał się, że Boka będzie z nim rozmawiać tak spokojnie i chłodno. Bardzo go to zabolalo. Bardziej nawet, niż gdyby został uderzony. Zaczął mówić cicho, ze smutkiem:

- Przyszedłem tu, żeby naprawić swój błąd.

- To niemożliwe - powiedział Boka.

- Ale ja żałuję... bardzo żałuję... i odniosłem waszą chorągiew, którą zabrał stąd Feri

Acz i którą Nemecek odzyskał... tę chorągiew, którą potem Pastorowie wyrwali Nemeckowi z rąk...

To mówiąc wyciągnął z kieszeni małą czerwono - zieloną chorągiewkę. Boce zabłysły oczy. Mała chorągiewka była pomięta, porwana, jak prawdziwy sztandar, o który w ogniu bitwy toczyła się zacięta walka. I to właśnie było w tej chorągiewce piękne.

- Chorągiew sami odbierzemy czerwonym koszulom - powiedział Boka. - A jeśli nie uda się nam tego dokonać, to i tak wszystko przepadło... I tak będziemy musieli stąd odejść, pójdziemy w rozsypkę... Przestaniemy się spotykać... Więc nie chcemy od ciebie chorągwi... I ciebie również nie potrzebujemy...

I uczynił gest, jakby chciał odwrócić się i odejść, zostawić Gereba samego. Ale ten chwycił go za brzeg kurtki.

- Janosz - powiedział zdławionym głosem - przyznaję, zawiniłem, wyrządziłem wam wielką krzywdę. Ale teraz chcę naprawić swój błąd. Przebaczenie mi.

- Ale... - odparł Boka - ja już ci przebaczyłem.

- I przyjmiecie mnie z powrotem?

- To niemożliwe.

- Za nic?

- Za nic.

Gereb wyjął z kieszeni chusteczkę i podniósł ją do oczu. Boka ze smutkiem rzekł do niego:

- Nie płacz, Gereb, nie chcę, żebyś się mazał. Idź do domu i daj nam spokój. Przyszedłeś do nas, bo i u czerwonych koszul straciłeś zaufanie.

Gereb schował chusteczkę do kieszeni i usiłował nadržabiać miną.

- No dobrze - powiedział - odchodzę. Już mnie więcej nie zobaczycie. Ale daję ci słowo, że nie dlatego tu przyszedłem, że czerwone koszule mną wzgardziły. Inny był powód.

- A jakież to?

- Nie powiem. Może sam się dowiesz. Ale dla mnie to nic dobrego!

Przewodniczący spojrzał zdumiony.

- Nie rozumiem!

- Teraz nie mogę ci tego wyjaśnić - wyjąkał Gereb i ruszył w stronę furki. Zatrzymał się przy niej i raz jeszcze odwrócił. - Naprawdę nie mam co prosić, żebyście przyjęli mnie z powrotem?

- Naprawdę.

- No to... nie będę prosił.

Wybiegł przez furtkę i zatrzasnął ją za sobą. Boka wahał się chwilę. Po raz pierwszy w życiu musiał być wobec kogoś bez litości. I już, już gotów był ruszyć za Gerebem, żeby krzyknąć: „Wracaj, tylko od tej pory zachowuj się porządnie!” - kiedy nagle coś mu się przypomniało. Jak to wczoraj na ulicy Pawła Gereb uciekał przed nimi śmiejąc się szyderczo. Obaj z Nemeckiem stali wówczas na skraju chodnika, ze zwieszonymi nisko głowami, a w uszach brzmiał im pełen pogardy, ironiczny śmiech uciekającego przed nimi Gereba.

Nie - powiedział do siebie w duchu Boka - nie zawołam go. To zły chłopak.

Odwrócił się, żeby ruszyć w stronę fortec, ale nagle zatrzymał się zdumiony. Na sagach stała jego armia i w milczeniu obserwowała całą scenę rozgrywającą się między obu chłopcami. Stali tam nawet ci, którzy nie stanowili załóg fortec. Wstrzymując oddech, czekali w milczeniu na to, co się stanie.

Gdy Gereb wyszedł, a Boka odwrócił się w ich stronę, całe tłumione dotąd zdenerwowanie rozładowało się momentalnie jednym wielkim, radosnym okrzykiem.

- Niech żyje! - zabrzmiały dziecinne głosy i czapki poleciały w górę na wiwat.

- Niech żyje nasz wódz!

I powietrze przeszył potworny gwizd, tak donośny, jakiego nie jest w stanie wydać nawet lokomotywa, która zebrała w sobie całą parę. Był to przenikliwy, pełen triumfu gwizd. Oczywiście to gwizdnął Czonakosz. Po czym z radością rozejrzał się i szczerząc w uśmiechu zęby powiedział:

- No, nigdy dotąd nie udało mi się tak wspaniale gwizdnąć.

Boka zaś zatrzymał się na środku Placu i ze wzruszeniem salutował swojej armii. I znów pomyślał o wielkim wodzu - Napoleonie. To przecież Napoleona tak gorąco kochała jego stara gwardia...

Wszyscy widzieli scenę, jaka się przed chwilą rozegrała, i teraz już nikt nie miał wątpliwości co do Gereba. Wprawdzie nie słyszeli rozmowy między chłopcami, ale wszystkiego można się było domyślić z gestów. Chłopcy widzieli więc odmowny gest Boki. Widzieli, że nie podał Gerebowi ręki. Widzieli, jak Gereb rozplakał się i odszedł. Kiedy raz jeszcze, stojąc w furtce, odwrócił się i powiedział coś do Boki, przestraszyli się trochę.

Lesik szepnął:

- Ojej... może mu teraz przebaczy.

Ale kiedy chłopcy dostrzegli, że Boka przecząco kręci głową i że Gereb w końcu opuszcza Plac, wtedy ogarnął ich entuzjazm. I dlatego właśnie, gdy dowódca spojrzał na nich, rozległo się gromkie „Niech żyje!” Zaimponowało chłopcom, że ich dowódca zachował się jak stanowczy mężczyzna. Mieli ochotę objąć go i ucałować. Ale czas był wojenny, więc

mogli wyrażać swoje uczucia tylko krzykiem. Toteż krzyczeli pełną piersią, ile sił w płucach i w gardłach.

- Twardy jesteś, staruszk - powiedział z dumą Czonakosz. Ale przestraszył się i natychmiast poprawił:

- Przepraszam... to „staruszk” jakoś mi się tak wyrwało... panie przewodniczący...

Zaraz też rozpoczęły się manewry. Rozlegały się gromkie komendy, oddziały pędziły między sagami drzewa, atakowały fortece, a bomby z piasku fruwały na lewo i prawo. Wszystko udawało się doskonale. Okazało się, że każdy dobrze zna swoją rolę. A to zasadniczo podniosło wiarę we własne siły.

- Zwycięzimy! - słychać było zewsząd.

- Pokonamy ich! Przepędzimy!

- Zwiążemy jeńców!

- Złapiemy nawet samego Feriego Acza!

Tylko Boka zachowywał powagę.

- Nie upajajcie się zwycięstwem, jeszcze na to za wcześnie - mówił. - Przyjdzie na to czas po zakończeniu bitwy. A teraz, kto chce, może iść do domu. I przypominam: kto jutro nie przyjdzie na Plac, ten będzie zdrajcą.

Tym samym manewry zakończyły się. Ale nikt nie miał ochoty iść do domu. Chłopcy podzielili się na grupki i omawiali sprawę Gereba.

Nagle Barabasz zawołał skrzeczącym głosem:

- Związek Kitowców! Związek Kitowców!

- Czego chcesz? - zapytali go chłopcy.

- Walnego zebrania!

Kolnayowi przypomniało się, że obiecał zwołać walne zebranie, na którym będzie musiał wytłumaczyć się przed członkami z wyschnięcia związkowego kitu. Zrezygnowany oświadczył:

- No dobra, niech będzie! Proszę szanownych stowarzyszonych członków - niech się zbiorą!

I szanowni stowarzyszeni członkowie, wraz z cieszącym się z cudzego nieszczęścia Barabaszem, ruszyli w stronę parkanu, gdzie miało się odbyć zebranie.

- Słuchamy! Słuchamy! - krzyknął Barabasz.

Kolnay urzędowym tonem zapowiedział:

- Otwieram zebranie. Pan Barabasz prosi o głos.

- Hm, hm... - chrząknął złowieszczo Barabasz. - Szanowni zebrani! Pan prezes miał

szczęście. Gdyby nie manewry, doszłoby już do zebrania, na którym pana prezesa zrzucano by ze stanowiska.

- Oho! Nie zgadzamy się! - oburzyli się stronnicy prezesa.

- Możecie się nie zgadzać! - ryknął mówca - już ja dobrze wiem, co mówię. Panu prezesowi dzięki manewrom udało się odwlec na krótko sprawę... ale teraz już się nie wymiga. Przyszła pora...

Barabasz zamilkł w pół zdania. Ktoś gwałtownie dobijał się do furtki, a w tym momencie każdy taki odgłos budził zrozumiały strach. Nigdy nie wiadomo, czy to przypadkiem nie nadciąga nieprzyjaciel.

- Kto to może być? - zapytał Barabasz. Wszyscy nadsłuchiwali.

Po chwili znów rozległo się mocne, niecierpliwe stukanie.

- Stukają do furtki - powiedział trzęsącym się głosem Kolnay i wyjrzał przez szparę w płocie. Po czym ze zdziwioną miną odwrócił się do chłopców: - To jakiś pan.

- Jakiś pan?

- Tak, z brodą.

- No to mu otwórz.

Kolnay otworzył furtkę. Rzeczywiście, zobaczyli elegancko ubranego pana w płaszczu z peleryną. Miał czarną, okalającą całą twarz brodę i nosił okulary. Postąpił krok, zatrzymał się w progu i głośno zapytał:

- Czy to wy jesteście chłopcami z Placu Broni?

- Tak - odpowiedział chórem cały Związek Kitowców.

Usłyszawszy to mężczyzna w płaszczu z peleryną podszedł do nich i łagodniej już spojrzął na chłopców.

- Jestem ojcem Gereba - powiedział zamykając za sobą furtkę.

Zapanowała cisza. Zanosilo się na poważną sprawę. Lesik trącił Rychtera w bok.

- Biegnij i zawołaj tu Bokę.

Rychter popędził w stronę tartaku, gdzie Boka opowiadał właśnie chłopcom o sprawkach Gereba. Brodaty pan zwrócił się natomiast do członków Związku Kitowców:

- Dlaczego wyrzuciliście stąd mego syna?

Na to wystąpił Kolnay:

- Bo zdradził nas i przeszedł do czerwonych koszul.

- A kim są czerwone koszule?

- To jest inna grupa chłopców; oni spotykają się w Ogrodzie Botanicznym... ale teraz chcą zabrać nam nasz Plac, bo nie mają gdzie grać w palanta. To są nasi wrogowie.

- Mój syn wrócił przed chwilą do domu z płaczem. Długo go wypytywałem, co się stało, ale nie chciał nic wyjaśnić. W końcu, kiedy surowo zażądałem odpowiedzi, odparł, że jest podejrzany o zdradę. Powiedziałem mu: „Biorę kapelusz i natychmiast idę do twoich kolegów. Porozmawiam z nimi i dowiem się prawdy. Jeśli okaże się, że jesteś oskarżony niesłusznie, będę żądał, żeby cię przeproszono. A jeśli rzecz się potwierdzi, to źle z tobą, ponieważ ojciec twój przez całe swoje życie był uczciwym człowiekiem i nie zniesie tego, żeby jego syn zdradzał swoich przyjaciół”. Tak mu powiedziałem! Więc przyszedłem tutaj i odwołuję się do waszych sumień: czy mój syn jest zdrajcą, czy też nie?

Zapanowała głucha cisza.

- No i jak? - znów się odezwał ojciec Gereba. - Nie bójcie się mnie. Powiedzcie mi całą prawdę. Ja muszę wiedzieć, czy skrzywdziliście bezpodstawnie mego syna, czy też zasługuje on na karę?

Nikt nie odpowiadał. Nikt nie chciał sprawiać przykrości temu dobrotliwie wyglądającemu panu, który przykładął tak wielką wagę do uczciwości swego syna. Pan Gereb zwrócił się teraz do Kolnaya:

- To ty powiedziałeś, że was zdradził. Musisz mi to udowodnić. Kiedy was zdradził i w jaki sposób?

Kolnay zaczął się jąkać:

- Ja... ja... tylko słyszałem o tym...

- To się nie liczy. Kto z was wie o tym na pewno? Kto widział? Kto słyszał?

W tym momencie zza fortec wyłonili się Boka i Nemecek. Prowadził ich Rychter. Kolnay odetchnął z ulgą.

- Proszę pana - powiedział - o... tam idzie... ten mały, jasnowłosy chłopiec... to Nemecek... on widział. On wie wszystko.

Czekali, aż chłopcy się zbliżą. Ale Nemecek i Boka skierowali się prosto do furtki. Kolnay krzyknął do nich:

- Boka! Chodźcie tu szybko!

- Zaczekajcie chwilę, teraz nie możemy - odkrzyknął Boka. - Nemecek bardzo źle się czuje, dostał ataku kaszlu... muszę go odprowadzić do domu...

Na dźwięk nazwiska Nemecka pan w płaszczu z peleryną zwrócił się wprost do chłopca:

- Czy to ty nazywasz się Nemecek?

- Tak - odpowiedział cichutko mały blondynek i podszedł do ciemnowłosego mężczyzny. Ten zaś rzekł do niego surowym tonem:

- Jestem ojcem Gereba i przyszedłem tu po to, aby się dowiedzieć, czy mój syn jest zdrajcą, czy też nie. Twój koledzy powiedzieli, że ty widziałeś i wiesz dokładnie, jak to było. Odpowiedz więc, zgodnie z twoim sumieniem, czy to prawda, czy nie.

Nemeczek miał na twarzy gorączkowe wypieki. Był naprawdę poważnie chory. Pulsowały mu skronie, miał rozpalone ręce. I cały otaczający świat wydawał mu się jakiś dziwny... Brodaty pan w okularach, który odezwał się tak surowo, niczym pan profesor Rac, kiedy gniewał się na złych uczniów... i mnóstwo wpatrzonych w Nemeczka chłopców... i wojna... i w ogóle tyle emocji... i to srogim tonem zadane pytanie, od którego zależał los Gereba. Bo jeśli Nemeczek potwierdzi, że Gereb jest zdrajcą...

- Mów! - ponaglał czarnowłosy mężczyzna. - Powiedz! Czy mój syn jest zdrajcą?

Wówczas mały, jasnowłosy chłopiec, z płonąca od gorączki twarzą i nieprzytomnie błyszczącymi oczyma, wziął na siebie cały ciężar winy i choć cichutko, to przecież śmiało odpowiedział, jakby to on sam przyznawał się do winy:

- Nie, proszę pana. Nie jest zdrajcą.

Wtedy ojciec Gereba z satysfakcją w głosie zwrócił się do chłopców:

- A więc kłamaliście?

Członkowie Związku Kitowców oniemieli ze zdumienia. Nikt nawet nie pisnął.

- Cha, cha! - roześmiał się szyderczo brodaty mężczyzna. - A więc kłamaliście! Byłem pewien, że mój syn jest uczciwym chłopcem.

Nemeczek ledwo trzymał się na nogach. Pokornie zapytał:

- Czy mogę już iść, proszę pana?

Brodacz odparł ze śmiechem:

- Możesz już iść, ty mały mądralo!

Nemeczek, słaniając się, wyszedł na ulicę razem z Boką. Mąciło mu się w głowie. Nic już nie słyszał, nie widział. Przed oczyma wirował mu czarnowłosy mężczyzna, ulica, sagi drzew, huczało mu w uszach. „Chłopcy na fortece!” zawołał jakiś głos. Po chwili odezwał się inny: „Czy mój syn jest zdrajcą?” i mężczyzna z czarną brodą zaczął się szyderczo śmiać, coraz głośniejszym i głośniejszym śmiechem, a w tym śmiechu usta rozszerzyły mu się aż do wielkości szkolnej bramy, przez którą... przez którą wyszedł pan profesor Rac...

Nemeczek zdjął czapkę.

- Komu się kłaniasz? - zapytał Boka. - Przecież żywej duszy nie ma na ulicy.

- Kłaniam się panu profesorowi Racowi - odpowiedział cichutko Nemeczek.

Wtedy Boka zaczął płakać. Pośpiesznie ciągnął do domu swego małego przyjaciela.

A tymczasem na placu Kolnay podszedł do pana Gereba i powiedział:

- Proszę pana, Nemeček jest kłamcą. Myśmy go uznali za zdrajcę i wyrzucili z naszego związku.

Ojciec Gereba z zadowoleniem stwierdził:

- Widać to po nim. Ma obłudny wyraz twarzy, co świadczy o nieczystym sumieniu.

I uspokojony ruszył do domu, aby przebaczyć synowi. Na rogu ulicy Üllői dostrzegł jeszcze, jak Boka ze ślaniającym się Nemečkiem przeszli koło kliniki na drugą stronę ulicy. W tym momencie Nemeček też już płakał, płakał bardzo gorzko i żałośnie, z głębi obolałej duszyczki zwykłego szeregowca, a poprzez łyzy powtarzał wciąż rozgorączkowanymi ustami:

- Wpisali moje nazwisko małymi literami... małymi literami wpisali moje biedne, ucziwe nazwisko...

VII

Nazajutrz, podczas lekcji łaciny, zdenerwowanie w klasie osiągnęło takie natężenie, że nawet pan profesor Rac zwrócił na to uwagę.

Chłopcy wiercili się niespokojnie w ławkach, byli podnieceni i w ogóle nie zwracali uwagi na kolegów, którzy akurat odpowiadali. Ten stan ogarnął zresztą nie tylko chłopców z Placu Broni, ale w ogóle całą klasę, ba, można powiedzieć - całą szkołę. Wieść o przygotowaniach wojennych szybko rozeszła się po wielkim gmachu szkolnym i nawet chłopcy ze starszych klas, z siódmej i ósmej, poważnie interesowali się sprawą. Czerwone koszule chodziły do szkoły realnej w dzielnicy Józsefvaros i oczywiste było, że gimnazjaliści życzyli zwycięstwa chłopcom z Placu Broni. Niektórzy uważali nawet, że od tego zwycięstwa zależy honor szkoły.

- Co się dziś z wami dzieje? - zapytał ze zniecierpliwieniem profesor Rac. - Kręcicie się, zajmujecie się wszystkim, tylko nie lekcjami, bujacie myślami w obłokach.

Ale nie dochodził dalej przyczyny zamieszania. Zadowolił się stwierdzeniem, że klasa ma po prostu zły dzień. Karcącym głosem dodał:

- Oczywiście, jest wiosna, więc w głowach wam tylko piłka i kulki... nie podoba wam się w szkole! No, już ja wam dam nauczkę!

Ale tylko tak mówił. Pan profesor Rac sprawiał wrażenie srogiego, a w gruncie rzeczy był człowiekiem łagodnego serca.

- Siadaj! - powiedział do ucznia, który właśnie odpowiadał i zaczął szukać w notesie następnego nazwiska.

W takiej chwili w klasie zawsze zapadała śmiertelna cisza. Wszyscy, nawet ci, którzy byli dobrze przygotowani do lekcji, wstrzymywali oddech i wpatrywali się w palce nauczyciela przewracające kartki notesu. Chłopcy wiedzieli już nawet, na której stronie wpisane są ich nazwiska. Kiedy pan profesor przeglądał końcowe kartki notesu, wówczas z ulgą oddychali ci, których nazwiska zaczynają się na A i B. Kiedy potem nagle pan profesor przerzucił się znów na początek notesu, wówczas odzyskiwali humor chłopcy na R, S i T.

Nauczyciel długo kartkował notes, po czym cicho powiedział:

- Nemiczek!

- Nieobecny! - zagrzmiała cała klasa. A jeden z dobrze znanych na Placu Broni głosów dodał:

- Jest chory.

- A co mu jest?

- Przeziębił się.

Profesor Rac spojrział na klasę i zapytał:

- Dlaczego nie uważacie na siebie?

Chłopcy z Placu Broni wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Oni dobrze wiedzieli, z jakich to powodów mały Nemeček nie uważał na siebie. Chłopcy z Placu siedzący w różnych miejscach klasy, jedni w pierwszym rzędzie, inni w trzecim, a Czonakosz, co tu dużo mówić, w ostatnim, znacząco popatrzyli na siebie. Wszyscy wiedzieli jedno: Nemeček przeziębił się w imię dobrej sprawy. Mówiąc wprost, Nemeček przeziębił się dla Ojczyzny. Skapał się biedny przynajmniej trzykrotnie, pierwszy raz przypadkowo, po raz drugi z własnej woli - honorowo, po raz trzeci wreszcie - pod przymusem. Ale nikt, za skarby świata, nie zdradziłby tej wielkiej tajemnicy, którą znali właściwie wszyscy, włącznie ze Związkiem Kitowców. W łonie tego związku rozpoczęto już nawet starania zmierzające do wymazania nazwiska Nemečka z czarnej księgi, tyle tylko, że członkowie nie mogli dojść do porozumienia, czy należy najpierw dokonać poprawek, to znaczy zamienić początkowe litery nazwiska z małych na duże i dopiero wtedy wymazać całość, czy też wykreślić od razu, bez żadnych ceregieli. A ponieważ Kolnay, który ciągle jeszcze był prezesem, uważał, że należy niezwłocznie, bez żadnych poprawek, usunąć nazwisko Nemečka z książki, przeto Barabasz natychmiast zajął inne stanowisko i utworzył frakcję, która domagała się stanowczo, aby wprawdzie oddać honor nazwisku Nemečka.

Ale ten spór stracił na znaczeniu. Najważniejszą sprawą stała się bowiem oczekująca chłopców dziś po południu bitwa. Po lekcji łaciny do Boki zgłaszali się koledzy z klasy, którzy deklarowali pomoc, choć nie należeli do paczki. Boka jednak wszystkim odpowiadał tak samo:

- Bardzo żałujemy, ale nie możemy przyjąć waszej pomocy. Sami musimy obronić nasz kraj. Jeśli nawet czerwoni okażą się od nas silniejsi, to spróbujemy pokonać ich sprytem. Co będzie, to będzie, trudno, ale chcemy walczyć sami, bez niczyjej pomocy.

Zainteresowanie było tak ogromne, że zgłaszali się nie tylko uczniowie z innych klas - o godzinie pierwszej, kiedy wszyscy rozbiegli się do domów na obiad, straganiarz, sprzedający słodczyce w bramie opodal szkoły, również zaproponował Boce swoje usługi.

- Paniczu - powiedział - gdybym przyszedł pomóc, tobym sam jeden ich wszystkich wyrzucił!

Boka uśmiechnął się.

- Dziękuję bardzo, sami damy sobie radę!

Boka śpieszył się do domu. W szkolnej bramie koledzy z klasy otoczyli chłopców z Placu Broni i udzielali im najrozmaitszych pożytecznych rad. Byli i tacy, którzy pokazywali, w jaki sposób należy podstawić nogę. Inni zgłaszali się na przespiegi. A jeszcze inni prosili, żeby im pozwolono zobaczyć całą walkę. Ale nikt nie dostał na to zgody. Boka wydał surowy rozkaz: w momencie rozpoczęcia bitwy należy zamknąć furtkę i otworzyć ją dopiero wówczas, kiedy nieprzyjaciel zacznie się wycofywać.

Rozmowy te trwały zaledwie kilka chwil. Chłopcy rozbiegli się szybko, gdyż punktualnie o drugiej należało zameldować się na Placu. Piętnaście po pierwszej okolicy gimnazjum całkowicie opustoszały. Nawet sprzedawca słodczy związał swój kram i tylko szkolny woźny spokojnie palił fajkę przed bramą, robiąc od czasu do czasu zgryźliwe uwagi pod adresem człowieka w tureckim fezie:

- Nie wróżę wam, człowieku, długiego żywota w naszym sąsiedztwie. Usuniemy was stąd razem z tą całą waszą śmieciarnią!

Sprzedawca nie reagował jednak na zaczepki woźnego. Wzruszał tylko ramionami. W swoim czerwonym fezie uważał się za ważną osobistość i wcale nie zamierzał się wdawać w rozmowy ze zwykłym woźnym. Tym bardziej że zdawał sobie doskonale sprawę, że woźny ma rację.

Punktualnie o godzinie drugiej, kiedy Boka w czerwono - zielonej czapce chłopców z Placu Broni pojawił się w furtce, cała armia w szyku wojskowym stała już na środku pola. Przyszli wszyscy. Brakowało jedynie Nemezcza, który leżał w domu chory. Tak więc w dniu bitwy, w samym dniu bitwy, armia z Placu Broni pozostała bez swego szeregowca. Na placu znajdowali się wyłącznie podporucznicy, porucznicy i kapitanowie. A szeregowiec, jedyny, stanowiący trzon armii szeregowiec, leżał chory w małym domku z ogródkiem przy ulicy Rakos.

Boka natychmiast zaczął działać i wojskowym tonem zawołał:

- Baczność!

Wszyscy wyprężyli się jak struny.

Boka odezwał się dźwięcznym, donośnym głosem:

- Niniejszym wiadomym się czyni, że składam swoją funkcję przewodniczącego, ponieważ jest to funkcja obowiązująca w czasie pokoju. Teraz mamy stan wojenny, więc przyjmuję stopień generała!

Była to dla wszystkich wielce przejmująca chwila. Chwila podniosła i historyczna, kiedy w obliczu największego zagrożenia Boka przyjmował stopień generała.

Po chwili Boka dodał:

- A teraz jeszcze raz przedstawię plan wojenny, żeby potem nie było żadnych nieporozumień.

Powtórzył dokładnie przebieg całej akcji. I choć wszyscy znali plan na pamięć, to przecież ze skupieniem wsłuchiwali się w każde słowo.

Kiedy generał skończył, padł rozkaz:

- Wszyscy na posterunki!

Stojący w szeregu chłopcy rozbiegli się natychmiast i przy Boce pozostał tylko Kolnay. Bo to on właśnie zastąpił chorego adiutanta Nemezcza. Przez ramię miał przewieszoną trąbkę z żółtej miedzi. Trąbka ta została zakupiona za jednego forinta i czterdzieści grajcarów, stanowiących wspólny majątek. W tej kwocie mieścił się również cały kapitał Związku Kitowców, w sumie dwudziestu sześciu grajcarów, które naczelny wódz po prostu zarekwirował na cele wojenne.

Była to piękna pocztowa trąbka: miała taki sam głos jak prawdziwa trąbka wojskowa. Ustalono, że trąbką podawane będą tylko trzy sygnały. Pierwszy oznaczający, że nadchodzi nieprzyjaciel, drugi wzywający do ataku, trzeci - miał szczególne znaczenie: na ten sygnał wszyscy powinni skupić się wokół generała. Chłopcy nauczyli się tych sygnałów na pamięć podczas wczorajszych manewrów.

Siedzący okrakiem na szczycie płotu wartownik, z jedną nogą przerzuconą przez parkan od strony ulicy Pawła, wykrzyknął nagle przerażonym głosem:

- Panie generale!

- Słucham?

- Melduję posłusznie, że jakaś służąca z listem chce wejść na Plac.

- A kogo szuka?

- Mówi, że szuka pana generała.

Boka zbliżył się do parkanu.

- Przypatrz jej się dobrze, czy to przypadkiem nie przyszedł na przespiegi ktoś z czerwonych koszul przebrany za dziewczynę.

Wartownik przechylił się przez płot tak bardzo, że omal nie spadł na ulicę. Potem zameldował:

- Panie generale, melduję posłusznie, dobrze się jej przyjrzałem. To prawdziwa dziewczyna.

- Jeśli prawdziwa, to niech wejdzie.

I podszedł, żeby otworzyć furtkę. Najprawdziwsza dziewczyna weszła i rozejrzała się po Placu. Była bez chustki, w kapciach, przybiegła pewnie tak jak stała, prosto od zmywania.

- Przyniosłam list od państwa Gerebów - powiedziała. - Panicz przykazał, że to bardzo pilna sprawa i że czeka na odpowiedź...

Boka otworzył list zaadresowany do „Jaśnie Oświeconego Pana Przewodniczącego Boki”. Był to właściwie nie list, a plik kartek różnego formatu. Znajdowała się w nim kartka wyrwana z zeszytu i arkusik listowego papieru, i kawałek kartki z papeterii siostry, a wszystkie te kartki i karteluszek zapisano bitym maczkiem po obu stronach. Boka zaczął czytać.

Kochany Boka!

Wiem wprawdzie, że ty nawet listownie nie będziesz chciał ze mną rozmawiać, ale ja muszę skorzystać z tej ostatniej już szansy, nim zerwę z wami ostatecznie. Dziś zdaję sobie sprawę, jak wielki popełniłem błąd i przyznaję, że wy nie zasłużyliście w niczym na takie moje postępowanie, tym bardziej że przepięknie zachowaliście się wobec mego ojca, a zwłaszcza Nemeček, który powiedział ojcu, że ja was wcale nie zdradziłem. Mój ojciec tak się ucieszył, kiedy się okazało, że ja nie jestem zdrajcą, że jeszcze tego samego dnia kupił mi książkę „Tajemnicza wyspa” Juliusza Verne'a, o którą go już od dawna prosiłem. A ja tę książkę natychmiast zaniósłem w prezencie Nemečkowi i nawet jej nie przeczytałem, chociaż bardzo chciałem ją przeczytać. Na drugi dzień ojciec zauważył, że nie mam „Tajemniczej wyspy”, i zapytał: „Gdzie jest ta książka, ty niecnoto?”, a ja nie mogłem się przyznać, więc ojciec powiedział: „Ach, ty łobuzie, sprzedałeś ją na pewno w antykwariacie, poczekaj, już nigdy więcej nic ode mnie nie dostaniesz!” I tego dnia rzeczywiście nie dostałem nawet obiadu, ale wcale nie żałowałem. Jeśli biedny Nemeček niewinnie za mnie cierpiał, to niech i ja trochę pocierpię za niego. Ale ja o tym tylko tak przy okazji, bo w innej sprawie piszę. Wczoraj w szkole, kiedy w ogóle nie chcieliście ze mną rozmawiać, cały czas zastanawiałem się, jak mógłbym naprawić swoją winę. I wreszcie znalazłem sposób. Pomyślałem sobie, że mogę naprawić błąd w taki sam sposób, w jaki go popełniłem. I dlatego zaraz po południu, kiedy z takim żalem odszedłem od was, bo ty nie chciałeś mnie z powrotem przyjąć, ruszyłem prosto do Ogrodu Botanicznego, aby zdobyć dla was ważne wieści. Naśladując Nemečka wdrapałem się na to samo drzewo na wyspie, na którym on wtedy siedział przez całe popołudnie. Oczywiście przyszedłem na wyspę wcześniej, kiedy jeszcze nie było tam nikogo z czerwonych koszul. Wreszcie oni się pojawili gdzieś koło godziny czwartej i okropnie na mnie wymyślali, czego ja na drzewie musiałem wysłuchać. Ale nic mnie to nie obchodziło, bo znów czułem się chłopcem z Placu Broni, jednym z was, i przestało się liczyć to, że mnie wyrzuciliście, bo przecież mego serca nie mogliście wyrzucić, ono pozostało przy was i

możesz mnie wyśmiać, ale powiem ci, że omal nie popłakałem się z radości, kiedy Feri Acz powiedział: „A ten Gereb mimo wszystko należy do nich, a nie do nas, i on nie jest prawdziwym zdrajcą. Ci chłopcy z Placu Broni chyba go do nas przystali na przespiewki”. I przeprowadzili walne zebranie, a ja słyszałem każde ich słowo. Powiedzieli, że ponieważ Nemeček wszystko podsłuchał, to oni dziś nie pójdą walczyć, bo wy jesteście przygotowani. Postanowili dopiero jutro przeprowadzić z wami bitwę. Ale wymyślili jeszcze coś bardzo chytrego i mówili o tym tak cicho, że musiałem zejść o dwie gałęzie niżej, żeby słyszeć, o czym mówią. Kiedy się poruszyłem, zaszeleściły liście, a Wendauer, który to usłyszał, powiedział: „A może Nemeček znów siedzi na tym drzewie?” - ale to był tylko taki żart i, na szczęście, nikt nie podniósł głowy, żeby spojrzeć na drzewo. Zresztą gdyby nawet spojrzeli w górę, to i tak nic by nie zobaczyli, bo na gałęziach są bardzo gęste liście. Więc postanowili, że jutro przeprowadzą atak w taki sam sposób, jak to przedtem ustalili, ty ten plan musisz znać, bo Nemeček wszystko ci powtórzył. Feri Acz powiedział: „Oni teraz myślą, że my zmienimy nasz plan wojenny, bo Nemeček nas podsłuchał. Ale my tego planu nie zmienimy właśnie dlatego, że oni się spodziewają, iż zmienimy”. Tak postanowili. Potem przeprowadzili ćwiczenia, a ja siedziałem na drzewie do pół do siódmej w największym niebezpieczeństwie, bo możesz sobie wyobrazić, co by było, gdyby mnie zauważyli. Ledwo mogłem już na tym drzewie wytrzymać, ręce mi całkiem ścierpły i tak osłabłem, że gdyby nie poszli o pół do siódmej do domów, to spadłbym prosto na nich jak dojrzała gruszka, chociaż to wcale nie była grusza. Ale to tylko taki sobie żart. Liczy się to, czego się dowiedziałem. Po pół do siódmej zszedłem z drzewa i pobiegłem do domu, a po kolacji musiałem odrabiać przy świecy łacinę, bo straciłem przecież całe popołudnie. Teraz, drogi Boka, już tylko o jedno cię proszę. Uwierz mi, że wszystko, co napisałem w tym liście, jest szczerą prawdą i nie myśl, że jest to jeszcze jedno kłamstwo i że chcę was wprowadzić w błąd jako szpieg czerwonych koszul. Piszę list dlatego, że chcę wrócić do was i chcę zasłużyć na wasze przebaczenie. Będę waszym wiernym żołnierzem i nie będę żałował swojej decyzji, nawet jeśli mnie zdegradujesz i odbierzesz rangę porucznika; wrócę do was równie chętnie jako szeregowy, tym bardziej że teraz, ze względu na chorobę Nemečka, nie macie w swoim wojsku żadnego szeregowca, jeśli nie liczyć psa starego Jana, ale Hektor też chyba teraz nie jest szeregowcem, tylko psem wojennym. A ja jestem chłopakiem i mogę być dobrym szeregowym. Jeśli teraz ostatni już raz przebaczyłbyś mi i przyjął z powrotem, to ja natychmiast przyszedłbym do was i walczył razem z wami w jutrzejszej bitwie, a w czasie walki postaram się naprawić wszystkie swoje błędy. Bardzo cię proszę, daj mi znać przez Mari, czy mogę do was przyjść, czy też nie chcecie, żebym przychodził. Ale gdybyście się zgodzili, to ja zaraz przyjdę, bo czekam na waszą odpowiedź w

bramie przy ulicy Pawia 5.

Twój wierny przyjaciel

Gereb

Kiedy Boka doszedł do ostatnich zdań listu, zrozumiał, że Gereb nie kłamie, że chce zmazać swoją winę i warto go przyjąć z powrotem. Przywołał więc swego adiutanta.

- Adiutancie - rozkazał - zatrąbcie trzeci sygnał, niech wszyscy zbiorą się przy mnie.

- Czy dostanę odpowiedź? - zapytała Mari.

- Proszę jeszcze chwilę poczekać - odpowiedział stanowczym głosem generał.

Rozległ się dźwięk trąbki i spoza sągów niepewnie zaczęli wychodzić chłopcy, zdziwieni tym, że generał ich wzywa. Widok Boki, spokojnie stojącego w miejscu dowodzenia, ośmielił ich jednak i po chwili cała armia znów stała przed generałem w karnym szyku. Boka odczytał chłopcom list i zapytał:

- Czy przyjmujemy go z powrotem?

Chłopcy, co tu dużo mówić, mieli dobre serca, odpowiedzieli więc jednym głosem:

- Tak!

- Proszę mu powiedzieć, żeby tu przyszedł. To nasza odpowiedź - Boka zwrócił się do służącej.

Mari gapiła się na stojącą w szyku armię, na czerwono - zielone czapki, na uzbrojenie... Ale po chwili szybko wybiegła przez furtkę.

- Rychter! - zawołał Boka, kiedy już zostali sami.

Rychter wystąpił z szeregu.

- Oddaję Gereba pod twoją komendę - powiedział generał - i ty masz na niego uważać. W razie najmniejszego podejrzenia natychmiast zamkniesz go w budzie. Nie sądzę, żeby do tego doszło, ale ostrożność nigdy nie zawadzi. Spocznij! Dziś, jak słyszeliście, nie będzie bitwy. Wszystko, co planowaliśmy na dzisiaj, przekładamy na jutro. A że przeciwnik nie zmienia swego planu, więc u nas również wszystko zostaje po staremu.

Boka chciał mówić dalej, ale furtka, której po wyjściu Mari nikt nie zamknął, otworzyła się z trzaskiem i na Plac, niczym do rajy, wpadł Gereb z promieniejącą twarzą. Ale gdy spostrzegł stojącą w szeregu armię, natychmiast spoważniał. Podeszedł do Boki i wśród ogólnego napięcia zaszalutował. Na głowie miał czerwono - zieloną czapkę chłopców z Placu Broni. Wyprężony na baczność powiedział:

- Panie generale, melduję się posłusznie!

- W porządku - powiedział Boka całkiem zwyczajnie. - Jesteś przydzielony do

Rychtera, na razie jako szeregowy. Zobaczymy, jak spiszesz się w czasie bitwy, być może odzyskasz swoją rangę.

Po czym Boka zwrócił się do swego wojska:

- Wam wszystkim natomiast najsurowiej zabraniam rozmawiać z Gerebem o tym, co się stało. On postanowił zmasakrować swoją winę, a my mu przebaczyliśmy. I musimy mu pomóc. Gerebowi także zabraniam o tym mówić i uważam sprawę za zakończoną.

Chłopcy słuchali w milczeniu, każdy mówił sobie w duchu: Boka jest naprawdę mądry, zasługuje na to, żeby być naszym generałem.

Rychter natychmiast zaczął Gerebowi tłumaczyć, jakie zadania będzie spełniał jutro w czasie bitwy. Boka rozmawiał z Kolnayem. I kiedy tak cicho ze sobą dyskutowali, wartownik, który ciągle siedział okrakiem na płocie, gwałtownie przerzucił nogę do środka. Był tak przerażony, że dopiero po chwili wyjąkał:

- Panie generale... nieprzyjaciel nadchodzi!

Boka błyskawicznie doskoczył do furtki i zamknął zasuwę. Wszyscy spojrzeli na Gereba, który blady jak śmierć stał koło Rychtera. Boka ze złością krzyknął do niego:

- To jednak nas oszukałeś?! Znów nas okłamałeś?!

Gereb ze zdumienia nie mógł z siebie wydobyć słowa. Rychter chwycił go za ramię.

- Co to znaczy?! - ryknął Boka.

Dopiero teraz Gereb z trudem próbował odpowiedzieć:

- Może... może zauważyli mnie na tym drzewie... i chcieli zwieść...

Wartownik jeszcze raz wyjrzał na ulicę, po czym zeskoczył z parkanu, chwycił za swoją broń i wraz z innymi stanął w szeregu.

- Idą czerwone koszule - powtórzył.

Boka podszedł do furtki, otworzył ją i śmiało wyszedł na ulicę. Czerwoni rzeczywiście nadchodzili. Ale było ich tylko trzech: bracia Pastorowie i Sebenicz. Kiedy zobaczyli Bokę, Sebenicz wyciągnął spod kurtki białą chorągiew i zaczął nią wymachiwać. Już z daleka krzyknął:

- Jesteśmy posłami!

Boka wrócił na Plac. Trochę mu wstyd było przed Gerebem, że zbyt pośpiesznie go posądził. Zaraz też zwrócił się do Rychtera:

- Puść go. To tylko posłowie z białą chorągwią. Przepraszam cię, Gereb.

Biedny Gereb odetchnął z ulgą. Przez przypadek wpadłby w tarapaty. Ale i wartownik dostał za swoje.

- A ty - krzyknął na niego Boka - dobrze się przypatrz na drugi raz, zanim ogłosisz

alarm! Zachowałeś się jak strachliwy zając.

Po czym wydał rozkaz:

- W tył zwrot, skryć się za sągami. Ze mną zostaną tylko Czele i Kolnay. Nikt więcej! Odmaszerować!

Chłopcy ruszyli wojskowym krokiem i wraz z Gerebem ukryli się szybko za sągami drzewa. Ostatnia czerwono - zielona czapka zniknęła z pola widzenia w tym samym momencie, kiedy zastukano do furki. Adiutant otworzył zasuwę i na Plac weszli posłowie, wszyscy trzej w czerwonych koszulach i w czerwonych czapkach. Przybyli bez żadnej broni, a Sebenicz trzymał w ręku białą chorągiew.

Boka wiedział, jak należy się w takiej sytuacji zachować. Oparł swoją włócznię o parkan na znak, że w czasie pertraktacji nie użyje broni. Kolnay i Czele poszli w jego ślady, a Kolnay w swojej gorliwości posunął się tak daleko, że położył na ziemi również trąbkę.

Starszy Pastor wystąpił krok do przodu, żeby przedstawić misję, z którą przybyli.

- Czy mam zaszczyt rozmawiać z naczelnym wodzem?

- Tak, to jest nasz generał - odpowiedział Czele.

- Przybyliśmy jako posłowie - powiedział Pastor - i ja jestem dowódcą naszej misji. Przyszliśmy tu, żeby w imieniu naszego wodza, Feriego Acza, wypowiedzieć wam wojnę.

Kiedy Pastor wymienił nazwisko wodza czerwonych koszul, posłowie podnieśli ręce do czapek i oddali mu honory. Boka i jego towarzysze przez uprzejmość również zasalutowali. Pastor mówił dalej:

- Nie chcemy zaskoczyć przeciwnika. Przyjdziemy tu jutro dokładnie o pół do trzeciej. To wszystko, co mamy wam do powiedzenia. Prosimy o odpowiedź.

Boka zdawał sobie sprawę, że jest to bardzo ważna chwila. Głos mu drżał trochę.

- Przyjmujemy wypowiedzenie wojny - odpowiedział. - Musimy tylko ustalić reguły. Nie chcę, żeby wywiązała się zwykła bijatyka.

- My też nie chcemy - powiedział ponuro Pastor i swoim zwyczajem opuścił nisko głowę.

- Proponuję przyjąć - kontynuował Boka - trzy rodzaje prowadzenia walki. Na bomby piaskowe, zapasy oraz szermierkę na włócznie. Czy znacie obowiązujące w tych walkach zasady?

- Tak.

- Kto w zapasach dotknie ziemi obiema łopatkami, ten jest pokonany i odpada z walki. Ale może walczyć dalej na dzidy i bomby z piasku. Zgadza się?

- Zgadza się.

- Włóczniami nie wolno ani uderzać, ani kłuć. Dozwolony tylko fechtunek*.

- Tak jest.

- I dwóch nie może napadać na jednego. Ale całe oddziały mogą atakować się wzajemnie. Przyjmujecie?

- Przyjmujemy.

- Nie mam wam nic więcej do powiedzenia.

Boka zasalutował, a delegacja czerwonych koszul oddała mu honory. Pastor jednak znów się odezwał:

- Muszę was jeszcze o coś zapytać. Nasz dowódca polecił nam dowiedzieć się o zdrowie Nemeckiego. Słyszeliśmy, że zachorował. Jeżeli to prawda, to chcielibyśmy go odwiedzić, ponieważ okazał się niezwykle odważny, a my takiego przeciwnika bardzo szanujemy.

- Mieszka na ulicy Rakos - rzekł Boka - pod trójką. Jest bardzo chory.

Delegacja zasalutowała w milczeniu. Sebenicz znów uniósł w górę białą chorągiew, starszy Pastor wydał komendę „Odmaszerować!” i trójka posłów opuściła Plac. Na ulicy usłyszeli sygnał trąbki. To generał wzywał do siebie swoją armię, aby opowiedzieć, co się wydarzyło.

Delegacja czerwonych koszul spiesznym krokiem maszerowała w stronę ulicy Rakos i zatrzymała się dopiero przed domem, w którym mieszkał Nemecek. Żeby się jeszcze upewnić, zapytali stojącą w bramie dziewczynkę:

- Czy tu mieszka niejaki Nemecek?

- Tak - odpowiedziała dziewczynka i zaprowadziła chłopców do ubożego mieszkania na parterze, które zajmowali rodzice Nemecka. Na drzwiach znajdowała się mała, pomalowana na niebiesko blaszana tabliczka z napisem: „Andrasz Nemecek, krawiec”.

Chłopcy weszli, ukłonili się i powiedzieli, co ich tu sprowadza. Matka Nemecka, szczupła, wątła, jasnowłosa kobieta, bardzo podobna do swego syna - albo raczej odwrotnie, do której syn był bardzo podobny - zaprowadziła chłopców do pokoju, w którym leżał szeregowiec. Sebenicz, wchodząc, wysoko podniósł białą chorągiew, a starszy z Pastorów wystąpił krok do przodu.

- Ferenc Acz przesyła pozdrowienia i życzy ci, żebyś jak najszybciej wyzdrowiał.

Mały Nemecek, blady i wymizerowany, leżał na poduszce ze zmierzwionymi

* Pod koniec XIX wieku w szkołach węgierskich na lekcji gimnastyki uczono zasad pojedynkowania się włóczniami, zbliżonych do stosowanej dziś szermierki na bagnety.

włosami. Słyszając te słowa usiadł na łóżku. Uśmiechnął się radośnie i zapytał:

- Kiedy będzie wojna?

- Jutro!

Nemeczek posmutniał.

- To ja nie będę mógł przyjść - powiedział markotnie.

Posłowie nic nie odpowiedzieli. Po kolei podawali rękę Nemeczkowi, a groźny Pastor, wyraźnie wzruszony, rzekł:

- Nie gniewaj się za tamto.

- Nie gniewam się - powiedział cichutko Nemeczek i zaczął kaszleć. Opadł z powrotem na poduszkę, a Sebenicz poprawił mu ją pod głowę. Po czym Pastor zarządził:

- Idziemy!

Chorąży znów uniósł w górę białą chorągiew i wszyscy trzej posłowie wyszli do kuchni. Tam zatrzymała ich z płaczem matka Nemeczka.

- Wy wszyscy... wszyscy jesteście takimi dzielnymi, dobrymi chłopcami... tak kochacie mojego biednego, małego synka... Poczekaście chwilę... dostaniecie po filiżance czekolady...

Członkowie delegacji spojrzeli na siebie. Filiżanka czekolady była wielce smaczną rzeczą, ale mimo to starszy Pastor wystąpił krok naprzód i po raz pierwszy nie opuszczając nisko głowy, jak to miał w zwyczaju, z godnością oświadczył:

- Dziękujemy bardzo, ale nie zasługujemy na czekoladę. Naprzód marsz!

I odmaszerowali.

VIII

W dniu bitwy była piękna, wiosenna pogoda. Rano padał wprawdzie deszcz, więc na pauzie chłopcy z przygnębieniem wyglądali przez okna na dwór. Obawiali się, że deszcz pokona obie walczące strony. Ale w południe przestało padać i przejaśniło się. O godzinie pierwszej słońce świeciło już pełnym blaskiem, zrobiło się ciepło i wyschły chodniki. Kiedy chłopcy wracali ze szkoły, od strony wzgórz Budy wiał lekki, wiosenny wiatr. Lepszą pogodę na bitwę trudno było sobie wymarzyć! Piasek nagromadzony w fortcach stał się wilgotny i świetnie nadawał się do lepienia kartaczy.

O godzinie pierwszej w szkole rozpoczęła się nerwowa krzątanina. Wszyscy pędzili do domu i już za kwadrans druga cała armia zebrała się na Placu. Niektórzy wyciągali z kieszeni zabrane z obiadu chleb i dojadali go. Chłopcy byli dziś znacznie spokojniejsi. Wczoraj nie wiedzieli jeszcze, co ich czeka. Pojawienie się posłów wyjaśniło sytuację, przestali się denerwować i w pełnym pogotowiu czekali na bitwę. Wiedzieli już, kiedy nadsunie wróg i w jaki sposób będą z nim walczyć. Wszyscy płonęli wojennym zapałem i pragnęli jak najszybciej znaleźć się w ogniu walki. W ostatniej chwili w planach wojennych Boki zaszła istotna zmiana. Po przyjsciu na Plac chłopcy ze zdumieniem stwierdzili, że przed fortcami numer cztery i pięć wykopano głęboki rów. Co bardziej strachliwi natychmiast pomyśleli, że to nieprzyjaciel przygotował jakąś zasadzkę, i przybiegli do Boki.

- Widziałeś ten rów?

- Widziałem.

- Kto go wykopał?

- Jano, dziś o świcie, na moją prośbę.

- Po co?

- Bo zmieniłem częściowo nasz plan wojenny.

Boka zajrzał do notatek, przywołał dowódców batalionów A i B i zapytał:

- Widzicie ten rów?

- Widzimy.

- Wiecie, co to jest szaniec?

Tak dokładnie to nie wiedzieli.

- Szaniec jest potrzebny po to - tłumaczył Boka - żeby wojsko mogło ukryć się przed nieprzyjacielem i dopiero we właściwym momencie ruszyć do walki. Plan wojenny zmienia się o tyle, że wasze bataliony nie będą stały przy furtce od ulicy Pawła. Doszedłem do

wniosku, że to nie byłoby dobre. Wy obaj, razem ze swoimi batalionami, ukryjecie się w okopie. Kiedy jedna z armii nieprzyjaciela wejdzie przez furtkę od ulicy Pawła, załogi fortec natychmiast rozpoczną bombardowanie. Nieprzyjaciel ruszy w stronę fortec, nie wiedząc, co się kryje za szańcem. Dopiero gdy czerwoni znajdą się pięć metrów od rowu, wystawicie głowy i nagle obrzucicie ich piaskiem. Potem bombardowanie będzie nadal prowadzone tylko z fortec, a wy rzucicie się na wroga. Ale nie będziecie spychali go w stronę furtki, lecz zaczekacie, aż my skończymy z wrogiem od strony ulicy Marii. Dopiero gdy na dany znak trąbka wezwie was do ataku, wówczas zaczniecie wypędzać ich z Placu. Kiedy już weźmiemy do niewoli i zamkniemy w budzie tych, którzy wejdą od ulicy Marii, wtedy załogi fortec numer jeden i dwa oraz bataliony od ulicy Marii przyjdą wam z odsieczą. A więc waszym zadaniem jest zatrzymanie wroga. Zrozumiano?

- Tak jest!

- A ja dopiero wtedy dam sygnał do ataku, kiedy już pokonamy tamtych. Będziemy wtedy mieli dwukrotną przewagę, bo połowa ich armii zostanie już zamknięta w chacie Słowaka. Według przyjętych reguł walki w czasie natarcia może być przewaga liczebna jednej ze stron. Tylko w indywidualnej walce dwóch nie może atakować jednego.

W czasie tej rozmowy Jano podszedł do szańca, poprawił go kilkoma cięciami szpadla. I jeszcze dosypał taczkę piasku.

Reszta chłopców, stanowiąca załogi fortec, usilnie pracowała na szczytach sągów. Fortece zostały wzmocnione w taki sposób, że zza ostatniego rzędu kłód wystawały tylko głowy chłopców. Głowy nikięły i po chwili znów się ukazywały. Chłopcy schylali się i lepiłi bomby z piasku. Na zrębie każdej fortecy powiewała mała czerwono - zielona chorągiewka i tylko na narożnej fortecy numer trzy nie było proporca. To właśnie z tej fortecy Feri Acz zabrał chorągiew. Chłopcy nie zatknęli na jej miejsce żadnej innej chorągwi, pragnęli odzyskać w boju tamtą utraconą.

Ba, ale jak wiadomo, ta chorągiew, która przeszła już najrozmaitsze koleje losu, znalazła się ostatnio u Gereba. Naprzód zabrał ją Feri Acz i czerwone koszule schowały ją w swoim arsenale w ruinach zamku w Ogrodzie Botanicznym. Stamtąd wykradł ją Nemeček, którego ślady drobnych stóp znaleziono na piasku. Było to owego pamiętnego wieczoru, kiedy malec zeskoczył z drzewa w sam środek czerwonych. Pastorowie wyrwali mu wówczas chorągiew z ręki i znów znalazła się ona w arsenale czerwonych koszul, między tomahawkami i włóczniami nieprzyjaciela. Przyniósł ją stamtąd Gereb, żeby przysłużyć się chłopcom z Placu Broni. Ale Boka już wtedy oznajmił, że nie weźmie ukradzonej chorągwi. Chce ją odzyskać w honorowej walce.

Gdy więc wczoraj posłowie czerwonych koszul opuścili ich państwo, natychmiast wyruszyła do Ogrodu Botanicznego delegacja chłopców z Placu Broni zabierając ze sobą wspomnianą chorągiew.

Kiedy znaleźli się w Ogrodzie Botanicznym, odbywała się tam właśnie wielka narada wojenna. W skład delegacji, którą prowadził Czele, wchodziło jeszcze dwóch parlamentarzystów - Weiss i Czonakosz. Czele niósł białą flagę, natomiast Weiss miał przy sobie czerwono - zieloną chorągiew owiniętą w gazetę.

Na drewnianym mostku wiodącym na wyspę zastąpili im drogę wartownicy.

- Stój, kto idzie?

Czele wyciągnął zza pazuchy białą flagę i podniósł ją wysoko nad głową. Ale nie odezwał się ani słowem. Wartownicy nie wiedzieli, jak w takim wypadku należy postąpić, więc krzyknęli w stronę wyspy:

- Hej hop! Przyszli jacyś obcy!

Na ten sygnał pojawił się Feri Acz. On wiedział, co oznacza, biała flaga. Wpuścił posłów na wyspę.

- Czy przyszliście jako parlamentarzyści?

- Tak.

- Czego chcecie?

Czele wystąpił krok w przód.

- Przynieśliśmy chorągiew, którą nam zabraliście. Wróciła do nas, ale my jej nie chcemy odzyskiwać w taki sposób. Weźcie ją jutro ze sobą i jeśli potrafimy wam ją odebrać w czasie bitwy, to znów będzie nasza. A jeśli nie - zostanie przy was. I to wam chciał powiedzieć nasz generał.

Dał znak Weissowi, który z wielką czcią wyjął chorągiew i przed oddaniem ucałował.

- Zbrojmistrz Sebenicz! - krzyknął Feri Acz.

- Nieobecny! - rozległo się z zarośli.

- Przed chwilą był u nas w poselstwie - wtrącił Czele.

- Zgadza się - powiedział Feri Acz - zapomniałem o tym. Niech więc przyjdzie jego zastępca.

Rozsunęły się gałęzie jednego z krzaków i przed wodzem stanął zwinny Wendauer.

- Odbierz od posłów chorągiew i zanieś ją do arsenału.

Potem Feri Acz zwrócił się do posłów:

- Waszą chorągiew poniesie w bitwie Sebenicz. Oto moja odpowiedź.

Czele chciał już ponownie unieść białą flagę na znak odmaszerowania, ale dowódca

czerwonych koszul znów się odezwał:

- Zdaje się, że to Gereb odniósł wam chorągiew?

Zapanowała cisza. Nikt nie odpowiadał.

Acz ponowił pytanie:

- Czy to Gereb?

Czele stanął na baczność.

- Nie zostałem upoważniony do prowadzenia żadnych rozmów - powiedział zdecydowanym tonem, po czym wydał swojej delegacji rozkaz:

- Baczność! W tył zwrot! Naprzód marsz!

I parlamentariusze odeszli z godnością. O Czelem mówiono, że jest fircykiem, elegancikiem, ale trzeba przyznać, że potrafił zachować się po żołniersku. Nie chciał wydać nieprzyjacielowi nikogo, nawet zdrajcy.

Feri Acz patrzył za nimi, nieco zbity z tropu.

Obok stał Wendauer z chorągwią w ręku i przyglądał się zajściu. Po chwili wódz krzyknął do niego ze złością:

- Co się gapisz? Zanieś chorągiew do arsenału!

Wendauer odszedł, ale w duchu pomyślał, że mimo wszystko ci chłopcy z Placu Broni są naprawdę świetni, bo oto już drugi z nich dał nauczkę groźnemu Feriemu Aczowi.

W taki oto sposób chorągiew trafiła znowu do czerwonych koszul i dlatego właśnie na fortecy numer trzy nie było chorągwi.

Wartownicy siedzieli już na płocie. Jeden z nich siedział okrakiem na parkanie przy ulicy Marii, drugi na parkanie przy ulicy Pawła. Z oddziału, który krzątał się między fortcami, wyszedł w pewnym momencie Gereb, stanął przed Boką i stuknął obcasami.

- Panie generale, melduję posłusznie, mam prośbę.

- Słucham.

- Pan generał rozkazał mi dzisiaj, żebym jako bombardier udał się do fortecy numer trzy, ponieważ jako narożna jest ona najbardziej niebezpieczna. A poza tym nie ma na niej chorągwi.

- Zgadza się. A o co chodzi?

- Chcę prosić o to, abym mógł się udać na jeszcze bardziej niebezpieczny posterunek. Już nawet zamieniłem się z Barabaszem, który został skierowany na szaniec. On bardzo dobrze rzuca, więc będzie znacznie pożyteczniejszy w twierdzy. A ja chcę walczyć wręcz, w pierwszym szeregu, na szanecu, żeby mnie widzieli. Proszę o zezwolenie.

Boka przyjrzał mu się uważnie.

- Jednak porządny z ciebie chłopak, Gereb.

- Czy otrzymam zgodę?

- Tak, zgoda.

Gereb zasalutował, ale stał nadal przed generałem.

- Czego jeszcze chcesz? - zapytał go Boka.

- Chciałbym jeszcze powiedzieć - odparł nieco zmieszany artylerzysta - że bardzo się ucieszyłem, kiedy powiedziałeś „porządny z ciebie chłopak, Gereb”, ale bardzo mnie zabolalo, że na początku dodałeś „jednak”.

Boka uśmiechnął się.

- Nic na to nie poradzę. Sam sobie jesteś winny. A teraz nie roztkliwiaj się! W tył zwrot, odmaszerować! Na miejsce!

I Gereb odmaszerował. Z radością schował się w rowie i natychmiast przystąpił do lepienia bomb z piasku. Nagle zza szańca wychyliła się umorusana piaskiem postać. Był to Barabasz. Krzyknął w stronę Boki:

- Pozwoliłeś mu?

- Pozwoliłem! - odpowiedział generał.

A więc nie dowierzano jeszcze Gerebowi. Tak zwykle jednak bywa z tymi, którzy nadużyli zaufania. Kontroluje się ich potem nawet wtedy, gdy mówią prawdę. Słowo generała rozproszyło wątpliwości w tej sprawie. Barabasz wdrapał się na narożną fortecę i zameldował u dowódcy. Za chwilę obie potargane głowy skryły się za blankiem baszty. Chłopcy zaczęli układać kule z piasku w piramidę.

W taki sposób minęło kilka minut, które wydały się chłopcom godzinami. Niecierpliwiili się już tak bardzo, że co chwila słychać było okrzyki:

- A może się rozmyślili?

- Nastraszyli się!

- Albo przygotowali jakiś nowy podstęp!

- Wcale nie przyjdą!

Kilka minut po drugiej adiutant przegalopował przez wszystkie bojowe stanowiska z rozkazem, żeby skończyć wszelkie nawoływania i przyjąć postawę baczność, bo za chwilę generał dokona ostatniego przed bitwą przeglądu. Kiedy adiutant z tą wieścią znajdował się na ostatniej już pozycji bojowej, na pierwszym posterunku ukazał się Boka. Był pełen powagi, milczący. Najpierw zlustrował oddziały zgrupowane przy ulicy Marii. Wszystko było tam w największym porządku. Oba bataliony stały na baczność z lewej i prawej strony wielkiej bramy. Dowódcy wystąpili do przodu.

- Wszystko w porządku - powiedział Boka. - Czy znacie swoje zadania?

- Znamy. Mamy upozorować ucieczkę.

- A potem... uderzyć od tyłu.

- Tak jest, panie generale!

Potem generał sprawdził budkę Słowaka. Otworzył drzwi i włożył do zamka od zewnątrz wielki, zardzewiały klucz. Obrócił raz i drugi, żeby sprawdzić, czy zamek dobrze działa. Następnie dokonał przeglądu trzech pierwszych fortec. W każdym forcie zajmowało stanowiska po dwóch chłopców. Kule z piasku ułożone były w piramidy. W twierdzy numer trzy zgromadzono trzy razy tyle amunicji, co w innych fortcach. Tu znajdował się główny punkt ognia. Kiedy generał pojawił się w tej fortecy, aż trzech chłopców stanęło przed nim na baczność. W fortcach numer cztery, pięć i sześć zgromadzono również rezerwową amunicję.

- Tych bomb nie ruszajcie - powiedział Boka - przydadzą się wtedy, kiedy na mój rozkaz przeniosą się tu bombardierzy z pozostałych fortec.

- Tak jest, panie generale!

Załoga fortecy numer pięć była do tego stopnia zdenerwowana, że kiedy pojawił się generał, jeden z nadgorliwych bombardierów wrzasnął:

- Stój! Kto idzie?

Drugi trącił go w bok, a Boka krzyknął:

- Nie poznajesz swego generała, ty ośle?

I dodał po chwili:

- Takiego to najlepiej od razu rozstrzelać!

Zdenerwowany bombardier przeraził się nie na żarty. W pierwszej chwili nie pomyślał nawet, że jest mało prawdopodobne, żeby go rozstrzelano. Boka po prostu nie zastanowił się nad swymi słowami, zresztą co tu dużo mówić, udzieliło mu się podniecenie przed bitwą, normalnie nie palnąłby takiego głupstwa.

Szedł dalej, aż do szańca. W głębokim rowie przykucnęły oba bataliony. Był tam również Gereb. Miał zadowoloną minę. Boka stanął na nasypie.

- Żołnierze! - zawołał donośnym, pełnym zapału głosem - od was zależą losy bitwy! Jeśli się wam uda powstrzymać nieprzyjaciela do chwili, aż oddziały przy ulicy Marii wykonają swoje zadanie, wygramy bitwę! Dobrze to sobie zapamiętajcie!

Odpowiedział mu z rowu gromki okrzyk. Bardzo zabawnie wyglądali ci rozentuzjzmowani, podrzucający czapki chłopcy, którzy przy tym cały czas klęczeli w rowie, żeby nie zdradzić przypadkiem miejsca swego ukrycia.

- Cisza! - zawołał generał i udał się na środek Placu. Czekał już tam na niego adiutant

z trąbką.

- Adiutant!

- Rozkaz!

- Musimy znaleźć dla siebie takie miejsce, z którego będziemy widzieć całe pole bitwy. Wodzowie z reguły obserwują bitwę ze szczytu jakiegoś wzgórza. My wdrapiemy się na dach budy.

W chwilę później znajdowali się już na dachu budy. Trąbka Kolnaya lśniła w słońcu, co nadawało adiutantowi niezwykle bojowy wygląd. Bombardierzy w fortcach zaczęli trącać jeden drugiego.

- Patrz... Patrz...

W tym momencie Boka wyciągnął z kieszeni teatralną lornetkę, którą już raz miał ze sobą w czasie wyprawy do Ogrodu Botanicznego. Przewiesił ją przez ramię i w oczach chłopców teraz już tylko w drobnej mierze różnił się od wielkiego Napoleona. Był po prostu wodzem. Czekali.

Historyk winien zawsze dokładnie odnotować czas wydarzeń. Zapiszmy więc, że dokładnie w sześć minut później, od strony ulicy Pawła, dobiegł dźwięk trąbki. Była to obca trąbka i obcy sygnał. W batalionach zapanowało podniecenie.

- Idą - podawano sobie z ust do ust.

Boka zbladł nieco.

- Teraz! - zwrócił się do Kolnaya. - Teraz rozstrzygną się losy naszego państwa.

W kilka sekund później obaj wartownicy zeskoczyli z płotu i biegiem podążyli w kierunku budy, na której dachu stał generał. Unieśli ręce do czapek i zameldowali:

- Nieprzyjaciel idzie!

- Na miejsca! - padła komenda Boki i obaj wartownicy popędzili na swoje posterunki. Jeden do szanca, drugi do oddziałów przy ulicy Marii. Boka podniósł do oczu lornetkę i cicho zwrócił się do Kolnaya:

- Trzymaj trąbkę w pogotowiu.

Kolnay wykonał rozkaz. Po chwili Boka oderwał od oczu lornetkę, twarz mu poczerwieniała i pełnym podniecenia głosem wydał rozkaz:

- Trąb!

Rozległ się donośny dźwięk trąbki. Oddziały czerwonych koszul zatrzymały się przed obiema bramami Placu Broni. Srebrzyste ostrza ich włócznie skrzyły się w słońcu, a oni sami w czerwonych czapkach i koszulach wyglądali niczym czerwone diabły. Ich trąbki również grały do ataku i powietrze aż drgało od bojowych dźwięków. Kolnay dał w trąbkę, nie

przerywając nawet na chwilę.

- Tra ta ta... Tra ta ta... - słychać było z dachu.

Boka, trzymając lornetkę przy oczach, szukał wśród oddziałów nieprzyjaciół Feriego Acza. Dojrzał go i krzyknął:

- Jest tam... Feri Acz jest z tymi od ulicy Pawła... obok niego Sebenicz... niesie naszą chorągiew... Ciężko będzie naszym batalionom przy ulicy Pawła.

Nadciągającą od ulicy Marii armię prowadził starszy Pastor. Powiewała nad nimi czerwona chorągiew. I bez przerwy dźwięczały trzy trąbki. Chłopcy w czerwonych koszulach zatrzymali się przy bramach w bojowym szyku.

- Coś knują - powiedział Boka.

- Nic nie szkodzi - krzyknął adiutant, przerywając na chwilę trąbienie. Ale natychmiast znów zaczął trąbić co sił w płucach.

- Tra ta ta... Tra ta ta...

Potem nagle zamilkły trąbki czerwonych koszul i armia stojąca na ulicy Marii wybuchnęła groźnym okrzykiem bojowym:

- Hej hop! Hej hop! Hurra!

I ruszyli przez bramę do ataku. Nasi na chwilę stanęli naprzeciw, jakby chcieli przyjąć walkę, ale po kilku sekundach rzucili się do ucieczki, tak jak to zakładał plan wojenny.

- Bravo! - krzyknął Boka, po czym gwałtownie odwrócił się w stronę ulicy Pawła. Druga armia pod wodzą Feriego Acza nie przekroczyła furtki, tylko stała nieruchomo na ulicy.

Boka przestraszył się.

- Co to?

- Jakiś podstęp - powiedział dygocąc z przejścia Kolnay. Znów spojrzeli na lewo. Nasi uciekali, czerwoni z wrzaskiem pędzili za nimi.

Nagle Boka, który do tej pory z powagą i niejakim lękiem przyglądał się nieruchomo stojącej armii Feriego Acza, zachował się jak nigdy dotąd. Podrzucił w górę czapkę, wrzasnął co sił w płucach i zaczął skakać na dachu budy niczym wariat, i to z taką werwą, że spróchniałe deskiomal się pod nim nie zarwały.

- Jesteśmy uratowani! - krzyknął.

Rzucił się Kolnayowi na szyję, zaczął go ścisnąć i całować, kręcić się z nim w kółko. Adiutant nic z tego nie mógł zrozumieć. Ze zdumieniem zapytał:

- Co się stało? Co się stało?

Boka wskazał ręką w tę stronę, gdzie stała armia pod wodzą Acza.

- Widzisz ich?
- Widzę.
- No i co, nie rozumiesz?
- Nie rozumiem!
- Och, ty głuptasie... jesteśmy uratowani! Zwyciężyliśmy! Nie rozumiesz tego?
- Nie!
- Widzisz, że nie ruszają się z miejsca?
- Jasne, że widzę!
- Nie wchodzą do środka... czekają.
- Widzę.

- A więc dlaczego czekają? Na co czekają? Na to, żeby armia Pastora rozbiła naszych od ulicy Marii! I dopiero wówczas oni rozpoczną natarcie. Zauważyłem to natychmiast, kiedy stało się jasne, że oni nie zaatakują jednocześnie! Na nasze szczęście wymyślili taki sam plan wojenny jak i my. Liczą na to, że Pastor wypędzi połowę naszej armii na ulicę Marii i dopiero wtedy wspólnymi siłami napadną na drugą część naszego wojska: Pastor od tyłu, Acz z frontu. Ale nic z tego! Chodź! Schodzimy!

I zaraz zaczął się zsuwać z dachu.

- Dokąd idziesz?

- Idziemy razem! Nic tu po nas, nie ma na co patrzeć, bo oni nie ruszą się z miejsca. Chodźmy na pomoc chłopcom.

Bataliony ustawione przy ulicy Marii doskonale realizowały swój plan. Chłopcy biegali wokół drzew i tartaku, wznosząc okrzyki przerażenia i sprytnie udając panikę.

- Ojej! Ojej!

- Już po nas! Koniec z nami!

- Przegraliśmy!

Czerwoni uganiaли się za nimi z wrzaskiem. Boka z niecierpliwością czekał, czy uda się ich ściągnąć w pułapkę. Nagle jego chłopcy zniknęli za tartakiem. Połowa schroniła się do wozowni, druga połowa do budki Słowaka.

Wtedy Pastor wydał rozkaz:

- Za nimi! Łapać ich!

I czerwoni puścili się pędem za tartak.

- Trąb! - krzyknął w tym momencie Boka.

Mała trąbka dała sygnał fortecom, żeby rozpoczęły bombardowanie. W tym momencie od strony trzech pierwszych fortec rozległ się dziecinny, triumfalny okrzyk. Słychać też było

tępe pacnięcia. Zaczęło się bombardowanie piaskowymi kulami. Boka aż poczerwieniał i przeszył go dreszcz emocji.

- Adiutant! - krzyknął.

- Jestem!

- Pędź na szaniec i powiedz żołnierzom, żeby czekali. Niech cierpliwie czekają. Mają zacząć dopiero wtedy, gdy dam znak do ataku. I fortece od strony ulicy Pawła niech też czekają!

Adiutant już pędził z rozkazem. Przy budce rzucił się na ziemię i zaczął czołgać aż do szańca, żeby nie zobaczyły go przypadkiem stojące w otwartej furtce nieprzyjacielskie wojska. Szeptem przekazał rozkaz pierwszemu z brzegu chłopcu, po czym tą samą drogą, czołgając się kawałek, powrócił do swego dowódcy.

- Rozkaz wykonany - zameldował.

Za tartakiem od okrzyków aż drżało powietrze. Czerwone koszule były pewne, że lada chwila zwyciężą. Z trzech fortec jednak dziarsko prowadzono bombardowanie i to przeszkodziło czerwonym we wdarciu się między sągi. Na szczycie trzeciej, skrajnej fortecy, Barabasz w samej tylko koszuli walczył niczym lew. Cały czas celował w starszego Pastora. I raz za razem piaskowe bomby rozpryskiwały się na jego ciemnej głowie.

Barabasz za każdym razem wykrzykiwał:

- A masz, bratku!

Piasek zasypywał Pastorowi oczy i usta. Pastor otrząsał się i wściekle prychnął.

- Czekajcie, ja wam pokażę! - ryczał ze złością.

- Chodź, chodź, czekamy! - krzyczał Barabasz, celował i rzucał. Za każdym razem trafiał i chłopiec w czerwonej koszuli znów miał usta i oczy pełne piasku. Załogi fortec entuzjastycznie krzyczały.

- A najedz się tego piasku! - wołał rozgniony Barabasz i już dwiema rękami rzucał kartacze, wszystkie w stronę Pastora. Nie próżnowali również pozostali bombardierzy. Narożna forteca pracowała z takim zapalem, że aż przyjemnie było patrzeć. Natomiast ukryta w wozowni i budce piechota ciągle czekała na sygnał do ataku. Wojsko w czerwonych koszulach podeszło już pod fortece i znalazło się w samym ogniu walki. Pastor wydał kolejny rozkaz:

- W górę! Na sągi!

- Puff! - krzyknął Barabasz i trafił kartaczem w sam nos dowódcy.

- Puff! - okrzyk Barabasza podjęły załogi pozostałych fortec i na głowy wspinających się wrogów runęła istna lawina piasku.

Boka chwycił swego adiutanta za ramię.

- Słuchaj, piasek im się kończy - powiedział. - Nawet Barabasz rzuca już tylko jedną ręką, chociaż w narożnej fortecy było trzy razy tyle piasku...

Rzeczywiście bombardowanie zaczynało słabnąć.

- Co się teraz stanie? - zapytał Kolnay.

Ale Boka był już całkiem spokojny.

- Zwyciężymy! - powiedział.

W tym samym momencie forteca numer dwa przerwała ogień. Zapewne zabrakło jej piasku.

- No, teraz! - krzyknął Boka. - Pędź do wozowni. Niech nacierają.

A sam pobiegł do budki. Jednym szarpnięciem otworzył drzwi i krzyknął:

- Do ataku!

I w tym momencie oba bataliony rozpoczęły atak, jeden z wozowni, drugi z budki. Odsiecz przybywała w samą porę. Pastor jedną nogą był już w fortecy. Ktoś uczepił się jego drugiej nogi i ściągnął na dół. Czerwone koszule ogarnął popłoch. Byli przekonani, że uciekające przed nimi oddziały schroniły się za sągami i że fortece miały powstrzymać ich przed wdarciem się w głąb umocnień. I oto nagle zaatakowali ich od tyłu ci sami chłopcy, którzy niedawno przed nimi uciekali...

Poważni korespondenci wojenni, którzy brali udział w prawdziwych bitwach, powiadają, że największym niebezpieczeństwem w czasie bitwy jest zamieszanie. Wodzowie bardziej boją się choćby małego zamieszania, które w ciągu kilku sekund może przerodzić się w panikę, niż setek armat. A skoro zamęt może osłabić prawdziwą, uzbrojoną w karabiny i armaty armię, to jakże mogła uniknąć tego garstka ubranych w czerwone koszule piechurów?

Nie zrozumieli, co się stało. W pierwszej chwili nie zorientowali się nawet, czy zaatakowali ich ci sami chłopcy, którzy przed nimi uciekali, czy też jacyś inni. Dopiero po chwili, kiedy rozpoznali niektórych chłopców, pojęli, że walczą z tym samym przeciwnikiem.

- Skąd, u licha, oni się tu wzięli? Spod ziemi? - krzyknął Pastor, kiedy dwie silne dłonie chwyciły go za nogę i ściągnęły z fortecy.

Boka też walczył. Wypatrzył sobie przeciwnika w czerwonej koszuli i zaczął się z nim mocować. W czasie walki powoli i sprytnie spychał go w stronę budy. Przeciwnik, który zorientował się, że nie da rady Boce, podciął mu w pewnej chwili podstępnie nogę. Chłopcy, obserwujący bacznie ten pojedynek ze szczytu fortec, głośno zaprotestowali:

- To świństwo!

- Podstawił mu nogę!

Boka upadł na ziemię, ale błyskawicznie się poderwał. Krzyknął do nieprzyjaciela:

- Podstawiłeś mi nogę! To wbrew regułom!

Przywołał Kolnaya i w mgnieniu oka wepchnęli wierzgającego przeciwnika do budy.

Boka zamknął drzwi na klucz i ciężko dysząc powiedział:

- To głupiec. Gdyby normalnie walczył, nie dałbym mu rady, traciłem już siły. A tak mieliśmy prawo zaatakować go we dwóch...

I znów rzucił się do boju. Chłopcy walczyli teraz pojedynczo, każdy znalazł sobie przeciwnika i usiłował go powalić. Bombardierzy sypali z fortec resztki piasku na nieprzyjaciela. Fortece od strony Pawła ciągle milczały. Czekały na atak wroga.

Kolnay chciał właśnie włączyć się do zapasów, ale Boka przywołał go do porządku:

- Nie mieszaj się! Biegnij z rozkazem! Każ załogom pierwszej i drugiej fortecy wzmocnić czwartą i piątą!

Kolnay przebił się przez pierwszą linię walki i pobiegł z rozkazem. Po chwili z dwóch pierwszych fortec zniknęły chorągiewki, gdyż chłopcy zabrali je ze sobą na nową linię frontu.

Na polu walki raz po raz rozlegały się gromkie okrzyki triumfu. Największy ryk zaś wybuchł wtedy, gdy Czonakosz złapał w pół straszego i niepokonanego dotąd Pastora i zaniósł go w ten sposób do budki. Jedna chwila i Pastor z bezsilną złością walił w drzwi, tyle tylko, że od wewnątrz...

Podniósł się okropny hałas. Oddział czerwonych koszul poczuł, że przegrywa. Ostatecznie stracili głowę wówczas, kiedy z ich szeregów nagle zniknął dowódca. Teraz wierzyli już tylko w to, że armia Feriego Acza nadrobi poniesione straty. A tymczasem obrońcy zamykali do budki jednego po drugim chłopców w czerwonych koszulach. Towarzyszyły temu kolejne okrzyki triumfu, które dobiegały do stojących nieruchomo przed furtką przy ulicy Pawła szeregów.

Feri Acz z dumnym uśmiechem przechadzał się przed frontem swej armii.

- Słyszycie? - powiedział. - Zaraz otrzymamy sygnał do walki.

Czerwone koszule umówiły się, że kiedy armia Pastora odniesie zwycięstwo przy ulicy Marii, wówczas rozlegnie się sygnał trąbki i wtedy, wraz z armią Acza, jednocześnie przystąpią do ataku na ostatni bastion obronny chłopców z Placu Broni. Ale sygnału nie było, gdyż mały Wendauer, który był trębaczem Pastora, siedział zamknięty w budzie i bił pięściami o ścianę. A jego trąbka, zatkana piaskiem, spoczywała sobie spokojnie w trzeciej fortecy wśród wojennych zdobyczy...

W tym samym momencie, kiedy armia Pastora przegrywała bój pod tartakiem i budką Słowaka, Feri Acz spokojnie zapewniał swoich ludzi:

- Cierpliwości! Zaraz usłyszymy sygnał do ataku!

Czekali i czekali, ale sygnału nie było. A wrzaski i krzyki zaczynały cichnąć i jakby dobiegały z zamkniętego pomieszczenia... Kiedy oba bataliony w czerwono - zielonych czapkach wpełznąły do budki już ostatniego z czerwonych, wówczas rozległ się najdonioślejszy okrzyk, jaki kiedykolwiek zabrzmiał na Placu. Wtedy też stojący dotąd karnie w szeregu żołnierze Feriego Acza zaczęli się niepokoić. Młodszy Pastor wystąpił krok naprzód.

- Zdaje mi się - powiedział - że tam stało się coś złego.

- A niby dlaczego?

- Bo to nie są głosy naszych chłopaków, tylko całkiem obce.

Rzeczywiście, Feri Acz też słyszał same obce głosy. Starannie ukrywał jednak swój niepokój.

- Nic złego im się nie mogło stać - powiedział - oni walczą w milczeniu. To krzyczą tamci, bo są w tarapatach.

W tej samej chwili, jakby na przekór temu, co mówił Feri Acz, od strony ulicy Marii dobiegły głośne krzyki: „Niech żyje!”

- O rany - powiedział Feri Acz. - Oni wiwatują!

Młodszy Pastor bardzo się zdenerwował:

- Jak ktoś jest w tarapatach, to nie wiwatuje! Chyba nie należało tak ślepo wierzyć w to, że armia mojego brata zwycięży...

Feri Acz był mądrym chłopcem i zrozumiał natychmiast, że się przeliczył. Ba, przeczuwał, że bitwa została już właściwie przegrana, gdyż teraz on sam tylko ze swoją armią będzie musiał podjąć walkę z wszystkimi oddziałami chłopców z Placu Broni. Jego ostatnią nadzieją był sygnał trąbki, ale trąbka milczała...

Zabrzmiał za to zupełnie inny sygnał, obcej trąbki. I nic dziwnego, bo przeznaczony był dla oddziałów Boki. A oznaczał, że armia Pastora do ostatniego żołnierza została wzięta do niewoli, zamknięta w budce. Teraz miał nastąpić atak od strony Placu. Na ten sygnał bataliony walczące dotąd przy ulicy Marii podzieliły się na dwa oddziały, które pojawiły się na skrzydłach linii fortec od ulicy Pawła. Chłopcy mieli nieco poszarpane ubrania, ale błyszczały im oczy i byli w triumfalnym nastroju, jaki daje zwycięstwo.

Feri Acz wiedział już z całą pewnością, że armia Pastora została rozbita. Przez kilka sekund patrzył wilkiem na dwa przybyłe oddziały, po czym gwałtownie zwrócił się do młodszego Pastora pytając z rozdrażnieniem:

- Ale jeżeli nawet ich pokonano, to gdzie oni się podzieli? Jeśli zostali wyparci na

ulicę, to dlaczego nie przychodzą do nas?

Wyjrzeni na ulicę Pawła, a Sebenicz pobiegł aż do ulicy Marii. Zobaczył tam jednak tylko furę z cegłami oraz kilku przechodniów.

- Nie ma ich! - zameldował zrozpaczony Sebenicz.

- No to co się z nimi stało?

Dopiero w tym momencie Feri Acz przypomniał sobie o budce.

- Zamknęli ich! - krzyknął, nie mogąc opanować gniewu. - Pokonali ich i zamknęli w budzie.

Tym razem jego przypuszczenie zostało w pełni potwierdzone przez dobiegający z budki Słowaka głuchy łomot. Zamknięci tam chłopcy tłukli pięściami o deski. Budka zdecydowanie opowiedziała się po stronie chłopców z Placu Broni. Drzwi i ściany wytrzymały napór chcących uwolnić się chłopców. Ich pięści odbijały się od twardych desek. Więźniowie podnieśli w środku potworny harmider, żeby zwrócić na siebie uwagę armii Feriego Acza. Biedny Wendauer, któremu zabrano trąbkę, złożył dłonie w tubkę i w ten sposób usiłował trąbić co sił w płucach.

Feri Acz zwrócił się do swego wojska.

- Żołnierze! - krzyknął. - Pastor przegrał bitwę. Teraz na nas kolej, musimy uratować honor czerwonych koszul! Naprzód!

I tak jak stali, rozciągniętym szeregiem, wpadli na Plac i biegiem ruszyli do ataku. W tym momencie Boka z Kolnayem znów znajdowali się na dachu budki. Z dołu dobiegało łomotanie, wrzaski, krzyki, istny piekielny koncert. Boka przekrzyczał jednak ten hałas:

- Dmij w trąbkę! Do ataku! Fortece, ognia!

Pędzący w stronę szańca czerwoni nagle zaczęli się cofać. Aż z czterech fortiec posypały się w ich kierunku piaskowe bomby. Na chwilę wszystko przykryły tumany piasku, napastnicy przestali cokolwiek widzieć.

- Rezerwa naprzód! - krzyknął Boka.

Stanowiące rezerwę dwa bataliony, które miały już za sobą bój przy ulicy Marii, wpadły w tę piaskową burzę, prosto na wroga. Natomiast w rowie za szańcem ciągle jeszcze siedziała w ukryciu piechota, czekając na swoją kolej. Z fortiec gęsto sypały się bomby piaskowe, raz za razem trafiając wroga. Niejedna pękała też na plecach własnych żołnierzy, lecz oni nie zrażeni tym wcale krzyczeli:

- Naprzód! Hurra!

Nad wszystkimi unosił się olbrzymi tuman piachu. W poszczególnych fortcach zaczęło brakować bomb i chłopcy garściami rzucali suchy piasek. Wreszcie na samym środku

placu, jakieś dwadzieścia metrów od szańca, obie armie zwarły się ze sobą i tylko czasem, tu i ówdzie wylaniała się z obłoków kurzu jakaś czerwona koszula lub czerwono - zielona czapka.

Ale oddziały, które pokonały przed chwilą Pastora, były zmęczone poprzednim bojem, podczas gdy armia Feriego Acza dopiero co przystąpiła do walki, była w pełni sił. Nic dziwnego więc, że bataliony chłopców z Placu Broni nie mogły powstrzymać natarcia czerwonych i linia frontu zbliżała się do szańca. Im jednak bardziej przesuwała się ku fortecom, tym pewniej i celniej bomby raziły wroga. Barabasz wybrał sobie za cel Feriego Acza i zasypywał go bombami.

- Nie bój się! - krzyczał. - To tylko piasek! Najedz się do syta!

Stojący na szczycie twierdzy Barabasz wyglądał niczym mały, piekielnie zwinny diablik, kiedy chichocząc i pokrzykując, jak szalony miotał rękoma bomby i co chwila schylał się po nowe. Odwody Feriego Acza na darmo przyniosły ze sobą woreczki z piaskiem. Okazały się bezużyteczne, gdyż wszyscy chłopcy byli potrzebni w pierwszej linii. Nic dziwnego więc, że odrzucili worki na bok.

W tym ogólnym tumultcie cały czas zagrzewały walczących do boju dźwięki dwóch trąbek: Kolnaya z dachu budy oraz młodszego Pastora z samego środka pola walki. Przeciwnicy byli już zaledwie dziesięć kroków od szańca.

- No, Kolnay - krzyknął Boka - nadeszła pora, żebyś pokazał, co potrafisz! Nie przejmuj się bombami, pędź do szańca i daj im sygnał! Niech rozpoczną ogień, a gdy im zabraknie piasku, niech ruszają do ataku!

- Hola ho! - krzyknął Kolnay i zeskoczył z dachu chaty. Teraz już nie czołgał się, tylko z podniesioną głową pędził prosto w stronę szańca. Boka krzyknął za nim, ale jego głos utonął w piekielnym, rozlegającym się pod jego stopami dudnieniu oraz wrzawie bitwy. Patrzył więc tylko za swym adiutantem z nadzieją, że ten zdąży przekazać rozkaz do szańca, zanim czerwoni dostrzegą ukryte w rowie oddziały.

Nagle z tłumu walczących odłączyła się sylwetka muskularnego chłopca i zagroziła drogę Kolnayowi. Chłopiec chwycił Kolnaya za ramię i zaczął się z nim mocować. Przepadło! Kolnay nie mógł wykonać rozkazu.

- Sam idę! - krzyknął z rozpaczą Boka, zeskoczył z dachu i puścił się pędem w stronę szańca.

- Stój! - ryknął w jego stronę Feri Acz.

Wypadało przyjąć walkę z wodzem nieprzyjaciela, ale tym samym Boka postawiłby wszystko na jedną kartę. Gnał więc dalej w stronę szańca.

A Feri Acz za nim.

- Jesteś tchórzem! - krzyknął. - Uciekasz przede mną! Ale ja cię dogonię!

I dogonił go akurat w tym momencie, gdy Boka wskoczył do rowu. Boka zdążył tylko krzyknąć:

- Ognia!

I w tym samym momencie na pierś gnającego Acza spadło dziesięć bomb. Piasek obsypał jego czerwoną koszulę, czapkę, twarz.

- Jesteście diabłami! - wrzasnął. - Strzelacie już nawet spod ziemi?

Wtedy już na całej linii frontu trwał artyleryjski ostrzał. Bomby syptały się zarówno z góry, z fortec, jak i z dołu, z okopu. Rozpętał się istny piaskowy tajfun, a do wrzawy włączyły się teraz nowe głosy. Odezwali się bowiem chłopcy, którzy do tej pory w milczeniu siedzieli za szańcem. Boka wyczuł, że oto zbliża się chwila decydującego ataku; trzeba rzucić do walki wszystkie siły. Sam stanął na skraju szeregu, o jakieś dwa kroki od mocującego się właśnie z wrogiem Kolnaya. Wskoczył na nasyp, złapał czerwono - zieloną chorągiew, uniósł ją wysoko w górę i krzyknął:

- Wszyscy do ataku! Hurra!!!

I w tej chwili jak spod ziemi wyrósł nowy oddział. Chłopcy atakowali szturmowym krokiem, bacznie zwracając uwagę, aby nie wdawać się w indywidualne pojedynki. Szli zwartym szeregiem, prosto na chłopców w czerwonych koszulach, starając się jak najdalej odrzucić ich od szańca.

Barabasz krzyknął z fortecy:

- Zabrakło piasku!

- Wszyscy z fortec! Za mną! - rzucił w pędzie Boka. Na ten rozkaz na blankach fortec pojawiły się ręce i nogi: to artylerzyści zeskakiwali na ziemię. Utworzył się drugi zwarty szereg, który równym krokiem podążał za pierwszą falą natarcia.

Rozgorzała rozpaczliwa walka. Czerwone koszule, czując swoją zgubę, przestawały szanować reguły walki. Reguły dobre były dopóty, dopóki wierzyli, że i ucziwie walcząc potrafią pokonać przeciwnika. Ale teraz odrzucili wszelkie skrupuły.

Sytuacja stała się niebezpieczna. Czerwone koszule, mimo że było ich dwa razy mniej niż chłopców z Placu Broni, lepiej wytrzymywali trudy walki.

- Do budki! - zawył Feri Acz. - Musimy ich uwolnić.

I całe to kłębowisko chłopców zaczęło powoli przesuwać się w kierunku chaty Słowaka. Chłopcy z Placu Broni nie liczyli się z takim obrotem bitwy. Przeciwnicy w czerwonych koszulach zaczęli im się wymykać z rąk. Tak samo bywa, kiedy wbija się młotkiem gwóźdź, a ten nagle się skrzywi pod uderzeniem. Podobnie tu, na polu walki, linia

walczących z nimi przeciwników wygięła się i przesunęła na lewo. Na samym czele z dzikim wrzaskiem pędził Feri Acz, a w jego głosie brzmiała nadzieja na zwycięstwo:

- Za mną! Za mną!

W tym samym momencie jednak zatrzymał się tak nagle, jakby mu pod nogi rzucono kłodę. Zza budki wyskoczyła ku niemu drobna dziecięca postać. Wódz czerwonych koszul stanął jak wryty, a za nim zatrzymała się, wpadając na siebie i popychając się wzajem, cała jego walcząca armia.

Przed Ferim Aczem stał mały, niższy od niego o głowę chłopiec. Ten wąty, jasnowłosy dzieciak podniósł do góry ręce i dziecięcym głosem zawołał:

- Stój!

Armia chłopców z Placu Broni, również zaskoczona tym nieoczekiwanym zwrotem, ochłoneła błyskawicznie i jednym gromkim głosem krzyknęła:

- Nemecek!

W tej samej chwili wymizerowany chorobą chłopczyk chwycił Feriego Acza wpół i z jakąś nadludzką siłą spotęgowaną gorączką, powalił go według wszelkich reguł zapaśniczej walki na obie łopatki.

Po czym sam padł na ziemię nieprzytomny.

W tejże chwili armię czerwonych koszul ogarnął wielki zamęt. Gdy upadł ich wódz, wpadli w popłoch i los ich został w ten sposób przypieczętowany. Chłopcy z Placu Broni przytomnie wykorzystali to chwilowe załamanie wroga. Chwycili się za ramiona, utworzyli łańcuch i zaczęli wypierać z placu zaskoczoną armię napastnika.

Feri Acz podniósł się z ziemi, otrzepał z kurzu ubranie i poczerwieniały na twarzy, gniewnym wzrokiem rozejrzał się wokoło. Stwierdził, że został oto na placu boju sam jeden. Jego armię, otoczoną przez triumfujących chłopców z Placu Broni, wypędzono przez furtkę za płot, a on - jej wódz - stał samotny, pokonany.

Obok niego leżał na ziemi Nemecek.

A gdy wypchnięto już ostatniego chłopca w czerwonej koszuli, a furtkę zamknięto na zasuwę, w szeregach zwycięzców zapanowała euforia. Zagrzmiały wiwaty i okrzyki triumfu. Tylko Boki nie było. Pojawił się po chwili razem ze Słowakiem. Niósł wodę z tartaku.

Teraz wszyscy zebrali się wokół leżącego na ziemi Nemecka i w jednej chwili triumfalna wrzawa przemieniła się w grobową ciszę. Feri Acz stał na uboczu z ponurą miną i przyglądał się zwycięzcom. Z budy ciągle dochodził łomot uwięzionych.

Ale kto by się teraz nimi przejmował?

Jano ostrożnie podniósł Nemecka z ziemi i ułożył go na nasypie szańca. Potem

zwilżyli mu powieki, skronie, twarz. Po kilku minutach Nemecek otworzył oczy. Rozejrzał się z bladym uśmiechem.

Chłopcy milczeli.

- Co się stało? - zapytał cichutko.

Wszyscy byli tak bardzo poruszeni, że nikomu nawet do głowy nie przyszło, żeby odpowiedzieć. Z przejęciem patrzyli na Nemecka.

- Co się stało? - powtórzył i usiadł na nasypie.

Boka podszedł do Nemecka.

- Jak się czujesz? - zapytał.

- Już lepiej.

- Nic cię nie boli?

- Nie.

Nemecek uśmiechnął się znowu i zapytał:

- Zwyciężyliśmy?

Teraz już wszyscy odpowiedzieli chórem:

- Zwyciężyliśmy!

Nikt nie przejmował się tym, że Feri Acz ciągle jeszcze stoi pod jednym z sągów i z chmurną, gniewną miną przygląda się tej niemal rodzinnej scenie.

- Zwyciężyliśmy - powtórzył Boka - ale pod sam koniec bitwy marnie z nami było. I tylko tobie zawdzięczamy, że ostatecznie zwyciężyliśmy. Gdybyś nie pojawił się tak nagle wśród nas, gdybyś nie zaskoczył Feriego Acza, wówczas oni wypuściliby jeńców z budy i nie wiem, co by się dalej stało.

Jasnowłósy chłopiec odezwał się jakby rozdrażniony:

- Nieprawda - powiedział - mówicie tak, żeby zrobić mi przyjemność, bo ja jestem chory.

I potarł ręką czoło. Krew napłynęła mu do twarzy, policzki zaczerwieniły się. Widać było, że chłopca trawi gorączka.

- A teraz - powiedział Boka - natychmiast zaniesiemy cię do domu. Zrobiłeś straszne głupstwo, że tu przyszedłeś. Nie wiem, jak rodzice mogli cię wypuścić z domu.

- Wcale mnie nie wypuścili. Sam wyszedłem.

- Jak to?

- Ojciec poszedł do kogoś z ubraniami do przymiarki, mama była u sąsiadów, bo chciała zagrzać dla mnie na kuchni zupę kminkową; nie zamknęła drzwi i powiedziała, żebym krzyknął, kiedy będę czegoś potrzebował. Kiedy zostałem sam, usiadłem w łóżku i

nadsłuchiwałem. Było cicho, ale jakbym coś słyszał. Szumiało mi w uszach. Słyszałem tętent koni, dźwięki trąbki, okrzyki. I usłyszałem głos Kolnaya, jakby mnie wołał: „Chodź, Nemecku, mamy kłopoty!” A potem ty, Boka, krzyknąłeś: „Nie przychodź, Nemecku, nie przydasz się nam do niczego, bo jesteś chory, przychodziłeś do nas, kiedy graliśmy w kulki, kiedy bawiliśmy się, ale teraz, kiedy walczymy, nie możesz przyjść i my przegrywamy bitwę”. Tak powiedziałaś, Boka. I ja słyszałem, jak to mówiłaś. I dlatego szybko wyskoczyłem z łóżka, ale zaraz upadłem, bo już tak długo leżę w łóżku, że całkiem straciłem siły. Ale podniosłem się z podłogi i wyjąłem swoje ubranie z szafy... i buty wyjąłem... i prędko się ubrałem. A kiedy już byłem ubrany, weszła mama. Usłyszałem wcześniej jej kroki, więc tak jak stałem, w ubraniu, wskoczyłem z powrotem do łóżka, i naciągnąłem na siebie kołdrę aż po brodę, żeby ona nie wiedziała, że jestem ubrany. A matka powiedziała: „Wpadłam tylko na chwilkę zapytać, czy czegoś nie potrzebujesz?” A ja na to: „Niczego mi nie trzeba”. To ona znowu wyszła, a ja wtedy uciekłem z domu. Ale ja nie jestem żadnym bohaterem, bo wcale nie wiedziałem, że to, co robię, będzie miało takie duże znaczenie. Przyszedłem tutaj tylko po to, żeby walczyć razem z wszystkimi, ale kiedy zobaczyłem Feriego Acza, pomyślałem, że to właśnie przez niego nie mogę być razem z wami, że to on kazał mnie wykąpać w zimnej wodzie, o co miałem do niego straszny żal, więc powiedziałem sobie: „No, Erno, teraz albo nigdy” - zamknąłem oczy i... i... rzuciłem się na niego...

Mały mówił z takim przejęciem, że aż zabrakło mu tchu. Zmęczył się i zaniósł kaszlem.

- Nie mów więcej - powiedział Boka - opowiesz nam o tym innym razem. Teraz zaniemiemy cię do domu.

Przedtem jednak, przy pomocy Jana, zaczęto pojedynczo wypuszczać jeńców z budki. Kolejno odbierano broń tym, którzy ją jeszcze mieli przy sobie. Pokonani ze smutkiem opuszczali Plac i wychodzili na ulicę Marii. A mały, żelazny komin na ich widok jakby szyderczo wypluwał parę. I świsnęła jeszcze w dodatku parowa piła na znak, że tartak cały czas był po stronie zwycięskiej armii chłopców z Placu Broni.

Na Placu pozostał tylko Feri Acz. Ciągle tkwił u podnóża jednego z sągów i patrzył w ziemię. Kolnay i Czele podeszli do niego i chcieli mu odebrać broń.

Ale Boka rozkazał:

- Zostawcie wodza w spokoju!

I sam zbliżył się do Acza.

- Panie generale - powiedział do niego - walczył pan po bohatersku.

Wódz czerwonych koszul spojrzał smutno na Bokę, jak gdyby chciał powiedzieć: a

cóż mi teraz po twoich pochwałach...

Ale Boka odwrócił się do swego wojska i zakomenderował:

- Baczość!

Na tę komendę umilkł gwar. Wszyscy unieśli ręce do czapek. Boka stał wyprostowany przed swoją armią i również salutował. W biednym Nemecku też odezwała się dusza szeregowca. Z trudem podniósł się z nasypu, stanął na baczość i salutował. Salutował temu, przez którego się tak ciężko rozchorował.

Feri Acz oddał honory i opuścił Plac. Był jedynym żołnierzem, który odchodził z bronią. Cały pozostały oręż: słynne włócznie ze srebrnymi ostrzami oraz posrebrzane indiańskie tomahawki leżały na jednej stercie przed wejściem do chaty. A na fortecy numer trzy powiewała odzyskana wreszcie chorągiewka. Gereb odebrał ją Sebeniczowi w zacieklej walce.

- Gereb jest tutaj? - zapytał Nemecek ze zdziwienia szeroko otwierając oczy.

- Tak - odpowiedział Gereb występując do przodu.

Mały pytająco spojrzął na Bokę, a ten odpowiedział:

- Jest tutaj i zmazał swoją winę. Tym samym zwracam mu stopień porucznika.

Gereb poczerwieniał.

- Dziękuję - powiedział.

Po czym cicho dodał:

- Ale...

- O co ci chodzi?

Gereb zmieszał się.

- Wiem, że nie mam do tego prawa, że o tym decyduje generał, ale... pozwalam sobie przypomnieć... że Nemecek ciągle jest tylko szeregowcem...

Zapanowała wielka cisza. Gereb miał rację. W tych wielce nerwowych chwilach wszyscy zapomnieli o tym, że ten, któremu już trzeci raz z rzędu wszystko zawdzięczali, ciągle jest jeszcze zwykłym szeregowcem.

- Masz rację, Gereb - odezwał się Boka. - I zaraz to naprawimy. Mianuję więc...

Ale Nemecek przerwał mu w pół słowa:

- Ja nie chcę, żebyś mnie mianował... nie dlatego to zrobiłem... nie dlatego... tu przyszedłem...

Boka usiłował być surowy. Krzyknął:

- Nie chodzi o to, po co tu przyszedłeś, ważne jest to, czego dokonałeś! Mianuję więc Erno Nemecka kapitanem.

- Niech żyje! - wykrzyknęli jednocześnie.

I wszyscy, podporucznicy i porucznicy, a nawet sam generał zasalutowali nowemu kapitanowi. A Boka tak energicznie podniósł rękę do daszka, jakby to on był szeregowcem, a mały, jasnowłosy chłopiec generałem.

Byli tak przejęci, że zupełnie nie zauważyli, jak skromnie ubrana, szczupła, drobna kobieta weszła na Plac i zbliżyła się do nich.

- O Boże! - krzyknęła. - Jesteś! Zaraz wiedziałam, że cię tutaj znajdę!

Była to matka Nemecka. Zapłakana, bo już od dłuższego czasu szukała swego chorego dziecka, przybiegła tutaj, żeby dowiedzieć się od chłopców, co też z nim mogło się stać. Chłopcy otoczyli ją i uspokajali. Biedna kobieta wzięła syna na ręce, owinęła chustą i ruszyła do domu.

- Odprowadźmy ich! - krzyknął Weiss, który do tej pory nie odezwał się ani słowem.

Ten pomysł wszystkim się spodobał.

- Odprowadźmy! - krzyknęli.

Szybko wrzucono zdobyczną broń do budki i cała armia ruszyła za matką Nemecką, która przytulając syna do piersi, aby go ogrzać własnym ciepłem, śpieszyła do domu.

Na ulicy Pawła chłopcy uformowali się w dwuszereg. Zapadał zmierzch, zapalano lampy, a jaskrawe światło sklepów oświetlało chodnik.

Zajęci swoimi sprawami przechodnie zatrzymywali się na widok tego dziwnego pochodu. Na czele szczupła, drobna kobieta z zapłakanymi oczyma, tuląca w ramionach chorego, owiniętego chustą po czubek nosa chłopca, a za nimi maszerująca w karnym dwuszeregu armia chłopców w jednakowych czerwono - zielonych czapkach!

Niektórzy przechodnie uśmiechali się na ten widok. Kilku łobuziaków głośno się nawet roześmiało. Ale chłopcy nie zwracali na to najmniejszej uwagi. Nawet krewki Czonakosz, który zawsze natychmiast reagował na wszelkie zaczepki i brał za nie srogi odwet, tym razem spokojnie maszerował, nie przejmując się wcale chichotami czeladników. Wszyscy byli głęboko przejęci. Matka Nemecka miała zaś większe kłopoty niż zajmowanie się towarzyszącą jej w drodze do domu asystą. W bramie małego domu przy ulicy Rakos musiała się jednak zatrzymać, ponieważ jej syn za żadne skarby nie dał się wnieść do środka. Wyrwał się z matczynych objęć i stanął przed chłopcami.

- No to cześć - powiedział.

Chłopcy po kolei ściskali mu rękę. Dłoń miał gorącą, rozpaloną. Po chwili wraz z matką zniknął w ciemnej sieni. Na podwórzu trzasnęły jakieś drzwi, w okienku zapaliło się światło. I zapanowała cisza.

Dopiero po chwili chłopcy uświadomili sobie, że oto żaden z nich nie ruszył się sprzed domu. W milczeniu patrzyli na małe oświetlone okienko, za którym kładziono teraz ich bohatera do łóżka. Jeden z chłopców głęboko westchnął. Wtedy odezwał się Czele:

- I co teraz będzie?

Zaczęli się rozchodzić. Kilku chłopców ruszyło małą, ciemną uliczką w stronę ulicy Ullői. Wszyscy byli zmęczeni i wyczerpani walką. Wiał silny wiatr, niósł ze sobą chłód śniegu topniejącego na wzgórzach Budy.

Za chwilę druga grupa ruszyła w kierunku Ferencvaros. Wreszcie pod bramą zostali tylko Boka i Czonakosz. Czonakosz ociągał się, czekał, żeby Boka ruszył pierwszy. Ale ponieważ Boka nie przejawiał takiego zamiaru, Czonakosz zapytał cicho:

- Idziesz?

Boka równie cicho odpowiedział:

- Nie.

- Zostajesz?

- Tak.

- No to... cześć.

I Czonakosz oddalił się wolnym krokiem. Boka patrzył za nim i widział, jak Czonakosz ogląda się za siebie, aż zniknął za rogiem ulicy. Tak więc na małej i cichej ulicy Rakos, biegnącej równolegle do hałaśliwej ulicy Üllői, którą poruszają się konne tramwaje, zapanował teraz kompletny spokój. Tylko wiatr po niej hulał, uderzając w szybki gazowych latarni. Co bardziej porywiste podmuchy wiatru powodowały brzęczenie tych szybek na całej długości ulicy, co sprawiało wrażenie, jakby migocące płomyki rozmawiały ze sobą. Uliczka była pusta, stał tam jedynie Janosz Boka, generał. A kiedy generał, Janosz Boka, rozejrzał się wokół i stwierdził, że jest już całkiem sam, wtedy tak mu się ścisnęło jego generalskie serce, że oparłszy się o bramę zapłakał serdecznie, z głębi serca.

Przeczuwał bowiem, wiedział to, czego żaden z chłopców nie śmiał powiedzieć: oto gaśnie powoli życie jego jedyne szeregowca. Zdawał sobie sprawę, że to już koniec, że za chwilę... Przestało się liczyć, iż jest wodzem zwycięskiej armii, nie wstydział się, że po raz pierwszy przestał panować nad sobą, że szłocha jak dziecko, i przejęty wielkim żalem, powtarzał przez łzy:

- Mój mały... mój drogi przyjacielu... mój drogi, kochany, mały kapitanie.

Jakiś przechodzący ulicą człowiek zapytał:

- Dlaczego płaczesz, chłopcze?

Boka jednak nie odpowiedział. Mężczyzna wzruszył ramionami i poszedł dalej. Potem

nadeszła jakaś kobiecina z dużym koszykiem. Stała chwilę patrząc w milczeniu na Bokę, po czym odeszła. Po pewnym czasie pojawił się niski, drobny człowiek, który skręcił w stronę bramy. Zatrzymał się, spojrzał na chłopca, poznał go.

- To ty jesteś Janosz Boka?

Boka spojrzał na mężczyznę.

- Tak, to ja, proszę pana.

Był to ojciec Nemezcza, niósł garnitur, wracał aż z Budy, gdzie robił komuś przymiarke. Pan Nemezec nie spytał: „Dlaczego płaczesz, chłopcze?”, nie okazywał zdziwienia, lecz podszedł do Boki, objął go serdecznie, przytulił i razem z nim zaczął płakać. Pod wpływem tego płaczu w Boce obudziło się generalskie serce.

- Niech pan nie płacze - powiedział chłopiec.

Krawiec otarł łzy wierzchem dłoni i wykonał ruch ręką, jakby chciał powiedzieć: „Teraz już i tak wszystko jedno, niech się przynajmniej trochę wypłacze”.

- Niech cię Bóg błogosławi, synku - powiedział do Boki. - Wracaj do domu.

I wszedł na podwórze.

Boka również otarł łzy i głęboko westchnął. Rozejrzał się po ulicy i chciał ruszyć do domu, ale powstrzymywała go jakaś niewidzialna siła. Wiedział, że nie może nic pomóc, a jednocześnie czuł, że jego świętym obowiązkiem jest stać tu na honorowej warcie, przed domem, w którym umiera jego wierny żołnierz. Zrobił kilka kroków przed bramą, po czym przeszedł na drugą stronę ulicy i stamtąd obserwował domek.

Nagle w ciszy opustoszałej ulicy zastukały czyjeś kroki. „Jakiś robotnik wraca z pracy do domu” - pomyślał Boka i z opuszczoną nisko głową dalej przechadzał się po drugiej stronie ulicy. Był zaprzątnięty różnymi dziwnymi myślami, które nigdy dotąd nie przychodziły mu do głowy. Zastanawiał się nad tym, czym jest życie, czym śmierć. I w żaden sposób nie mógł znaleźć odpowiedzi.

Kroki wciąż się zbliżały, ale nadchodzący jakby zwalniał... Ciemny cień ostrożnie przesuwiał się pod osłoną murów i zatrzymał się przed domem Nemezcza. Przechodzień zajrzał do bramy. Na chwilę wszedł do środka, po czym ukazał się znowu. Zatrzymał się. Czekał. Zaczął przechadzać się przed domem od jednej latarni gazowej do drugiej. A kiedy wiatr rozchylił mu płaszcz, Boka w blasku światła dostrzegł, że chłopiec ma na sobie czerwoną koszulę.

Był to Feri Acz.

Dwaj wodzowie spojrzeli na siebie chmurnie. Po raz pierwszy w życiu stanęli ze sobą oko w oko. I do spotkania doszło właśnie przed tym pogrążonym w smutku domem. Jednego

przywiódło tutaj serce, drugiego - wyrzuty sumienia. Nie odzywali się do siebie ani słowem. Tylko patrzyli. Po chwili Feri Acz zaczął się przechadzać. Długo, bardzo długo tak chodził. Kiedy z ciemnego podwórza wyszedł dozorca, żeby zamknąć na noc bramę, Feri Acz podszedł do niego, uchylił czapki i o coś cicho zapytał. Odpowiedź dozorczy dotarła aż do Boki.

- Bardzo źle - powiedział dozorca.

I zamknął wielką, ciężką bramę. Głośne trzaśnięcie bramy zakłóciło ciszę uliczki, ale po chwili umilkło niczym grzmoty wśród górskich szczytów.

Feri Acz powoli ruszył przed siebie. Boka również zdecydował się wrócić do domu. Zawodził ze świstem zimny wiatr, dwaj wodzowie rozeszli się w dwie różne strony. Jeden w prawo, drugi w lewo. Ale nawet odchodząc nie zamienili ani jednego słowa.

Cicha uliczka usnęła wreszcie, targana porywami wiosennego wiatru. Wiatr królował już bez reszty; pobrzękiwał szybkami gazowych latarni, chybotął płomykami, z chrobotem obracał zardzewiałymi blaszanymi kurkami na dachach. Wiatr wdzierał się przez szczeliny i szpary do mieszkań, również i do tego pokoiku, gdzie po kolacji zasiadł ubogi krawiec, a za jego plecami w łóżku, z rozpaloną twarzą i błyszczącymi oczyma ciężko dyszał mały kapitan. Wiatr zadzwonił w szyby, zachybotał płomieniem naftowej lampy. Szczupła kobieta przykryła starannie swego synka.

- To wiatr tak wieje, syneczku.

A kapitan ze smutnym uśmiechem, cichutko, niemal szeptem odparł:

- To wieje od strony naszego Placu. Naszego ukochanego Placu, mamó...

IX

Oto kilka stron z Wielkiej Księgi Związku Kitowców:

PROTOKÓŁ

Na dzisiejszym walnym zebraniu podjęliśmy następujące uchwały i wpisujemy je niniejszym do Wielkiej Księgi naszego Związku.

§1

Na 17 stronie Wielkiej Księgi znajduje się wpis o następującym brzmieniu: erno nemecek. Małymi literami. Niniejszy zapis traci ważność, ponieważ został dokonany na skutek pomyłki. Walne zebranie oświadcza niniejszym, że Związek bezpodstawnie obraził wspomnianego członka, który zniósł tę urazę w honorowy sposób, a potem, w czasie wojny, spisał się jak prawdziwy bohater, co jest faktem historycznym. Z tego względu walne zebranie stwierdza, że poprzedni zapis był błędem Związku i że wobec tego protokolant ma wpisać w tym miejscu nazwisko wspomnianego członka samymi dużymi literami.

§2

Wpisuję zatem od początku do końca samymi dużymi literami:

ERNO NEMECZEK

podpisany: Lesik, protokolant, m.p

§3

Walne zebranie Związku Kitowców jednogłośnie postanowiło złożyć podziękowanie generałowi Janoszowi Boce za to, że przeprowadził wczorajszą bitwę tak, jak to czynią prawdziwi wodzowie, o których uczyliśmy się na historii. W dowód uznania postanawiamy, że każdy członek Związku Kitowców obowiązany jest w domu w swym podręczniku historii na stronie 168, czwarty wiersz od góry, obok tytułu „Hetman Janosz Hunyadi”*, dopisać atramentem „i Janosz Boka”. Podjęliśmy tę uchwałę, ponieważ nasz wódz w pełni na to zasługuje, bo gdyby nie przeprowadził tak dobrze bitwy, to zostalibyśmy pokonani przez czerwone koszule. Każdy zobowiązany jest również do wpisania ołówkiem w rozdziale

* Janos Hunyadi (1385 - 1456) - wojewoda siedmiogrodzki, hetman koronny, zwycięzca wielu bitew z przeważającymi siłami Turków, jeden z najwybitniejszych wodzów w dziejach Węgier.

„Klęska pod Mohaczem”^{***} nad nazwiskiem arcybiskupa Tomoriego^{***}, który również został pokonany: „i Ferenc Acz”.

§4

Ponieważ generał Janosz Boka, wbrew naszym sprzeciwom, siłą zarekwirował związkowy majątek (24 grajczary), ponieważ wszyscy musieli oddać to, co posiadali, na cele wojenne, a kupiono tylko jedną trąbkę za 1 forinta i 40 grajczarów, chociaż na bazarze Rosera można było dostać trąbkę za 60 lub 50 grajczarów, ale musiano kupić droższą, żeby miała silniejszy głos, i teraz są dwie trąbki, bo w czasie walki zdobyło wojenną trąbkę czerwonych koszul, a że nie trzeba już ani jednej, a nawet gdyby okazała się potrzebna, to zupełnie wystarczy jedna - postanawiamy zażądać zwrotu związkowego majątku (24 grajczarów), więc niech generał Boka sprzeda jedną trąbkę, jak to obiecał, bo nam są potrzebne pieniądze (24 grajczary).

§5

Prezes Związku Pat Kolnay otrzymuje niniejszym naganę od członków za to, że dopuścił do wyschnięcia związkowego kitu. Ponieważ dyskusję w tej sprawie należy zaprotokołować, wpisuję ją niniejszym w całości:

Prezes: Nie żułem kitu, ponieważ byłem zajęty przygotowaniem do wojny.

Członek Barabasz: Aha, ale to nie jest żadne usprawiedliwienie.

Prezes: Barabasz zawsze się mnie czepia, więc ja przywołuję go do porządku. Ja chętnie żuję kit, bo dobrze wiem, co to jest obowiązek, i po to jestem prezesem, żeby zgodnie z regulaminem żuć związkowy kit, ale nie pozwolę, żeby ktoś mnie się ciągle czepiał.

Członek Barabasz: Ja się nikogo nie czepiam.

Prezes: Właśnie że się czepiasz.

Członek Barabasz: A nie!

Prezes: A tak!

Członek Barabasz: A nie!

Prezes: Dobrze, niech ci będzie.

Członek Rychter: Szanowni zebrani! Stawiam wniosek, aby do Wielkiej Księgi wpisać naganę dla prezesa za to, że zaniedbał swoje obowiązki.

^{**} Największa klęska w historii Węgier poniesiona w 1526 roku pod Mohaczem, gdzie sułtan Sulejman II Wspaniały rozbił wojska węgierskie; w bitwie tej zginął król Węgier Ludwik II Jagiellończyk, od tego momentu rozpoczęło się 150 - letnie panowanie Turków na Węgrzech.

^{***} Pal Tomori (1475 - 1526) - arcybiskup Kaleczy, dowodził węgierskimi wojskami Pod Mohaczem, uznany winnym klęski; zginął w czasie bitwy.

Członkowie: Tak jest! Tak jest!

Prezes: Chciałem się odwołać od tej decyzji i prosić, żeby Związek ten jeden raz mi przebaczył, chociażby z tego względu, że wczoraj walczyłem dzielnie jak dziki lew, że byłem adiutantem i w czasie największego niebezpieczeństwa wybiegłem na szaniec, i przeciwnik rozłożył mnie na ziemi, i cierpiałem za nasze państwo, więc dlaczego mam jeszcze teraz dodatkowo cierpieć za to, że nie żułem związkowego kitu.

Członek Barabasz: To zupełnie co innego.

Prezes: Wcale nie co innego.

Członek Barabasz: Co innego.

Prezes: A nie!

Członek Barabasz: A tak!

Prezes: Dobrze, niech ci będzie.

Członek Rychter. Proszę o przyjęcie mego wniosku.

Członkowie: Przyjmujemy, przyjmujemy.

Głosy z lewej strony: Nie przyjmujemy.

Prezes: To głosujemy.

Członek Barabasz: Proszę o przeprowadzenie głosowania, każdy oddzielnie, po nazwisku.

Głosowanie zostaje przeprowadzone.

Prezes: Większością trzech głosów Związek postanowił, że prezes Pat Kolnay zostaje ukarany naganą. Ale to świństwo.

Członek Barabasz: Prezes nie ma prawa używać w stosunku do większości ordynarnych słów.

Prezes: A ma!

Członek Barabasz: A nie ma.

Prezes: A ma.

Członek Barabasz: A nie ma.

Prezes: Dobrze, niech ci będzie.

Tym samym porządek dzienny został wyczerpany i prezes zamknął obrady.

protokołował Lesik m.p.

przewodniczył Kolnay m.p.

nadal jednak utrzymuję, że jest to świństwo.

X

Wielka cisza panowała w małej, otynkowanej na żółto kamieniczce przy ulicy Rakos. Nawet ci mieszkańcy, którzy mieli zwyczaj zbierać się na podwórzu i głośno gawędzić, tym razem na palcach przechodzili obok drzwi do mieszkania krawca Nemeckiego. Służące trzepały ubrania i dywany na samym końcu podwórka i starały się to czynić na tyle cicho, żeby nie zakłócić choremu spokoju. Gdyby dywany potrafiły się dziwić, to właśnie teraz miałyby ku temu wspaniałą okazję, zwykle silnie trzepane, dziś były tylko pieszczotliwie otrząsywane z kurzu...

Co chwila któryś z mieszkańców domu pytał przez oszklone drzwi:

- Jak się czuje synek?

Wszyscy, bez wyjątku, otrzymywali jednakową odpowiedź:

- Źle, bardzo źle.

Pocziwe sąsiadki coraz to coś przynosiły.

- Kochana pani, proszę przyjąć to winko, jest naprawdę dobre...

Albo:

- Niech się pani nie obrazi, przyniosłam trochę cukierków...

Drobna, jasnowłosa kobieta z zapłakanymi oczyma otwierała drzwi dobrym sąsiadkom, serdecznie dziękowała za upominki, ale nie było z nich większego pożytku.

Mówiła to nawet poniektórym:

- Nic nie je biedaczek, od dwóch dni wypija tylko parę kropli mleka dziennie...

O godzinie trzeciej wrócił do domu krawiec Nemecek. Był w sklepie, gdzie przyjął kolejne zamówienia. Ostrożnie, cicho otworzył drzwi i bez słowa wszedł do kuchni.

Spojrzał tylko na żonę. A ona spojrzała na niego. Oboje rozumieli się bez słów. Stali w milczeniu naprzeciw siebie. Krawiec nawet zapomniał odłożyć przyniesione do domu płaszcze.

Potem na palcach weszli do pokoju, w którym leżał ich synek. Bardzo się zmienił ten niegdyś zawsze wesoły szeregowy z Placu Broni, a dziś smutny kapitan. Wychudł, włosy mu urosły. Nie był jednak blady, przeciwnie, cały czas płonęły mu zapadnięte policzki. Od kilku dni nieustannie trawiła go gorączka.

Rodzice stanęli przy łóżku swego dziecka. Byli biednymi, prostymi ludźmi, którzy przeszli różne koleje losu, doznali wielu kłopotów i smutków, więc nauczyli się cierpieć w milczeniu. Stali tylko z nisko opuszczonymi głowami i z utkwionym w podłogę wzrokiem. Po

chwili krawiec cicho zapytał:

- Śpi?

Żona nie śmiała się odezwać, skinęła tylko głową. Bo chłopiec był już tak słaby, że nie wiedziała, czy śpi, czy też tylko tak bezwładnie leży.

Od strony drzwi wejściowych rozległo się ciche pukanie.

- Może to doktor - szepnęła kobieta.

Mąż zwrócił się do niej:

- Otwórz.

Na progu stał Boka. Nikły uśmiech pojawił się na twarzy kobiety, kiedy zobaczyła kolegę syna.

- Czy mogę wejść?

- Proszę, synku.

Boka wszedł.

- Jak się czuje?

- Bez zmian.

- To znaczy źle?

Nie czekając na odpowiedź Boka wszedł do pokoju. Pani Nemeček za nim. Teraz już w trójkę w milczeniu stali przy łóżku. A chory jakby wyczuł ich obecność, jakby zdał sobie sprawę, że nic nie mówią, by nie zakłócać mu spokoju, i wolniutko otworzył oczy. Zobaczył Bokę, uśmiechnął się. Słabym głosem zapytał:

- Jesteś tutaj, Boka?

Boka podszedł bliżej.

- Jestem.

- Zostaniesz ze mną?

- Tak, zostanę.

- Dopóki nie umrę?

Boka nie wiedział, co odpowiedzieć. Uśmiechnął się do przyjaciela, po czym przeniósł wzrok na matkę Nemečka, jakby u niej szukając pomocy. Ale kobieta stała odwrócona do niego plecami i rąbkiem fartucha ocierała oczy.

- Głupstwa pleciesz, mój synu - powiedział chrząkając z zakłopotaniem krawiec. - Hm! Hm! Głupstwa pleciesz.

Tym razem jednak Erno Nemeček nie zwrócił najmniejszej nawet uwagi na słowa ojca. Spojrzał na Bokę i ruchem głowy wskazał rodziców.

- Oni nic nie wiedzą - powiedział.

Teraz odezwał się Boka:

- Jakże nie wiedzą. Lepiej wiedzą niż ty.

Nemeczek poruszył się, z ogromnym trudem podniósł się i usiadł na łóżku. Nie chciał jednak niczyjej pomocy. Uniósł palec w górę i z całą powagą oświadczył:

- Nie wierz w to, co mówią, oni tak sobie mówią, dla pocieszenia. Ja wiem, że umrę.

- Nieprawda.

- Powiedziałeś: nieprawda?

- A więc ja kłamię?

Wszyscy troje usiłowali go uspokoić, prosili, żeby się nie gniewał, nikt go przecież nie posądza o kłamstwo. Nemeczek jednak był głęboko dotknięty, że mu nie wierzą, i z wyrazem powagi na twarzy oświadczył:

- No więc daję wam słowo, że umrę.

Przez drzwi zajrzała do środka dozorczyńni.

- Droga pani... doktor przyszedł.

Wszedł doktor i wszyscy powitali go z szacunkiem. Był to starszy pan o bardzo surowym wyglądzie. Skinął głową i w milczeniu podszedł do łóżka. Ujął chłopca za rękę i zmierzył mu puls. Potem położył dłoń na jego czole. Nachylił się nad nim, przyłożył głowę do piersi chorego i słuchał. Matka Nemeczka nie mogła powstrzymać pytania:

- Panie doktorze... przepraszam... czy pogorszyło się?

- Nie - po raz pierwszy odezwał się lekarz.

Ale powiedział to jakoś dziwnie, nie patrząc kobiecie w oczy. Po chwili sięgnął po kapelusz i ruszył do wyjścia. Krawiec podążył za nim szybko, by otworzyć drzwi.

- Odprowadzę pana, panie doktorze.

Kiedy byli w kuchni, lekarz dał znak oczyma, aby zamknąć drzwi do pokoju. Biedny krawiec przeczuwał, że z tej rozmowy w cztery oczy nic dobrego nie może wyniknąć. Kiedy zamknął za sobą drzwi, oblicze lekarza przybrało serdeczny wyraz.

- Panie Nemeczek - powiedział lekarz - jest pan mężczyzną, więc mogę z panem szczerze rozmawiać.

Krawiec pochylił głowę.

- Chłopczyk nie dożyje jutrzejszego ranka. A może nawet dzisiejszego wieczoru.

Ojciec Nemeczka ani drgnął. Dopiero po kilku chwilach w milczeniu zaczął kiwać głową.

- Mówię to dlatego - kontynuował lekarz - że jest pan biednym człowiekiem i źle by się stało, gdyby taki cios spadł na was niespodzianie. No więc... byłoby dobrze, gdyby...

gdyby pomyślał pan... gdyby pomyślał pan o tym, o czym w takich sytuacjach należy myśleć...

Lekarz patrzył jeszcze chwilę na krawca, po czym nagle położył mu dłoń na ramieniu.

- Niech pana Bóg ma w swojej opiece. Wrócę tu za godzinę.

Krawiec nie słyszał już tych słów. Martwym wzrokiem patrzył przed siebie na wyszorowaną do czysta ceglana podłogę kuchni. Trzeba pomyśleć o czymś, o czym w takich sytuacjach się myśli. O co lekarzowi chodziło? Czyżby o trumnę?

Chwiejnym krokiem wrócił do pokoju i usiadł na krześle. Nie był w stanie wydobyć głosu. Żona na próżno go pytała:

- Co powiedział doktor?

Krawiec tylko kiwał głową w milczeniu.

Tymczasem mały Nemecek jakby poczuł się lepiej, poweselał, drobna twarzyczka rozpogodziła się. Skinął na Bokę.

- Janosz, chodź tu do mnie.

Boka podszedł do łóżka.

- Usiądź przy mnie. Nie boisz się?

- Nie boję się! A zresztą czego miałbym się bać?

- Że akurat umrę, kiedy ty będziesz przy mnie siedział. Ale nie bój się, jak poczuję, że umieram, to dam ci znać.

Boka usiadł przy Nemecku.

- Chcesz mi coś powiedzieć?

- Słuchaj - powiedział chory chłopiec obejmując Bokę za szyję i nachylając się do jego ucha, jakby chciał mu powierzyć jakąś wielką tajemnicę - co się stało z czerwonymi koszulami?

- Pokonaliśmy ich.

- A co potem?

- Potem poszli do Ogrodu Botanicznego na naradę. Czekali na Feriego Acza aż do wieczora, ale on nie przyszedł. Więc znudziło się im czekać i rozeszli się do domów.

- A dlaczego Feri Acz nie przyszedł?

- Wstydział się. I wiedział, że odbiorą mu wodzostwo, bo przegrał bitwę. Dziś po obiedzie znów zebrali się na naradę. I tym razem Acz już przyszedł. A wczoraj w nocy widziałem go tu przed waszym domem.

- Przed naszym domem?

- Tak. Pytał dozorcę, jak się czujesz.

Nemeczek poczuł się dumny, ale jeszcze nie dowierzał.

- On sam o mnie pytał?

- Tak, on sam.

Wiadomość ta sprawiła Nemeczkowi przyjemność. Boka mówił dalej:

- No więc odbyli na wyspie zebranie i strasznie hałasowali. Wybuchła burzliwa kłótnia, bo wszyscy oskarżali Feriego Acza. Tylko dwóch było po jego stronie: Wendauer i Sebenicz. Pastorowie byli przeciwko niemu, bo starszy Pastor sam chciał zostać wodzem. W końcu pozbawili Feriego Acza wodzostwa i wybrali starszego Pastora. I wiesz, co się potem stało?

- No co?

- Kiedy wreszcie wybrali nowego wodza i uciszyli się, przyszedł do nich na wyspę stróż Ogrodu Botanicznego i powiedział, że dyrektor nie będzie dalej znosił tych krzyków i hałasów. I wyrzucili ich z Ogrodu Botanicznego! A wyspę zamknęli. A na mostku założyli furtkę.

Mały kapitan był rozbawiony.

- A to heca - powiedział. - A skąd o tym wiesz?

- Kolnay mi opowiedział. Spotkałem go po drodze. Szedł na Plac, bo Związek Kitowców znów ma zebranie.

Na tę wieść Nemeczek skrzywił się niechętnie.

Cichutko powiedział:

- Już ich nie lubię. Wpisali moje nazwisko do księgi małymi literami.

Boka szybko go uspokoił.

- Już naprawili swój błąd. Nie tylko zmienili wpis, ale wpisali twoje nazwisko samymi wielkimi literami.

Nemeczek przecząco pokręcił głową.

- To niemożliwe. Mówisz to tylko dlatego, że jestem chory i chcesz mnie pocieszyć.

- Ani mi to w głowie. Mówię, bo tak się stało. Słowo ci daję, że to prawda.

Mały podniósł do góry ostrzegawczo palec.

- A teraz nawet słowem ręczysz za to kłamstwo, żeby mnie tylko pocieszyć.

- Ależ...

- Nic nie mów! - krzyknął.

Naprawdę krzyknął, i to jak głośno! On, kapitan, na generała! Na Placu byłoby to straszliwym przewinieniem. Ale tu - nie. Boka zniósł to z uśmiechem.

- Dobrze - powiedział - skoro mi nie wierzysz, to za chwilę sam się przekonasz.

Sporządzili do ciebie honorowy adres i zaraz tu przyjdą. Przyniosą ci go. Przyjdzie tu cały związek.

Ale mały wciąż nie chciał w to uwierzyć.

- Dopiero wtedy uwierzę, jak zobaczą na własne oczy!

Boka bezradnie wzruszył ramionami. W duchu zaś pomyślał: „Nawet lepiej, że nie wierzy, bo tym większą będzie miał radość, kiedy tu przyjdą”.

Mimo woli jednak przypomnieniem tej sprawy zdenerwował chorego chłopca. Wciąż go bolała wyrządzona mu przez Związek Kitowców krzywda. Mówił do Boki z rozżaleniem.

- Widzisz, to, co oni mi zrobili, było wstrętne!

Boka wolał się nie odzywać; obawiał się, że jeszcze bardziej rozdrażni małego przyjaciela. Więc gdy Nemeček zapytał:

- Prawda?

Przytaknął:

- Masz rację.

- A przecież - ciągnął Nemeček - biłem się za wszystkich, za nich też, żeby i oni mogli pozostać na Placu, przecież ja nie dla siebie walczyłem, bo ja to już nigdy nie zobaczą Placu.

I nagle umilkł. Uzmysłowił sobie tę prawdę z całą wyrazistością: już nigdy nie zobaczy Placu. Bez najmniejszego żalu zostawiłby wszystko na tym świecie z wyjątkiem Placu, ich kochanego, jedyne Placu zabaw.

Łzy napłynęły mu do oczu, co nie zdarzyło się podczas całej choroby. Płakał nie z żalu, płakał z bezradności, z bezsilności - oto nie może pójść raz jeszcze na swój ukochany Plac Broni, zobaczyć twierdzy, chaty. Przypomniały mu się tartak, wozownia, dwa duże drzewa morwowe, z których zrywał liście dla Czelego. Bo Czele miał w domu jedwabniki, które karmił liśćmi morwy, a jako elegant bał się wdrapywać na drzewo, żeby nie zniszczyć ubrania, więc kazał Nemečkowi zrywać liście, bo Nemeček był szeregowcem i musiał wykonywać rozkazy panów oficerów. Pomyślał o smukłym żelaznym kominie, który wypływał obłoczki białej pary, rozplywającej się po kilku sekundach w powietrzu. I jakby usłyszał znajomy odgłos parowej piły, tnącej polana na kawałki.

Nemečkowi rozbłyły oczy, poczerwieniały policzki. Zawołał:

- Chcę iść na Plac!

A ponieważ wszyscy milczeli, powtórzył jeszcze bardziej stanowczo:

- Chcę iść na Plac!

Boka ujął go za rękę.

- Przyjdiesz na Plac za tydzień, jak wyzdrowiejesz. Wtedy znów przyjdiesz.

- Nie! - upierał się mały. - Chcę iść teraz, zaraz. Dajcie mi moje ubranie i czapkę chłopców z Placu Broni.

Sięgnął pod poduszkę i z triumfującą miną wyciągnął spłaszczoną jak naleśnik czerwono - zieloną czapkę, z którą nie rozstawał się ani na chwilę. Włożył ją na głowę.

- Podajcie mi ubranie!

Ojciec ze smutkiem perswadował:

- Jak wyzdrowiejesz, Erno...

Ale nie można już było sobie z nim poradzić. Z całej piersi, na ile tylko pozwoliły chore płuca, krzyknął:

- Ja nie wyzdrowieję!

Słowa te wykrzyczał głosem tak zdecydowanym, że nikt nie śmiał mu się sprzeciwić.

- Nie wyzdrowieję! - zawołał ponownie. - Okłamujecie mnie, bo ja dobrze wiem o tym, że umrę. A jak już mam umrzeć, to pozwólcie mi umrzeć tam, gdzie zechcę. Ja chcę iść na Plac!

Oczywiście nie mogło być o tym mowy. Wszyscy podeszli do niego, zaczęli go przekonywać, uciszać. Tłumaczyli mu:

- Teraz w żaden sposób...

- Jest zła pogoda...

- Za tydzień...

I wciąż powtarzali te same słowa, w których prawdziwość coraz trudniej było uwierzyć:

- Jak wyzdrowiejesz...

Fakty przeczyły zapewnieniom. Kiedy mówili o złej pogodzie, akurat zaświeciło radośnie wiosenne życiodajne słońce. Ale nie mogło ono utrzymać przy życiu Nemeczka. Gorączka zaczęła rosnać i to z taką gwałtownością, że chłopiec zaczął się miotać i majaczyć. Z płonąca twarzą i pulsującymi nozdrzami krzyczał nieprzytomnie:

- Plac to nasz kraj, to całe nasze państwo! Nie możecie zrozumieć, czym dla nas jest ten Plac, bo nigdy nie walczyliście za Ojczyznę!

Zapukano do drzwi. Gospodyni wyszła otworzyć.

- Pozwól - wezwała po chwili męża - to pan Czetneki przyszedł do miary.

Krawiec wyszedł do kuchni. Pan Czetneki był urzędnikiem magistratu i szył u niego ubrania. Na widok ojca Nemeczka zapytał gwałtownie:

- Co słyhać z moim brązowym ubranie?

Z pokoju dobiegały strzępy przygnębiającego monologu:

- Trąbka do boju... pełno kurzu na Placu... Naprzód! Naprzód!

- Przepraszam pana - powiedział krawiec - jeśli wielmożny pan sobie życzy, możemy zaraz przymierzyć, ale jeśli pan łaskaw, zostaniemy w kuchni... wybacz pan... bo mój synek jest ciężko chory... leży w pokoju...

- Naprzód! Naprzód do boju! - rozlegał się z pokoju ochrypły, dziecinny głosik. - Za mną! Do ataku! Widzicie czerwone koszule? Na czele Feri Acz ze srebrną lancą... zaraz mnie wrzucą do wody!

Pan Czetneki zwrócił uwagę na te okrzyki:

- Co to? - zapytał.

- Krzyczy biedaczek.

- Jeśli jest chory, to dlaczego krzyczy?

Krawiec wzruszył ramionami.

- Majaczy niebożę... jest z nim bardzo źle... to już chyba koniec...

Wszedł do pokoju i po chwili wrócił z brązowym dwurzędowym surdudem, sfastrygowanym białymi nićmi. Kiedy otwierał drzwi, wyraźnie było słychać:

- Cisza w okopach! Uwaga! Idą... już są tu! Trębacz, daj sygnał!

Nemeczek zwinął dłonie w trąbkę:

- Trata... trara... tratata!

I krzyknął na Bokę:

- I ty też trąb!

Boka zmuszony był podporządkować się Nemeczkowi, zwinął dłonie i teraz już razem trąbili. Pierwszy słabym ochrypłym głosikiem, drugi - zdrowym i silnym, lecz smutno brzmiącym. Boka był bliski płaczu, ale dzielnie dławiąc łzy udawał, że trąbienie również, i jemu sprawia przyjemność.

- Bardzo mi przykro - powiedział pan Czetneki zdejmując marynarkę - ale nowy, brązowy garnitur jest mi szalenie potrzebny.

- Tratata! Tratata! - rozlegało się w pokoju.

Krawiec podał panu Czetnekiemu nową marynarkę i zaczął cicho mówić:

- Proszę się nie ruszać.

- Uwiera mnie pod pachami.

- Tak jest, już poprawiam.

(- Tratata! Tratata!)

- Ten guzik, o tu, jest za wysoko, proszę go przyszyć niżej, bo lubię, jak kłapa luźno

leży na piersiach.

- Tak jest, proszę pana.

(- Do ataku! Naprzód! Hurra!)

- I rękawy też są jakby trochę za krótkie.

- Nie sędzę, proszę pana.

- Niech się pan dobrze przyjrzy. W każdej marynarce szyje pan za krótkie rękawy.

Stale pan tak robi!

„Wcale nie!” - pomyślał krawiec, ale zaznaczył żadaną długość rękawa. W pokoju narastał hałas.

- Ha, ha! - rozległ się dziecinny krzyk. - A więc przyszedłeś? Stoisz przede mną! Wreszcie mogę się z tobą zmierzyć, ty straszliwy wodzu! No, już, już! Zobaczymy, kto silniejszy?

- Niech pan podłoży watę - powiedział pan Czetneki. - Trochę na ramionach i trochę na piersiach, z lewej i prawej strony.

(- Bach! Powaliłem cię na ziemię!)

Pan Czetneki zdjął brązową marynarkę, a krawiec podał mu tę, w której klient przyszedł.

- Kiedy będzie gotowa?

- Pojutrze.

- W porządku. Ale niech się pan przyłoży do pracy, żebym znów nie dostał dopiero po tygodniu. Ma pan jeszcze jakąś inną robotę?

- Żeby tylko dzieciak nie chorował, wielmożny panie.

Pan Czetneki wzruszył ramionami:

- To smutna sprawa, bardzo mi pana żal, ale powtarzam, to nowe ubranie jest mi szalenie potrzebne, i to jak najprędzej. Niech pan się zaraz bierze do roboty.

Krawiec westchnął tylko.

- Zaraz się wezmę.

- Uszanowanie! - powiedział pan Czetneki przed wyjściem. Był w dobrym nastroju.

Jeszcze w progu zawołał:

- Niech pan nie zwleka i siada do pracy.

Krawiec ujął w ręce piękną brązową marynarkę i przypomniał sobie, co powiedział lekarz. Musi pomyśleć o tym, o czym w takiej sytuacji należy myśleć. No więc dobrze, natychmiast siadzie do roboty. Kto wie, na co przydadzą się pieniądze, które dostanie za uszycie tego pięknego, brązowego ubrania. Może te kilka forintów zawędruje do stolarza, do

tego stolarza, który robi małe trumienki? A pan Czetneki będzie sobie dumnie paradował w nowym ubraniu po deptaku nad Dunajem.

Wrócił do pokoju i natychmiast zasiadł do szycia. Nie spoglądał nawet w stronę łóżka, tylko cały czas machał igłą, aby jak najszybciej wykonać pilne zamówienie. Pan Czetneki potrzebował ubrania, a on być może będzie potrzebował pieniędzy na stolarza...

Stan małego kapitana pogarszał się i już nie sposób było z nim wytrzymać. Zebrał w sobie resztkę sił i w długiej, sięgającej kostek koszuli nocnej stanął na łóżku. Czerwono - zielona czapeczka przekrzywiła mu się na głowie. Z błędnym, wpatrzonym w dal wzrokiem, uniósł rękę do daszka i salutując przemówił chrypliwie:

- Melduję posłusznie, panie generale, że powaliłem na łopatki wodza czerwonych koszul i proszę teraz o awans! Spójrzcie na mnie! Jestem już kapitanem! Walczyłem za Ojczyznę i zginąłem za nią! Trarara! Trara! Trąb, Kolnay, trąb!

Jedną ręką chwycił się za oparcie łóżka.

- Fortece, ognia! Bombardujcie nieprzyjaciela! Ha, ha! Tam jest Jano! Uważaj, Jano! Ty też zostaniesz kapitanem, Jano! Ale twojego nazwiska nie wpiszą małymi literami! Jesteście bez serca! Zazdrościliście mi, bo lubił mnie Boka i to ja byłem jego przyjacielem, a nie wy! A ten cały Związek Kitowców to jedna wielka głupota! Występuję! Występuję z tego związku!

I po chwili cicho dodał:

- Proszę to zaprotokołować.

A krawiec, pochylony nad niskim stolikiem, starał się niczego już nie słyszeć i niczego nie widzieć poza swoją robotą. Jego kościste palce szybko poruszały się nad brązowym suknem, migąła igła i napałek. Za żadne skarby nie chciał spojrzeć w stronę łóżka, ponieważ obawiał się, że potem nie zdoła już zmusić się do pracy, że ciśnie eleganckim, brązowym surdudem pana Czetnekiego o ziemię i przytuli do piersi swego synka.

Mały kapitan zmęczony opadł na łóżko i w milczeniu przyglądał się kołdrze.

Boka zapytał go cichym głosem:

- Zmęczyłeś się?

Nemeczek nie odpowiedział. Boka przykrył go. Matka poprawiła poduszkę pod głową chłopca.

- Nie mów już nic. Odpocznij.

Mały spojrzał na Bokę nieprzytomnym wzrokiem, nie dostrzegając już przyjaciela. Znów się odezwał:

- Tatusiu...

- Nie, nie - odpowiedział zdławionym głosem generał - ja nie jestem twoim tatusiem...
Nie poznajesz mnie? Jestem Janosz Boka.

Chory powtórzył za nim zmęczonym, zamierającym głosem:

- Jestem... Janosz... Boka... - po czym zamilkł. Chłopiec zamknął oczy i westchnął tak boleśnie, jakby w jego duszy zebrały się cierpienia wszystkich ludzi.

I zapanowała cisza.

- Może wreszcie zaśnie - powiedziała wążka, jasnowłosa kobieta, która po wielu bezsennych nocach, spędzonych na czuwaniu przy chorym dziecku, ledwo trzymała się na nogach.

- Zostawmy go - odpowiedział szeptem Boka.

Odsunęli się od łóżka i usiedli na wypłowiałej, zielonej kanapie. Teraz i krawiec przerwał pracę, odłożył brązową marynarkę na kolana i pochylił głowę nad niskim stolikiem. Wszyscy milczeli. Było tak cicho, że słyszało się brzęczenie muchy.

Przez okno dotarły z podwórza chłopięce głosy. Boka usłyszał nagle wypowiedziane półgłosem znajome nazwisko:

- Barabas.

Boka podniósł się i na palcach wyszedł z pokoju. Kiedy otworzył wiodące z kuchni na podwórze oszklone drzwi, zobaczył zalęknioną gromadkę chłopców z Placu Broni.

- Tak - szepnął stojący najbliżej Weiss. - Przyszedł tu cały Związek Kitowców.

- Nareszcie jesteście!

- Przynieśliśmy Nemeckowi uroczysty adres, w którym czerwonym atramentem napisaliśmy, że związek prosi go o przebaczenie i że wpisaliśmy jego nazwisko do księgi samymi wielkimi literami. Mamy ze sobą tę księgę. I jest tu cała nasza delegacja.

Boka pokręcił głową.

- Nie mogliście przyjść wcześniej?

- Dlaczego?

- Bo on przed chwilą zasnął.

Członkowie delegacji spojrzeli na siebie.

- Nie mogliśmy przyjść wcześniej, bo musieliśmy wybrać przewodniczącego delegacji i długo nad tym dyskutowaliśmy. Trwało to z pół godziny, nim wybraliśmy Weissa.

W progu pojawiła się matka Nemecka.

- Nie śpi - powiedziała - znów majaczy.

Wyraz przerażenia i zdumienia pojawił się na twarzach chłopców.

- Wejdźcie do środka, chłopcy - zapraszała kobieta - jak was zobaczy, to może

oprzytomnieje.

I szeroko otworzyła przed nimi drzwi. Chłopcy byli bardzo przejęci, wchodzili kolejno z powagą, jak do kościoła. Zdejmowali czapki jeszcze przed wejściem, na dworze. A kiedy już za ostatnim z nich zamknęły się drzwi, zatrzymali się w pełnej szacunku postawie. Szeroko otwartymi oczyma patrzyli na ojca Nemeckiego i na leżącego w łóżku przyjaciela. Krawiec nie zareagował na wejście chłopców, oparł głowę na dłoniach i milczał. Nie płakał. Był już tylko bardzo zmęczony. W łóżku, z otwartymi oczyma, leżał mały kapitan. Wąskie usteczka miał otwarte, oddychał z trudem, głęboko. Nikogo już nie poznawał. Być może widział już to, czego nie ogląda się na ziemi. Kobieta zachęciła chłopców:

- Podejdźcie do niego.

Ruszyli więc wolno w stronę łóżka. Ale nogi mieli jakby z ołowiu. Jeden dodawał odwagi drugiemu:

- Idź ty.

- To ty podejdź do niego.

- Ty jesteś przewodniczącym delegacji. Ty idź! - powiedział Barabasz.

Weiss powoli podszedł do łóżka. Koledzy stanęli wokół. Ale Nemecek nawet na nich nie spojrzał.

- Mów - szepnął Barabasz.

I Weiss zaczął drżącym głosem:

- Słuchaj... Nemecku...

Ale Nemecek nie słuchał. Oddychał z trudem i nieruchomo patrzył w sufit.

- Nemecku! - powtórzył Weiss dławiąc się od łez.

Barabasz szepnął mu do ucha:

- Nie płacz.

- Ja nie płaczę - odpowiedział Weiss, ciesząc się, że opanował wybuch płaczu i może wypowiedzieć te słowa. Wreszcie wziął się w garść i przemówił.

- Wielce szanowny panie kapitanie! - powiedział i wyciągnął z kieszeni list. - Jako że przyszliśmy tu... i jako że jestem prezesem... tym samym w imieniu związku... bo zrobiliśmy błąd... i my wszyscy chcemy cię teraz prosić o przebaczenie... i w tym uroczystym dokumencie wszystko to napisaliśmy...

Odwrócił się. W oczach lśniły mu dwie duże łzy. Ale za skarby świata nie chciał odstąpić od urzędowego tonu, do którego przywiązywali w związku wielką wagę.

- Panie sekretarzu - zwrócił się do Lesika - proszę podać księgę związku.

Stojący w pogotowiu Lesik natychmiast podał księgę. Weiss ostrożnie położył ją na

skraju łóżka, zaczął kartkować i otworzył na tej stronie, na której znajdował się „Wpis”.

- Spójrz - zwrócił się do chorego - przeczytaj.

Ale Nemecek powoli zamknął oczy. Czekali. Weiss znów się odezwał:

- Zobacz.

Nemecek nie odpowiadał. Teraz wszyscy już podeszli bliżej łóżka. Matka chorego rozsunała chłopców i z drzeniem pochyliła się nad swoim dzieckiem.

- Słuchaj - powiedziała obco brzmiącym, zdziwionym, roztrzęsionym głosem do męża
- on nie oddycha...

I położyła głowę na piersi dziecka.

- Nie oddycha! - krzyknęła już głośno, nie zwracając uwagi na nikogo. - Nie oddycha.

Chłopcy cofnęli się. Stanęli w kącie pokoju, jeden przy drugim. Księga związku spadła z łóżka na ziemię, otwarta na tej stronie, na której trzymał ją Weiss.

Kobieta wyła z rozpacz:

- Patrz! Ma zimne ręce!

W ogromnej, dławiącej ciszy, jaka nastąpiła po tych słowach, rozległo się szlochanie krawca, który do tego momentu siedział milczący na swoim stołku, kryjąc twarz w dłoniach. Był to cichy, ledwo słyszalny szloch dorosłego, poważnego człowieka. Tylko ramiona drgały mu od tłumionego spazmu. Lecz nawet w tej chwili panował nad sobą, bo zsunął z kolan piękną marynarkę pana Czetnekiego, żeby jej nie zabrudzić łzami.

Matka pieściła i całowała swoje martwe dziecko, a potem uknęła przed łóżkiem i wtuliwszy twarz w poduszkę zaczęła przejmująco płakać. A Erno Nemecek, sekretarz Związku Kitowców i kapitan chłopców z Placu Broni, leżał w wiecznej już ciszy, biały jak ściana, z zamkniętymi na zawsze oczyma. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że nie widzi już i nie słyszy tego, co dzieje się wokół niego, ponieważ anioły, które przybyły tu po duszyczkę kapitana Nemecka, zaniósły ją tam, gdzie tylko podobni jemu, tacy właśnie jak mały Nemecek, słyszą słodkie pienia i postrzegają jasność wiekuistą.

- Przyszliśmy za późno - szepnął Barabas.

Boka stał na środku pokoju z opuszczoną nisko głową. Jeszcze przed chwilą, kiedy siedział na skraju łóżka, z trudem powstrzymywał płacz. Teraz jednak ze zdumieniem stwierdził, że łzy nie napływają mu do oczu, że po prostu nie potrafi płakać. Rozejrzał się wokół z jakąś bezmierną pustką w duszy. Spostrzegł kryjących się w kącie pokoju chłopców. Na przedzie stał Weiss, ściskając w ręku honorowy adres, którego Nemecek nie zdążył już zobaczyć.

Boka podszedł do chłopców.

- Idźcie do domu - powiedział.

Chłopcy właściwie ucieszyli się, że wreszcie mogą stąd odejść, że mogą opuścić ten obcy mały pokój, w którym na łóżku leżał ich zmarły przyjaciel. Jeden za drugim wychodzili do kuchni, a stamtąd na skąpane w słońcu podwórze. Ostatnim był Lesik, bo nie mógł przecież zostawić księgi związku. Gdy wszyscy już wyszli, Lesik na palcach podszedł do łóżka i podniósł leżącą na podłodze księgę. Raz jeszcze spojrzął na łóżko i cichutkiego już na zawsze małego kapitana.

Po czym i on w ślad za resztą kolegów wyszedł z mieszkania. Świeciło słońce, a na rosnących na podwórzu cherlawych drzewkach wesoło ćwierkały wróble. Chłopcy stali na podwórzu i patrzyli na ptaki. Nie mogli zrozumieć tego, co się stało. Wiedzieli, że przed chwilą zmarł ich przyjaciel, a nie pojmowali sensu tego wydarzenia, było czymś obcym i niezrozumiałym, z czym się nigdy w życiu nie zetknęli. Patrzyli na siebie ze zdumieniem i zdziwieniem.

O zmierzchu Boka wyszedł z domu i ruszył przed siebie. Jutro czekał go trudny dzień. Powinien był przygotować się do lekcji, szczególnie do łaciny, bo już dawno nie odpowiadał i był pewny, że profesor Rac wywoła go jutro do odpowiedzi. Ale nie miał chęci do nauki. Odsunął od siebie książki oraz słownik i wyszedł z domu.

Bez celu włóczył się po ulicach. Jakoś podświadomie omijał Plac Broni i pobliskie uliczki. Myśl o tym, że w tym smutnym dniu mógłby znaleźć się na Placu, sprawiała mu po prostu ból.

Ale gdziekolwiek spojrzął, i tak wszystko przypominało Nemecką.

Ulica Üllői...

Tędy przecież szli razem w trójkę z Czonakoszem, kiedy po raz pierwszy wybrali się na przeszpiegi do Ogrodu Botanicznego.

Ulica Köztelek...

Przypomniał sobie, jak pewnego razu, wracając przed południem ze szkoły zatrzymali się na samym środku tej ulicy i Nemeček z wielką powagą zrelacjonował, w jaki sposób Pastorowie zabrali chłopcom kulki w Ogródzie Muzealnym. A potem Czonakosz podszedł do budynku fabryki tytoniu i zgarnął nieco tabakowego pyłu z żelaznej kraty piwnicznego okienka. Jakże głośno potem kichali!

Okolice Muzeum...

Boka znowu zawrócił. Czuł, że im bardziej stara się ominąć Plac Broni, tym bardziej go właśnie w tamtą stronę ciągnie. A kiedy wreszcie postanowił, że bez żadnego krążenia wokół, śmiało i prosto, najkrótszą drogą pójdzie niezwłocznie na Plac, wówczas poczuł

ogromną ulgę. Przyśpieszył kroku, aby czym prędzej znaleźć się na Placu. I im bliżej był swego królestwa, tym większy spokój ogarniał jego serce. Na ulicy Marii zaczął biec, aby jak najszybciej znaleźć się na miejscu. A kiedy w ciemniejącym coraz bardziej mroku dobiegł do rogu ulicy i zobaczył tak dobrze znany szary parkan, żywiej zabiło mu serce. Musiał się zatrzymać. Teraz nie miał się już po co śpieszyć. Był przecież na miejscu. Wolnym krokiem podszedł do otwartej furtki, obok której stał oparty o płot Jano i palił fajkę. Kiedy zobaczył Bokę, powitał go z uśmiechem.

- Pobiliśwa ich!

Boka odpowiedział mu smutnym uśmiechem. Ale Jano wpadł w zapał:

- Pobiliśwa!... Wyrzuciliśwa!... Wypędziliśwa!...

- Tak, tak - odpowiedział cicho generał.

Po czym stanął przed Słowakiem i po chwili milczenia zapytał:

- A czy wiecie, Jano, co się stało?

- A co takiego?

- Umarł Nemecek!

Słowak szeroko otworzył oczy ze zdziwienia. Potem wyjął z ust fajkę.

- A który to był, ten Nemecek?

- Ten mały, z jasnymi włosami.

- Aha! - odparł Słowak i włożył fajkę w usta. - Bidna chudzina.

Boka minął furtkę. Przed nim rozciągał się cichy i pusty Plac, który był miejscem tyłu wesołych zabaw. Boka powoli przemierzał Plac, aż dotarł do szańca, gdzie widać jeszcze było ślady walki. W piasku odcisnęły się ślady wielu stóp. A nasyp szańca osunął się pod nogami ruszających do ataku chłopców.

W ciemnościach czerniały obok siebie masywy sągów ze zbudowanymi na ich szczytach fortemi. Ściany fortów od góry do dołu obsypane były prochem strzelniczym, czyli piaskiem.

Generał usiadł na nasypie szańca i oparł podbródek na dłoniach. Panowała kompletna cisza. Żelazny komin tartaku całkiem już ostygł i czekał ranka, żeby znów zapalono pod kotłem. Odpoczywała piła parowa, zasypiał opleciony winoroślą tartak. W dali słychać było, jak przez sen, wielkomięski hałas. Przejeżdżały powozy, rozlegały się okrzyki, a z otwartego, oświetlonego już okna kuchennego w oficynie jednego z sąsiednich domów dobiegał wesoły śpiew jakiejś służącej.

Boka wstał i ruszył w stronę budki Słowaka. 'Zatrzymał się w miejscu, w którym Nemecek powalił na ziemię Feriego. Acza niczym Dawid Goliata. Pochylił się i szukał

śladów stóp, śladów małych, kochanych stóp, które tak samo znikną z tego piasku jak ukochany przyjaciel zniknął z tego świata. Ziemia była w tym miejscu stratowana i żadnych śladów nie sposób już było rozpoznać. A przecież Boka natychmiast rozpoznałby ślady Nemezcza, bo były tak małe, że zadziwiły nawet czerwonych, kiedy owego pamiętnego dnia odkryli je w ruinach Ogrodu Botanicznego. Stopy Nemezcza mniejsze były nawet od stóp Wendauera...

Wzdychając szedł dalej, do fortecy numer trzy, na której Nemecek po raz pierwszy zobaczył Feriego Acza. A Feri Acz zawołał do niego: „Nie boisz się, Nemecku?!”

Generał był zmęczony. Dzisiejszy dzień wyczerpał jego siły. Zataczał się, jakby wypił mocnego wina. Z trudem wspinał się na fortecę numer dwa i tam przysiadł, aby odpocząć. Nikt go tu nie mógł zobaczyć, zakłócić spokoju. Miał czas pomyśleć o tym, co się wydarzyło, i wypłakać się do woli, gdyby mógł płakać.

Wiatr niósł w jego stronę głosy. Spojrzał ze swojej fortecy w dół i spostrzegł obok budki ciemne sylwetki dwóch chłopców. Nie rozpoznał ich w ciemnościach, więc zaczął przysłuchiwać się głosom. Swoi czy obcy?

Chłopcy cicho ze sobą rozmawiali.

- Wiesz co, Barabasz - powiedział jeden z nich - jesteśmy teraz akurat w tym miejscu, w którym Nemecek ocalił nasz Plac.

Milczeli chwilę. Po czym znów odezwał się ten sam głos:

- Wiesz co, Barabasz, pogódźmy się w tym miejscu raz na zawsze, ale już tak naprawdę. Nie ma sensu, żebyśmy się ciągle ze sobą kłócili.

- Zgoda - powiedział ze wzruszeniem w głosie Barabasz - ja też chcę się z tobą pogodzić. Przecież po to przyszliśmy tutaj.

Znów zapanowała cisza. Chłopcy stali w milczeniu naprzeciw siebie, czekając, kto pierwszy wyciągnie rękę. Wreszcie odezwał się Kolnay:

- No to zgoda!

Barabasz, ciągle wzruszony, odpowiedział:

- No to zgoda!

Podali sobie ręce, a potem bez słowa padli sobie w objęcia.

A więc w końcu i to nastąpiło! Stał się cud. Boka patrzył na tę scenę ze szczytu fortecy, ale nie zdradził swojej obecności. On również chciał być sam, a poza tym czuł, że jest im potrzebny jak dziura w moście.

Po chwili obaj chłopcy ruszyli w stronę ulicy Pawła, cicho ze sobą gawędząc.

- Na jutro jest dużo z łaciny - powiedział Barabasz.

- Tak - odparł Kolnay.

- Ty masz dobrze - westchnął Barabas - wczoraj odpowiadałeś. Ale ja już dawno nie byłem pytany i teraz na mnie kolej.

- Słuchaj - powiedział Kolnay - z drugiego rozdziału wykreślone zostały wiersze od dziesiątego do dwudziestego trzeciego. Czy masz to zaznaczone w książce?

- Nie.

- Nie będziesz się chyba uczył tego, co zostało opuszczone? Przyjdę do ciebie i pokażę ci ten fragment.

- Dobrze.

Myślą już tylko o lekcjach! Jak szybko zapomnieli! Nemeček umarł, pan profesor Rac żyje, jutrzejsza lekcja łaciny jest realnym faktem, a najważniejsze, że obaj chłopcy są cali, zdrowi i że czekają ich codzienne obowiązki.

Kolnay i Barabas zniknęli w ciemnościach. Boka pozostał wreszcie sam jeden. Ale nawet tu, w fortecy, sam na całym Placu, nie mógł znaleźć spokoju. Pora była późna. Z kościoła dzielnicy Józsefvaros dobiegały łagodne dźwięki dzwonu.

Boka zszedł więc z fortecy i zatrzymał się przed budą. Spozregł wracającego od furtki w stronę swojej chaty Jana. Koło niego biegł Hektor merdając ogonem. Boka zczekał na nich.

- No - odezwał się Słowak - panicz nie idzie do domu?

- Już idę - odpowiedział Boka.

Słowak uśmiechnął się.

- W domu smaczna, ciepła kolacja.

- Smaczna, ciepła kolacja - przytaknął machinalnie Boka i przyszło mu na myśl, że przy ulicy Rakos, w mieszkaniu biednego krawca, dwoje skromnych, samotnych już ludzi też siada w kuchni do stołu. A w pokoju obok palą się świece. Na stoliku zaś leży piękna, dwurzędowa, brązowa marynarka pana Czetnekiego.

Boka zajrzał do chaty Słowaka.

I zobaczył oparte o ścianę dziwne przyrządy. Okrągłe, czerwono - białe tablice blaszane, podobne do tych krążków, jakie trzymają w ręku dróżnicy, gdy przed ich budkami przejeżdżają pośpieszne pociągi. Stał też w chacie trójnóg z umocowaną na nim mosiężną rurą. I jeszcze pomalowane na biało kołki...

- Co to takiego? - zapytał.

Jano zajrzał do środka.

- To? To pana inżyniera.

- Jakiego pana inżyniera?

- Pana architekta.

Boce gwałtownie zabiło serce.

- Architekta? A czego on tu chce?

Jano pyknął fajkę.

- Budować będą.

- Tutaj?

- Tak. W poniedziałek przyjdą robotnicy, rozkopią Plac... wykopią piwnice... fundamenty...

- Co?! - krzyknął Boka. - Będą budować tu dom?

- Tak, dom - odpowiedział obojętnie Słowak - wielki, trzypiętrowy dom... Kto ma plac, buduje i dom.

I wszedł do chaty.

Boce zakręciło się w głowie. Dopiero teraz napłynęły mu do oczu łzy. Szybkim krokiem, a potem biegiem pędził w stronę furtki. Uciekał z Placu, uciekał z tej obcej i niewiernej ziemi, której z takim poświęceniem i męstwem bronili, i która oto teraz tak haniebnie opuszcza ich, aby po wieczne czasy dźwigać na sobie wielką, czynszową kamienicę.

Stanął w furtce i jeszcze raz obejrzał się za siebie, jak czyni ten, kto na zawsze opuszcza Ojczyznę. Myśl o rozstaniu z Placem ścisnęła mu serce wielkim bólem. Jedyłą pociechą w tym cierpieniu było tylko to, że skoro już biednemu Nemeckowi nie było dane dożyć przeprosin, z jakimi przyszła do niego delegacja Związku Kitowców, to może i lepiej, że nie doczekał też chwili, kiedy zabierają im Ojczyznę, za którą oddał swe życie.

A nazajutrz, kiedy cała klasa zastygła w niemej, pełnej skupienia ciszy i pan profesor Rac poważnym, godnym krokiem wszedł powoli na katedrę, aby w wielkiej ciszy, uroczystym głosem, wspomnieć Erno Nemecka i przypomnieć uczniom, że jutro o trzeciej godzinie mają zebrać się na ulicy Rakos w czarnych lub przynajmniej ciemnych ubraniach, Janosz Boka z wielką powagą wpatrywał się w blat ławki i po raz pierwszy zaczął w głębi swojej młodej duszy pojmować, czym właściwie jest życie, w którym smutki i radości tak dziwnie splatają się w jeden wspólny los.

